Jack Vance

Niewolnicy Klau

(Slaves of the Klau, v.t. Gold and Iron)

Space Stories, December 1952
Wersja książkowa, Ace Books, 1958
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

Rozdział I

Lekthwanin Markel zajmował dziwne i piękne mieszkanie na najwyższej skale Mount Whitney, składające się z sześciu kopuł, trzech minaretów i szerokiego tarasu. Kopuły uformowane były z niemal przezroczystego kryształu, minarety z materiału podobnego do białej porcelany, a otaczający całość taras z niebieskiego szkła, który to taras otoczony był z kolei rokokową balustradą z niebiesko-białymi spiralnymi słupkami.

Dla ziemskich umysłów Markel był podobny do swego mieszkania - piękny, niezrozumiały, niepokojący. Jego skóra lśniła złotym blaskiem, a rysy twarzy wyglądały urodziwie, twardo i egzotycznie. Nosił miękkie czarne szaty: obcisłe bryczesy, sandały unoszące się na dwucentymetrowej warstwie powietrza, płaszcz, który układał się w dramatyczne kształty, z pozoru jakby sam z siebie.

Markel nie lubił przyjmować nieznajomych, nie umawiał się na spotkania, ale radził sobie z prowadzeniem wielu interesów, wkładając w to minimum wysiłku. Zatrudniał z tuzin agentów i codziennie rozmawiał z każdym z nich za pośrednictwem trójwymiarowej telewizji Lekthwanów, która stwarzała iluzję osobistej rozmowy twarzą w twarz. Od czasu do czasu latał za granicę swoją łodzią powietrzną i przyjmował gości z innych kopuł Lekthwanów.

Jego dwaj ziemscy asystenci, Claude Darran i Roy Barch, uważali go za osobę dbającą o formy, uprzejmą i do bólu cierpliwą. Niektóre z ich obowiązków były dosyć podobne do analogicznych, znanych im z ich własnego doświadczenia: mycie tarasu, polerowanie łodzi powietrznej; inne wymagały pozornie irracjonalnych działań. Kiedy popełniali błędy, Markel powtarzał im odpowiednie instrukcje, a Darran i Barch reagowali zgodnie ze swymi temperamentami - Darran przepraszająco, zaś Barch z zawziętą koncentracją.

Psychologiczne nastawienie Markela wynikało może w równym stopniu z zaabsorbowania daną sprawą, jak i z wrodzonego przekonania o własnej wyższości. Czasami starał się zachowywać pewne minimum łaskawości. Zauważywszy ślad na podbródku Barcha, zapytał więc:

— Skąd to się u ciebie wzięło?

— Zaciąłem się przy goleniu — odparł Barch.

Brwi Markela drgnęły ze zdziwienia. Wszedł do kopuły i po kilku chwilach wrócił z kolbą przezroczystego płynu.

— Przetrzyj tym twarz, a już nigdy nie będziesz musiał się golić.

Barch popatrzył na butelkę z powątpiewaniem.

— Słyszałem o takich rzeczach. Razem z zarostem może usunąć całą twarz.

Markel pokręcił uprzejmie głową.

— W przypadku tego środka, nie musisz się tym martwić. — Odwrócił się, po czym zatrzymał się w połowie obrotu. — Dzisiaj przyleci pewien statek; na jego pokładzie będzie moja rodzina. Przyjmiemy ich o jedenastej, w formalny sposób. Czy to jasne?

— Absolutnie jasne — oznajmił Barch.

— Rozumiesz na czym polega procedura lądowania?

— Doskonale — odparł Barch.

Markel skinął głową i ruszył dookoła tarasu, a pusta przestrzeń pod sandałami dodawała jego krokom sprężystości i posuwistości. Barch udał się do kwater, które dzielił z Darranem, i ostrożnie nałożył na twarz środek do depilacji. Kiedy obmacał policzki, zarost już zniknął.

Do środka wszedł Darran.

— To będzie niezły wstrząs. Dzisiaj przylatuje rodzina starego - żona i dwie córki. Teraz wszyscy mają chodzić jak w zegarku, włączając w to samego Markela.

Barch skinął głową.

— Wiem. Pytał mnie, czy pamiętam, jak złożyć balustradę. Poza tym powiedział „w formalny sposób”, co oznacza kolejne idiotyczne stroje. Spojrzał kwaśno na swój obcisły zielony kombinezon z niebieską kurtką. — W tym ubraniu czuję się jak tancerz baletowy. — Podał Darranowi butelkę. — Masz, zrób się na piękność. To depilator, usuwa zarost - prezent od Markela. Gdybyśmy mieli dziesięć galonów tego, bylibyśmy milionerami.

Darran zważył flakonik w dłoni.

— Czyżby to była jakiegoś rodzaju wskazówka? Może wyglądamy na zapuszczonych?

— Gdyby to był dezodorant, mógłbym tak pomyśleć.

Darran spojrzał na zegarek.

— Dziesiąta trzydzieści, lepiej przebierzmy się w mundury.

Kiedy przybyli na miejsce lądowania, Markel już stał przy balustradzie. Przyjrzał im się krótko, po czym naciągnął głębiej na oczy czapkę z daszkiem i odwrócił się, aby obrzucić wzrokiem panoramę od południowej strony.

Minęło kilka chwil. Z nieba spłynęła lśniąca kula w czerwone, złote, niebieskie i srebrne pasy. Szybko rosła, pasy migotały i wirowały. Barch i Darran pochylili się nad balustradą, wymacali włączniki. Balustrada zapadła się w błękitne szkło, a przez taras przeleciał podmuch zimnego powietrza.

Kosmiczna kula wznosiła się nad nimi niczym góra, jej pasy mieszały się i roztapiały niczym kolorowe plamy na bańce mydlanej. Przysunęła się bliżej, dotknęła tarasu.

Kadłub rozstąpił się, tworząc łukowaty portal. Markel stał nieruchomo jak posąg; Barch i Darran wpatrywali się w to co się dzieje.

Z portalu wyszło pięcioro Lekthwanów: dwie kobiety, dwóch mężczyzn i mała dziewczynka, która radośnie ruszyła biegiem po tarasie. Markel wykrzyknął słowa powitania, wysoko podniósł dziecko jedną złotą ręką, a drugą objął obie kobiety. Kilka chwil trwała rozmowa w języku

Lekthwanów, po czym Markel odstawił dziecko i poprowadził grupę do pobliskiej rotundy.

Z portalu wysunął się tuzin skrzyń, unoszących się na poduszkach z dwu centymetrów powietrza, podobnie jak sandały Markela. Barch i Darran przepchnęli je pojedynczo do kopuły serwisowej.

Portal zamknął się, kolory w kadłubie zakotłowały się wściekle. Kula kosmiczna wzbiła się z lądowiska i odleciała na wschód.

Darran i Barch, pozostawieni sami sobie na tarasie, spoglądali, jak maleje do rozmiarów kolorowej plamki.

— No cóż, i to by było na tyle — stwierdził Darran. — Teraz zobaczyliśmy już rodzinę tej grubej ryby. — Czekał, ale Barch nie odezwał się. Podnieśli balustradę z powrotem na miejsce. — Ta starsza kobieta musi być jego żoną — kontynuował z namysłem Darran — a te dwie dziewczynki, jego córkami.

— Uroczy dzieciak — zauważył Barch.

Darran rzucił mu pytające spojrzenie.

— A ta druga?

Barch pochylił się nad skrzynią.

— Po co się kłócić? Jest piękna. — Zerknął przelotnie w stronę rotundy. — Ale ona wciąż jest stworem z innej planety, dziwnym jak ryba.

Darran wzruszył ramionami.

— Robimy całkiem niezły interes na tych „rybach”. Płacą nam krocie za wszystko, co im sprzedajemy. Wyprzedzają nas o setki lat. Budujemy statki kosmiczne w oparciu o zasady naukowe, o których jeszcze niedawno nawet nam się nie śniło. Zmniejszyliśmy współczynnik śmiertelności dzięki ich medycynie…

— To nie jest nasza nauka ani nasza medycyna.

— Ale działa, prawda?

— To nigdy nie rozwinęło się na Ziemi; nie jest dobrze przeszczepiać takie obce rzeczy.

Darran popatrzył na niego z zaciekawieniem.

— Skoro nie lubisz Lekthwanów, co więc tutaj robisz, pracując dla Markela?

Barch rzucił mu badawcze spojrzenie.

— Mógłbym zadać ci to samo pytanie.

— Jestem tutaj, bo tu mogę się czegoś nauczyć.

Barch gwałtownie się odwrócił.

— Goście tacy jak ty są, za bardzo układni. Chcesz być miły.

— Pewnie, to miło być miłym.

— Czy Lekthwanowie są dla ciebie mili? Może poszli odwiedzić cię w domu, kupić ci piwo? — Barch prychnął. — Możesz sobie pomarzyć. Oni są Lekthwanami, a my wieśniakami.

— Daj im parę lat — zauważył Darran. — Daleko nas wyprzedzają, a jesteśmy sobie nawzajem obcy. Są dosyć przyzwoici, może odrobinę zdystansowani.

Jasne, orzechowe oczy Barcha błyszczały jak rozżarzone węgle.

— Ale co będzie za parę lat? My, Ziemianie, radziliśmy sobie całkiem nieźle, każdego roku robiliśmy postępy. Własne, nasze, naturalne postępy. Wiesz, co się z nami stanie? Za te parę lat, o których wspomniałeś,

będziemy skończeni. Nie będziemy tak dobrzy jak Lekthwanowie – oni nie chcą, żebyśmy byli - i będziemy o wiele gorsi jako Ziemianie.

— Nigdy nie dostałbyś nagrody za optymizm — stwierdził Darran. Pochylił się nad skrzynią i popchnął ją w stronę drzwi. — Bądźmy realistami. Lekthwanowie są tutaj. Nie da się cofnąć czasu. Zresztą, dlaczego mielibyśmy tego chcieć? Mamy wiele do zyskania.

— Tylko to, co oni uznają za dobre dla nas.

Darran potrząsnął głową.

— Ziemianie w szkołach Lekthwanów uczą się wszystkiego, czego chcą.

— Najpierw trzeba poznać język.

Darran parsknął śmiechem.

— Oczekujesz, że będą prowadzili szkoły w języku angielskim? — Darran śmiał się wesoło. — Patrzysz ze złego końca teleskopu. Może powinieneś odwiedzić ich planetę. To mogłoby ci dać inny punkt widzenia.

— Jeśli polecę na Lekthwę, to po to, by dowiedzieć się czegoś bardzo podstawowego, a mianowicie, jak pozbyć się z Ziemi tych platerowanych złotem snobów.

Tkz Maerkl-Elaksd - Markel, jak nazywali go Ziemianie, czekał na swoją żonę Tcher, córki Komeitk Lelianr i Sia Spedz, stojąc i spoglądając przez ścianę swojego południowego salonu, na wielkie kalifornijskie pustynie. Nie miał na sobie płaszcza; popołudniowe słońce błyszczało złotem na jego skórze.

Za jego plecami rozległ się szybki stukot stóp; Sia Spedz wybiegła boso, ubrana szatę z białej zwiewnej, na wpół przejrzystej jedwabnej tkaniny w geometryczne wzory, z białymi pomponami na każdym biodrze. Jej włosy wyglądały jak niesamowicie delikatne platynowe włókienka, połyskujące i nawoskowane, z przedziałkiem pośrodku oraz figlarnie opadające na każde ucho. Stanęła na palcach przy ścianie, spoglądając na zewnątrz, na roztaczającą się panoramę.

— Gdzie są inne kopuły? Czy jesteśmy zupełnie sami?

Markel pogłaskał ją po głowie.

— Nie, agencje są na całej Ziemi.

— I zawsze na szczytach gór?

— Tak, w ten sposób zapewniamy sobie izolację oraz prywatność. — Odwrócił się, kiedy pojawiły się jego żona i druga córka, ubrane w proste białe koszulki. Matka, Tcher, miała włosy gładkie, lśniące, wyglądające na głowie jak srebrna czapka. Córka, Komeitk Lelianr, zaczesała włosy w wysoką kitkę, przypominającą srebrny płomień.

Markel przysunął im cztery pufy z na wpół żyjącej białej piany.

— A jak wasza podróż, czy była przyjemna?

Komeitk Lelianr skrzywiła się.

— Wszędzie z wyjątkiem Wielkiej Ciemnej Chmury. Sieć Klau zmusiła nas tam do zatrzymania się.

Markel poruszył się niespokojnie na swoim siedzeniu.

— A potem?

— Jakaś łódź przywarła do naszej burty, zamierzając wysłać na pokład grupę przeszukiwawczą.

— Ale dlaczego? Po co?

— Powiedziano nam, że kilkunastu Lenapów uciekło z Magarak i Klau nie chcą pozwolić, żeby wrócili na Lenau.

— Nie mogą, to byłaby wielka porażka dla Klau — mruknął Markel. — A potem?

— Kapitan statku zachował się z ogromną godnością. Rozpoczął transmisję wizualną i dźwiękową niepokoju Klau i w ciągu pięciu minut wycofali się.

Markel przekazał swoje zrozumienie sytuacji za pomocą złożonej mowy wyrażającej nastrój Lekthwanów przy użyciu brwi, oczu i rzęs, po czym tą samą metodą zasygnalizował zmianę tematu. Zwrócił się do Sia Spedz:

— Powiedz mi, jak ci idzie zdobywanie doświadczenia życiowego?

Dziewczyna splotła palce.

— Wszyscy chwalą moje zdolności. Nauczyłam się jedenastu sposobów charakteryzowania i trzech opcjonalnych, którymi są: Uśmiechnięty Wschód Słońca, Zabawny Kociak i Samotnik.

— Doskonale.

Tcher dodała z rozkapryszoną dumą:

— Potrafi chodzić na swych sandałach na wysokości dwudziestu stóp i samotnie opłynęła Księżyc Mirska małą łodzią żaglową.

— Na Ziemi musi być ostrożniejsza — oznajmił Markel. — Lekthwanowie nie są lubiani przez wszystkich.

Sia Spedz spytała zdziwiona:

— Dlaczego? Czyż nie pomagamy im, nie szkolimy ich w naszych lekthwańskich szkołach?

Markel uśmiechnął się spokojnie.

— Ziemianie od dawna uważali się za wyjątkowych we wszechświecie, a przybycie Lekthwanów było ciosem zadanym ich dumie.

Sia Spedz kontynuowała już mniej pewnym tonem.

— Znam też wszystkich lekthwańskich władców, dynastie i królestwa, począwszy od króla Phaldera w proto-historii.

— W dole, na równinach Ziemi znajdziesz tubylców na mniej więcej tym samym etapie kultury.

— To leży bardziej w kręgu zainteresowań Lelianr.

Markel zwrócił się do swojej drugiej córki.

— Czas leci jak błysk meteoru; nie mogę uwierzyć, że ukończyłaś już swój pierwszy program nauczania. I co teraz?

Komeitk Lelianr odparła w stylu Uspokajającego Doradcy.

— Myślę o kilku kierunkach. Interesuje mnie prymitywna antropologia, a także badania nad żywnością. W zeszłym miesiącu zaprojektowałem bardzo przyjemny cukier, którego kilka ton wyprodukowano i rozprowadzono.

Markel roześmiał się.

— Jeśli chcesz odkryć nowe i egzotyczne smaki, musisz spróbować trochę ziemskiego jedzenia.

Komeitk Lelianr wykrzywiła twarz w kwaśnym grymasie.

— Zwierzęce tkanki.

— Spożywają też dużo materii roślinnej.

— Niemniej to jednak życie, pożerające życie.

— To wrodzona niemoralność, która, jak sądzę, pozostaje wśród nich nierozpoznana. Jednak, ta rasa potrafi syntetyzować tylko najprostsze węglowodany.

— Przypuszczam, że muszą się jakoś odżywiać.

— Ziemianie nie są zupełnie dzicy; jeśli zdecydujesz by zainteresować się tą proto-kulturą, natkniesz się na zaskakujące osiągnięcia.

Komeitk Lelianr wzruszyła ramionami.

— Jest jeszcze trochę czasu, zanim będę musiała ograniczyć się do sztywnej specjalizacji.

Sia Spedz zawołała:

— Spójrzcie, dwóch Ziemian na tarasie!

Markel zmienił charakterystykę swojego głosu.

— To moi służący - obaj to bystrzy młodzi ludzie.

— Nie wyglądają tak, jak wyobrażałam sobie Ziemian — zauważyła z zamyśleniem Komeitk Lelianr.

— Ciemniejszy z nich wydaje się bardziej sympatyczny, ten drugi nosi jakiś ciężar na duszy — powiedziała Tcher.

— Tak między nami mówiąc — przyznał Markel, — Roy nie przepada za Lekthanami.

Tcher pokręciła głową.

— Gdyby to Klau przybyli na Ziemię zamiast nas, miałby prawdziwe powody do niechęci.

— Powody jego braku życzliwości są raczej osobistej natury. Jego ojciec był naukowcem, a ambicją Roya było pójście w jego ślady. Od najmłodszych lat uczył się powszechnie przyjętych technik. Wtedy pojawili się Lekthwanowie i z dnia na dzień cały wysiłek jego życia stał się bezużyteczny. Wiele z rzeczy, których się nauczył, było niewłaściwych, a reszta, w świetle wiedzy Lekthwanów, stała się albo przestarzała, albo bardzo elementarna. Roy przyjął to z ogromnym rozgoryczeniem.

Komeitk Lelianr przyjrzała się plecom Barcha.

— Można to zrozumieć.

— Dlaczego nie podjął studiów na Lekthwie? — spytała Sia Spedz.

Markel obrzucił wzrokiem Barcha i Darrana.

— Może w końcu dojść do tego pomysłu. W tej chwili jedyne, co widzi, to długie lata dalszych studiów, podczas których będzie musiał rozpocząć naukę z dziećmi w wieku Spedz.

— Ten drugi — przyznała Tcher, — rzeczywiście ma o wiele bardziej uprzejmy wyraz twarzy. Jak ma na imię?

— Ma na imię Claude. Jest bardziej praktyczny niż Roy i ogólnie nie jest tak bardzo emocjonalny. Planuję włączyć go do następnej grupy udającej się na Lekthwę.

— A Roy?

— Jak dotąd nie wykazał chęci opuszczenia Ziemi.

Dwóch pozostałych gości Markela weszło do salonu. Podniósł się na nogi.

— Odświeżyliście się trochę?

— Wykąpaliśmy się i odpoczęliśmy. Widok z kopuły jest wspaniały.

Markel skinął głową.

— Uważam Ziemię za jedną z piękniejszych planet. Zauważyliście dolinę na południowym wschodzie, te setki delikatnych kolorów?

— Piękna.

— Piękna, ale też śmiertelnie niebezpieczna. Prawdę mówiąc, Ziemianie nazywają ją „Doliną Śmierci”.

Rozdział II

Barch i Darran gotowali sami dla siebie, a zapasy dostarczano im w każdą sobotę helikopterem. W większości ich obowiązki były symboliczne i po umyciu tarasu mieli wolne poranki. W tym czasie Darran studiował teksty gramatyczne Lekthwanów i nagrania na taśmach, które Markel oddał im do dyspozycji, podczas gdy Barch czytał lub ponuro się opalał.

Przybycie rodziny Markela zakłóciło tę rutynę. Tego samego poranka, po swoim przylocie Sia Spedz zaprzyjaźniła się z Darranem, wypytując go, dlaczego nosi buty, a nie sandały powietrzne.

Odpowiedź Darrana była absolutnie szczera.

— Po pierwsze, nie mam sandałów. Po drugie, upadłbym na twarz, gdybym spróbował w nich chodzić.

— Ale to nie jest trudne — powiedziała Sia Spedz, mówiąc po angielsku z precyzyjnym akcentem, — dopóki trzymasz się blisko powierzchni ziemi.

— Nie rozumiem. Dlaczego blisko ziemi miałoby być łatwiej?

— Pole siłowe rozchodzi się jak piramida. Blisko ziemi podstawa jest szeroka. Im wyżej wchodzisz, tym węższa staje się kolumna, na której stąpasz i tym trudniej jest utrzymać równowagę.

— Acha — stwierdził Darran. — Dlaczego więc nie zrobicie mocniejszych sandałów, żeby nawet kiedy ktoś chodzi wysoko, piramida pod jego stopami była szeroka?

— Nie wiem. Myślę, że wtedy nie byłoby żadnej zabawy przy nauce.

— Myślałem, że jesteście praktyczną rasą — zauważył Darran.

— Nie do końca. Klau, są absolutnie praktyczni. Wszystko jest zaplanowane z myślą o konkretnym zastosowaniu, bez względu na to, czy uszczęśliwia to ludzi, czy nie. Na światach Klau nie ma radości.

— Tak? A kim są Klau?

— Wrogami. To straszni ludzie, o oczach jak czerwone gwiazdy. — Ale Sia Spedz była bardziej zainteresowana popisywaniem się swoimi umiejętnościami w posługiwaniu się sandałami. — Patrz. — Uniosła się wyżej w powietrze, jakby wchodziła po schodach, biegając wesoło w tę i z powrotem nad głową Darrana. — Teraz pójdę wyżej.

— Uważaj! — Darran chodził pod nią jak cień, z wyciągniętymi rękoma.

— Teraz jest tak wysoko, jak lubię — oznajmiła Sia Spedz. — Tutaj na górze jest bardzo chwiejnie.

— Lepiej zejdź na dół. Denerwuję się przez ciebie.

Dołączyła do niego na dole.

— Dlaczego nie poprosisz Markela, żeby dał ci parę sandałów?

Darran wzruszył ramionami.

— To nieuprzejmie, prosić o prezenty.

— Jeśli nie wyrazisz swoich pragnień, pozostaną ona nieznane.

Darran roześmiał się.

— Myślałem, że nie jesteście praktyczną rasą.

— Może pomimo wszystko jesteśmy. W takim razie, sama podaruję ci parę sandałów.

— Dostaniesz lanie za rozdawanie najlepszych butów ojca.

Sia Spedz zachichotała.

— Zabawne słowa.

Barch opierał się o balustradę.

— Ja też uważam, że on jest zabawny. Zna wszystkie rodzaje gier. Niech cię nauczy grać w klasy.

— Gra w klasy? — Sia Spedz popatrzyła na Darrana. — Co to takiego?

— To gra, w którą grają małe ziemskie dziewczynki.

— Umiesz w nią grać?

Darran podrapał się po policzku.

— Roy gra o wiele lepiej ode mnie.

— Nieprawda — odciął się Barch — wczoraj ty wygrałeś.

— Pokaż mi, Claude.

Barch usiadł na ławce.

— Dopilnuję, żeby nikt nie oszukiwał.

Sięgnął pod siebie i wyciągnął *Wstęp do Lekthwanów*, Darrana. Otworzył go i rzucił okiem na wprowadzenie.

„Język Lekthwanów”, jak przeczytał, „brzmi dla ziemskich uszu szorstko i jakby miał zbyt wiele spółgłosek, co zasługuje na wyjaśnienie. Po pierwsze, język Lekthwanów zawiera ogromny zasób słownictwa, czasem nawet sto synonimów dla jednego określonego pojęcia podstawowego. W konsekwencji nie ma potrzeby stosowania okrężnych sformułowań, a mowa Lekthwanów wyróżnia się logiczną prostotą form oznajmujących.

Kolejną osobliwością języka Lekthwanów jest fakt, że każde słowo może mieć wiele różnych odcieni, w zależności od „charakterystyki” przyjętej przez osobę mówiącą, a nawet osobę, do której się mówi. Istnieje prawie sto takich charakterystyk, zaś sześćdziesiąt dwie z nich określane są jako „podstawowe”. Każda dojrzała osoba jest zaznajomiona z charakterystykami podstawowymi oraz większością pozostałych, opcjonalnych. Lekthwanin wskazuje charakterystykę, w której w danej chwili mówi, poprzez grę oczu, brwi i rzęs. W uproszczeniu, charakterystykę można porównać do masek emocji, używanych w starożytnych greckich dramatach.”

Barch odrzucił książkę z powrotem na ławkę, w myśli uznając naukę języka Lekthwanów, za zadanie na całe życie. Lekthwańskie dzieci zdawały się przyswajać go z łatwością. Obserwował Się Spedz, pochłoniętą wyjaśnieniami Darrana. Ilu z tych charakterystyk potrafiła już użyć? Bystry dzieciak. Tysiące lat naturalnej - i prawdopodobnie eugenicznej - selekcji, bez wątpienia zwiększyły inteligencję tej rasy. Inteligencję oraz - jakby dla ilustracji na taras wyszła Komeitk Lelianr - inteligencję oraz urodę.

Obserwował ją ukradkowo, kiedy stała opierając się o balustradę. Wiedział, że Lekthwanowie nie czują skrępowania nagością. Komeitk Lelianr w tej chwili miała na sobie jedynie krótką spódniczkę i sandały.

Barch poczuł, jak w jego ciele wzbiera gorąco. Obca, istota z dalekiej planety… a jednak, jaka cudowna, jakże żywa, jakże pełna wdzięku, jakie ma piękne…

Obróciła się szybko, jakby poczuła na sobie jego spojrzenie. Barch z poczuciem winy odwrócił wzrok, lecz po chwili spojrzał ponownie w miejsce, w którym stała, odwrócona plecami do balustrady. Spoglądała na niego badawczo. Barch pomyślał z goryczą: „Jestem pierwszym ziemskim dzikusem, któremu ma okazję przyjrzeć się z bliska”.

Zauważyła uprzejmie:

— Widzę, że uczysz się naszego języka. Czy sprawia ci on trudności?

Barch odparł:

— Na pierwszy rzut oka wygląda to na skomplikowane. Wyobrażam sobie, że ma on niezwykłą siłę wyrazu, jeśli ktoś obcy byłby w stanie go przetrawić.

Jej twarz zdradzała zainteresowanie. Barch pomyślał ze złością: pewnie spodziewała się, że będę mruczał jak niedźwiedź.

Komeitk Lelianr spytała:

— Czy to nie ty nas nie lubisz?

Oczy Barcha zwęziły się ze zdziwienia.

— Nie mam nic przeciwko Lekthanom jako istotom ludzkim — stwierdził ostrożnie.

— I to wszystko, co czujesz?

— Nie sądzę, aby Ziemia ostatecznie skorzystała na ich obecności.

Komeitk Lelianr spytała:

— Jak się nazywasz?

— Roy Barch. — I niemal niegrzecznie również odpowiedział pytaniem: — A ty?

— Komeitk Lelianr.

— Hmm… Co to znaczy?

Roześmiała się.

— Znaczy? Dlaczego miałoby to cokolwiek znaczyć?

— Wydaje się rozsądne, by rozwinięci cywilizacyjnie ludzie - a za takich się uważacie - używali swych imion i nazwisk, do wskazywania zawodu, domu lub innego rodzaju identyfikacji.

— Tsk — syknęła Komeitk Lelianr. Jej brwi drgnęły, co Barch uznał za zmianę charakterystyki. — Co za okropny pomysł: mrówczy, uniformizujący. Masz o nas błędne przekonania.

— W nie mniejszym stopniu niż twoje przekonania o nas — burknął Barch.

Komeitk Lelianr uśmiechnęła się.

— A czy twoje imię coś znaczy?

— Nie.

— Chciałabym cię prosić o przysługę — powiedziała.

— Nie musisz prosić o przysługi. Jestem na liście płac twojego ojca; wszystko, co musisz zrobić, to tylko wydać polecenie.

— Bardzo mnie interesuje psychologia ras z innych planet. Czy miałbyś coś przeciwko temu, gdybym przeprowadziła na tobie test psychometryczny?

— Ach — oznajmił z goryczą Barch. — Więc teraz wszystko jest już jasne. Mam być jednym z twoich okazów badawczych… Typowy ziemski

dzikus. Może chciałabyś sfotografować mnie w moim wojennym hełmie? A może małe nagranie rodzimych pieśni bitewnych?

— Byłoby wspaniale — stwierdziła Komeitk Lelianr. — Ale czy masz tutaj swoje akcesoria?

Barch wpatrywał się w nią z niedowierzaniem. Bez wątpienia mówiła poważnie.

— Jutro wieczorem na Bulwarze Zachodzącego Słońca odbędzie się orgia, połączona z ucztą kanibalską i czarami voodoo. Jeśli zakradniesz się po cichu w swoich sandałach, będziesz miała naprawdę sensacyjny materiał.

Jej brwi drgnęły z zainteresowaniem.

— Rzeczywiście, chciałabym obejrzeć jeden z takich rytuałów.

— No cóż — stwierdził Barch z zamyśleniem — musiałabyś się przebrać. Gdybyś posypała skórę pudrem, pewnie mogłabyś uchodzić za opalonego człowieka. Musiałabyś też założyć więcej ubrań. Obecnie masz na sobie dosyć prowokujący strój.

— Nie jestem pewna, czy dobrze rozumiem. Dlaczego tak to powiedziałeś?

Barch uciekł spojrzeniem.

— Nie wiem… Tak, ja też muszę się przebrać.

— Więc co mam na siebie włożyć?

Spojrzał na nią koso.

— Mówisz poważnie?

— Oczywiście. Gdzie jest ten Bulwar Zachodzącego Słońca?

— Mógłbym ci pokazać — powiedział Barch w zamyśleniu.

— To byłoby bardzo pomocne.

Barch kalkulował.

— Jak się tam dostaniemy?

— Łodzią powietrzną. A jak inaczej?

— Twój ojciec się nie wkurzy?

— Wkurzy się?

— Nie będzie przeciwny?

— Oczywiście, że nie. — Dodała spokojnie: — Musisz zrozumieć, że prawdopodobne jest, iż zdecyduję się na zajęcie się antropologią.

Barch skinął głową.

— Bardzo dobrze, jesteśmy więc umówieni.

— Ale jakiego rodzaju kostium mam założyć?

— Cokolwiek, co będzie zakrywało cię od ramion do kolan. Gdybyś zaczesała włosy do tyłu, mogłabyś uchodzić za platynową blondynkę…

Darran wszedł, kiedy Barch wiązał krawat.

— Gdzie ty się wybierasz? Po co tak się stroisz?

— Mam randkę z córką starego.

Darran usiadł.

— I co? Może mała gra w klasy ze Spedz na północnym tarasie?

— Nie, drogi panie. Złap mnie jeśli zdołasz, z tą ślicznotką, pewnie gdzieś do San Francisco.

Darran odchylił się do tyłu.

— To fantastyczne.

— Nie, jeśli wziąć pod uwagę tło. Interesują ją malownicze zwyczaje tubylców; myśli, że jedziemy do Los Angeles, aby obejrzeć ofiarę z człowieka albo dionizyjski rytuał płodności.

Darran westchnął.

— Czego pewni faceci nie zrobią, żeby umówić się na randkę… A gdzie ją zabierasz? A może to ona zabiera ciebie?

— Niech mnie diabli, jeśli wiem gdzie ją zabrać. Pewnie spodobałyby jej się saloony przy Embarcadero[1] albo Chutes at the Beach[2]. — Zrobił kwaśną minę. — Ja też mam swoją dumę.

— W Fairmont[3] by się nudziła.

— Też tak sądzę. Ani kropli krwi z ran, żadnych barwnych rytuałów.

— Zawsze jest jeszcze Hambone Kelly's[4].

— To prawda — zgodził się Barch. — Zawsze jest Hambone Kelly's. — Pozapinał guziki kurtki. — No to idę.

— Powodzenia — powiedział Darran. — Nie wpakuj się w żadne kłopoty.

Barch popatrzył na niego chłodno.

— Co przez to rozumiesz?

— Nic — odparł łagodnie Darran. — Jesteś zadziornym sukinsynem. Musisz ci coś chodzić po głowie.

Barch wyszedł na taras i stanął, wpatrując się w noc. Ręce miał wilgotne i napięte; Darran trafił w sedno. Czuł się jakby wychodził na pierwszą randkę w życiu, tylko wzięło go jeszcze mocniej.

Powoli obszedł taras i zatrzymał się w pobliżu głównej kopuły. W środku znajdowali się Lekthwanie z odległej planety; czy oczekiwali, że zapuka do drzwi i zawoła dziewczynę? A może powinien poczekać na zewnątrz, aż ona pojawi się sama? Mruknął gniewnie pod nosem; gdzie się podział jego szacunek do samego siebie? Był równie dobry jak każdy z nich; to była Ziemia, na Boga, powinni postępować zgodnie z ziemskimi zwyczajami.

Podszedł wojowniczo do kopuły, po czym zatrzymał się. Na pewno trzeba zapukać. Albo zadzwonić. Tylko, gdzie?

Przez nieprzejrzystą ścianę przebiło się światło; Barch cofnął się szybko. Komeitk Lelianr szybko wyszła na taras, a za nią Markel i Sia Spedz, biegająca jak terier.

Markel przemówił w języku Lekthwanów.

— Podejrzewam, że będziesz rozczarowana. Oczywiście nie ma powodów, dla których nie mielibyście tego zbadać.

Sia Spedz zawołała:

— Ja też chcę z nimi.

— Jeden antropolog w rodzinie wystarczy — stwierdził Markel. Zwrócił się do Barcha. — Dopilnuj, żeby nie narobiła sobie kłopotów, Roy.

— Tsk. — Komeitk Lelianr przeszła po tarasie. — Chodź, Roy.

---

[1] Embarcadero - historyczne nabrzeże w San Francisco z licznymi restauracjami, barami i atrakcjami (przyp. tłum.).

[2] Chutes at the Beach – park rozrywki w San Francisco. Jego główną atrakcją były wielkie pochylnie, po których zjeżdżało się pojazdami podobnymi do płaskodennych łodzi (przyp. tłum.).

[3] Fairmont - luksusowy hotel w San Francisco, założony w XIX wieku (przyp. tłum.).

[4] Hambone Kelly's - klub jazzowy w El Cerrito w Kalifornii popularny w latach 40 i 50 XX wieku. Zasłynął z występów Lu Watters Yerba Buena Jazz Band (przyp. tłum).

Barch, zachowując godność, podążył do miejsca, w którym unosiła się łódź.

Komeitk Lelianr wskoczyła do łodzi, Barch podążył za nią. Miała na sobie biało-czarny jednoczęściowy strój, przypominający kostium arlekina. Rzucała się w oczy, ale niekoniecznie przyciągałaby tłumy.

Wewnątrz łodzi unosiła się srebrna kula przebita czarnym prętem. Komeitk Lelianr wzięła kulę, a pojazd wystartował w niebo.

— A teraz — spytała, — w którą stronę?

„Pierwszą rzeczą”, pomyślał Barch, „jest postawienie sprawy na właściwe tory”.

— Pokaż mi, jak obsługiwać to urządzenie.

Odwróciła głowę ku niemu, z uniesionymi ze zdziwienia brwiami. Przez chwilę Barch myślał, że grzecznie go zignoruje, lecz po chwili wręczyła mu srebrną kulę.

— To — dotknęła czarnego pręta — reprezentuje pionową oś łodzi. Przechyl kulę, a łódź się przechyli. Przesuwając kulę do góry, inicjujesz skumulowane przyspieszenie w górę, któremu można przeciwdziałać jedynie przesuwając kulę w dół. Czarny drążek to regulator prędkości. Im mocniej go wciśniesz, tym szybciej lecisz. Aby zahamować, należy nacisnąć od dołu.

— To dosyć proste. Gdzie jest wskaźnik wysokości?

— Tu. — Wskazała ręką na serię kanciastych czarnych kształtów poruszających się wzdłuż bladoszarego pasa. — To jest zarówno wysokościomierz, jak i wskaźnik prędkości. Zielony okrąg pośrodku przedstawia łódź. Zarys cienia przedstawia profil terenu bezpośrednio przed nami. Im niżej lecisz, tym większy staje się zielony okrąg. Zieleń dotyka czerni, gdy łódź dotyka ziemi.

Barch skinął głową.

— Wydaje się to dość łatwe.

Przyglądała mu się uważnie przez chwilę lub dwie, po czym spytała:

— Dokąd lecimy?

— Lecimy do miejsca zwanego Hambone Kelly's, po drugiej stronie zatoki względem San Francisco. A może wolisz jakieś bardziej stosowne podejścia nocnego życia na Ziemi?

— Przypuszczam, że muszę polegać na twojej ocenie tego, co może mnie zainteresować.

— Nie wiem zbyt wiele o tobie i twoich upodobaniach. Powiedz mi coś, ile masz lat?

— Pięćdziesiąt dwa. — Na zdziwione spojrzenie Barcha wyjaśniła. — To byłoby dwadzieścia twoich lat.

— Twoje imię jest trudne do wymówienia — powiedział Barch. — Będę cię nazywał „Ellen”.

W ciemności nie mógł dostrzec wyrazu jej twarzy.

— Jakkolwiek będzie dla ciebie wygodnie.

Wzgórza spowodowały pojawienie się na pasku wysokościomierza kanciastych kształtów.

W dole rozciągał się długi dywan światła: San Leandro, Oakland, Berkeley. Barch przeleciał nad brzegiem zatoki na wysokości tysiąca stóp, schodząc stopniowo nad San Pablo Avenue.

— Zdaje się, że tam jest puste miejsce, na którym możemy zostawić łódź. Tak, tam.

Wylądował pojazdem za rzędem drzew eukaliptusowych.

— Teraz ruszamy.

Z Hambone Kelly's wylewała się na ulicę głośna i mocna muzyka.

— Interesująca muzyka. Jak mi się wydaje, ludzie wykonują taniec interpretacyjny, z elementami symboliki seksualnej — powiedziała Komeitk Lelianr.

— Cóż, tego nie wiem. To energiczny taniec, przynajmniej. Ale tak naprawdę chciałem, żebyś usłyszała muzykę - specjalny rodzaj muzyki, który może być dla ciebie nowy.

Wsłuchała się.

— Ośmio-partiowa polifonia, nieprawdaż?

Barch popatrzył na nią.

— W zespole jest tylko siedem instrumentów.

— Jeden z nich - taki brzdąkający rodzaj harfy, gra w dwóch partiach.

— Och, fortepian. — Barch nagle poczuł się przygnębiony. — Wejdźmy do środka.

Zaprowadził ją do stojącego w przyciemnionej części sali stolika. Na podwyższeniu stało siedmiu mężczyzn grających na trąbce, puzonie, klarnecie, pianinie, perkusji, banjo i kontrabasie. Grali w doskonałym rytmie; muzyka płynęła czysto i z życiem.

Barch szepnął do ucha Komeitk Lelianr:

— To jest Yerba Buena Jazz Band. Grają utwór o nazwie *Weary Blues*.

— Wcale nie brzmi jak zmęczony.

— Nie, wręcz przeciwnie. — Barch odwrócił się, by obserwować zespół.

Muzyka napływała falami, trąbka dźwięczała jak fontanna czystej energii; puzon brzmiał ciemno, szorstko, chrapliwie; klarnet był jak ognisty ptak. Nastąpił końcowe glissando i łomot instrumentów perkusyjnych, a potem westchnienie publiczności, głębokie z głębi duszy, serca, gardła.

Barch zwrócił się do Komeitk Lelianr.

— Co o tym sądzisz?

— Ta muzyka wydaje się głośna i emocjonalna.

— To muzyka naszych czasów — oznajmił żarliwie Barch. — Odzwierciedla dążenia naszej rasy; to najlepsze z naszej współczesnej kreatywności.

Komeitk Lelianr nachyliła się do przodu.

— Wygląda na to, że myślisz symbolicznymi obrazami — zauważyła. — Czy mam rację?

— Nie wiem — odparł Barch ze zniecierpliwieniem. — To nie jest ważne; nie zapomnisz na chwilę o tej całej prymitywnej antropologii?

Barch zauważył, że jej brwi drgnęły.

— Robisz to automatycznie — stwierdził z goryczą.

— Co?

— Przeskakujesz w kolejne charakterystyki. Znajdź rolę, która w danym momencie najbardziej ci odpowiada i wczuj się w nią.

Zmarszczyła brwi.

— Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób.

Machnął ręką w geście zniecierpliwienia.

— Zapomnij o tym. Posłuchaj muzyki. Po to cię tu przyprowadziłem.

Komeitk Lelianr słuchała.

— Bardzo interesująca. Ale mnie drażni. Jest zbyt szczera, zbyt bezkompromisowa.

— Nie, nie — zawołał Barch, nie bardzo wiedząc, któremu z jej stwierdzeń zaprzecza. Mówił dalej z wielką intensywnością, chcąc wzbudzić w niej uczucie do tej muzyki a, co za tym idzie, do siebie. — W twojej skali czasu jesteśmy młodymi ludźmi. Wasz świat jest spokojny, twoi rodacy są ustatkowani i zadowoleni z siebie. Ziemia jest inna! To ekscytujący czas dla Ziemi - tym bardziej od przybycia Lekthwanów. Każdy dzień jest nowy, świeży; każdy dzień jest początkiem czegoś, krokiem w kierunku jakiegoś celu. Żyjemy tymi dążeniami, tym pędem ku przyszłości - dynamizmem, który przemawia w tej muzyce.

Czekał, ale Komeitk Lelianr nic nie powiedziała. Nie mogła uporządkować swych myśli.

Barch dodał.

— Powinienem powiedzieć: duch naszej części świata. Na innych kontynentach ludzie żyją inaczej, a ich muzyka jest inna. Chińczycy uważają całą naszą muzykę za marszową - jazz, muzykę kameralną, hymny, hymny żałobne, wszystko.

Zbliżyła się kelnerka.

— Chcieliby państwo coś zamówić?

— Tom Collins, dwa razy — powiedział Barch. Powiedział do Komeitk Lelianr: — Ale to my jesteśmy dominującą siłą, przywódcami - a przynajmniej byliśmy, dopóki nie przybyli Lekthwanowie.

Roześmiała się.

— Zapomniałeś o tym na parę chwil.

— Tak, zapomniałem.

— Dlaczego mi to wszystko mówisz?

Barch zawahał się, po czym podjął decyzję.

— Ponieważ nie uważam się za barbarzyńcę. Jestem ci równy, czy ci się to podoba, czy nie. I…

Kelnerka postawiła przed nimi dwie wysokie szklanki.

— Dwadzieścia dolarów, poproszę

Barch upuścił pieniądze na tacę.

Komeitk Lelianr dotknęła szklanki, powąchała ją ostrożnie:

— Co to jest?

— Sok owocowy, woda gazowana, alkohol etylowy, cukier.

— Żywa materia?

— A jeśli tak jest? — burknął Barch. — Zasadniczo to jest węgiel, tlen, wodór; co za różnica, skąd pochodzi? Owoc teraz jest już martwy.

Wykrzywiła twarz i upiła łyk.

— To nie jest nieprzyjemne. Czy te szklanki są sterylne?

— Prawdopodobnie nie. To dlatego wlewają do nich alkohol, aby je wysterylizować.

— Och.

Siedzieli przez chwilę w ciszy. Zespół wrócił na podest, a Barch poczuł, jak Komeitk Lelianr beznamiętnie śledzi muzykę, a potem równie beznamiętnie przygląda się tancerzom.

Wzruszył ramionami i pochylił się do przodu.

— Przepraszam, że przyprowadziłem cię tu pod fałszywym pretekstem.

— Więc tak naprawdę nie ma tam żadnej z tych ceremonii, które opisywałeś?

— Być może, gdzieś w środku Afryki.

— W jednym z bardziej oddalonych regionów?

— Tak, dosyć odległych — odparł Barch sardonicznie. — Zupełnie inna rasa ludzi, różniąca się od nas tak bardzo… — miał dodać, „jak my różnimy się od was” ale przerwał. Napił się z wysokiej zielonej szklanki.

Wskazał na Murzyna siedzącego przy pobliskim stoliku.

— Ten człowiek pochodzi z Afryki.

— Wygląda na to, że nie różni się od ciebie niczym poza kolorem skóry. Czy praktykuje ceremonie, o których mówiłeś?

— Nie, oczywiście, że nie. Urodził się w naszym społeczeństwie. Czasami jednak spotyka się z nieprzyjemną dyskryminacją. — I dodał złośliwie: — Podejrzewam, że podobnie jak Ziemianie na Lekthwie.

Komeitk Lelianr zacisnęła wargi, obracając w palcach wysoką szklankę. Barch zauważył, że ledwie skosztowała napoju.

— Nie smakuje ci?

Spojrzała obojętnie w dół, popijając ze słomki.

— Czy teraz powinnam czuć się rozweselona?

— Nie, chyba że wypijesz jeszcze dwa lub trzy takie drinki.

Pokręciła głową.

— To mało prawdopodobne. — Podniosła się na nogi. — W takim razie, pójdziemy stąd.

Nadąsany Barch wyszedł za nią na ulicę i wrócili do łodzi. Walcząc o panowanie nad głosem, powiedział:

— Jeśli interesują cię nikczemne widowiska, mógłbym zabrać cię na walkę o nagrody lub mecz zapaśniczy - choć wolałbym tego uniknąć.

Spojrzała na niego z zastanowieniem.

— Wprawiłoby cię to w zakłopotanie?

— Tak, zawstydziłoby mnie.

Wzruszyła ramionami.

— W takim razie wrócimy do kopuły.

Przeszła przez burtę i wsiadła do łodzi powietrznej.

Rozdział III

Łódź wzbiła się w noc i automatycznie zawróciła w kierunku kopuły Markela, leżącej daleko na południu. San Pablo Avenue zmieniła się w jasną arterię, z przepływającymi przez nią migotliwymi plamkami świateł latarni. W górze niebo było świetliste, usiane pyłem punkcików miliona gwiazd.

Łódź leciała na południe przez wielką centralną dolinę. Za rufą, miasta zmieniły się w rozmyte pasma świateł, czerń nieba była jasna od gwiazd.

Komeitk Lelianr powiedziała cicho:

— Widzę moje ojczyste słońce, tam w górze, przy tej jasnej gwieździe…

— To Spica.

— Wyżej i na lewo jest słabsza gwiazda - Skyl, nasze słońce.

Barch przyjrzał się gwieździe bez większego zainteresowania.

— Zabrzmiało to, jakbyś tęskniła za domem.

Przytaknęła.

— Na obcej planecie czuję się bardzo samotnie i nie mam przyjaciół, dlatego staram się zagłębić w nauce.

Barch pogrążył się w zadumanym milczeniu.

Nagle, nisko przed nimi, na niebie pojawił się intensywnie zielony błysk. Komeitk Lelianr poderwała się z miejsca. Z jej gardła wydobył się jęk przerażenia.

Barch wyprostował się.

— Co się stało?

— Nie wiem… — Wcisnęła do oporu przycisk prędkości.

Na wysokościomierzu pojawiły się cienie. Komeitk Lelianr siedziała spięta, ściskając kolana; Barch spoglądał niespokojnie do przodu. W dole lśniły ośnieżone szczyty; kilka chwil później pojawiła się kopuła Markela, słabo świecąca, spokojna.

Łódź powietrzna zwolniła, opadła i osiadła na miejscu.

Komeitk Lelianr szybko wysiadła. Barch podążył za nią. Na tarasie zastygła jak posąg. Barch spytał z niepokojem:

— Co się dzieje?

— Nie wiem. Czuję coś złego.

Barch zaczął krążyć po ciemnym tarasie. W niebieskim szkle pod jego stopami jarzyły się włókienka zielonego światła.

Przed nim leżało coś ciemnego. Barch pobiegł do przodu, mięśnie jego gardła napięły się i zesztywniały. Ukląkł powoli. Claude Darran. Barch wpatrywał się w niego zdumiony. Zimny, martwy - nie do pomyślenia!

Za nim stanęła jakaś ciemna postać: Komeitk Lelianr. Barch podniósł się, otępiały. Przeszedł dwa kroki, cztery - kolejny ciemny kształt. Był mały,

leżał niedbale porzucony. Za sobą usłyszał przerażone sapnięcie. Kark Barcha zrobił się zimny jak lód. Pochylił się nad żałosnym obiektem, którym była Sia Spedz, po czym szybko wstał i przyciągnął Komeitk Lelianr do balustrady.

Oznajmiła udręczonym szeptem:

— Na Ziemię przybyli Klau. Byli tutaj…

Barch wpatrywał się w ciemność, czując się bezradny i niezdecydowany. Nie miał ochoty na śledztwo, na konfrontację z jakąś grupą morderców z innego świata. Z wnętrza kopuły nagle dobiegł huk. Komeitk Lelianr jęknęła i szarpnęła się do przodu.

Barch poderwał się na nogi, pchnął ją przed siebie i ruszył w stronę słabo świecącego wejścia. Ostrożnie zajrzał do środka: nic poza kilkoma meblami. Komeitk Lelianr przyciskała się do jego pleców, szlochając cicho. Wszedł do środka; Komeitk Lelianr rzuciła się naprzód, rozrzucając na boki zasłonę zielonego dymu. Nagle zamarła, z rękoma i nogami rozstawianymi pod groteskowymi kątami.

Barch zerknął jej przez ramię na dwa złote ciała.

Na podłodze było pełno krwi, kałuże i stróżki. Barch odciągnął oszołomioną dziewczynę do tyłu

Wymamrotała:

— Muszę się połączyć…

Przeszła niezgrabnie przez pokój, machnięciem ręki otwierając portal. Kolejne dwa ciała - goście Markela. Przy pulpicie łączności siedział wielki czarny stwór. Twarz okalała mu sztywna czarna szczecina, a oczy błyszczały jak błyszczące pinezki z czerwonymi, czteroramiennymi środkami.

Klau wpatrywał się w Barcha; nogi Ziemianina były odrętwiałe, zupełnie zdrewniałe. Burcząc i mamrocząc, Klau podniósł się, ściskając w dłoni ciężki, czarny sztylet.

Barch oparł się o ścianę, spocony; Klau zadał cios. Barch złapał czarny nadgarstek, umieścił stopę na brzuchu stwora, kopnął. Klau zachwiał się, przewrócił i upadł z tępym rykiem wściekłości.

Barch, szczerząc zęby jak wilk, wbił stopę w pulchną szyję. Grube dłonie chwyciły go za kostkę; Barch zachwiał się.

Usłyszał syk, chrząknięcie. Dłonie zacisnęły się, czteroramienne czerwone gwiazdy rozszerzyły się i powoli zwinęły się w sobie.

Komeitk Lelianr wstała, pozostawiając wbity w czarną pierś sztylet.

— Chodź, musimy iść — wydyszała. — Są tu inni!

Pobiegła do portalu. Barch zatrzymał się, by wyrwać sztylet. Usłyszał piskliwy wrzask, spojrzał w górę i zobaczył łopocący czarny kształt. Otoczyło go coś ciężkiego, porośniętego futrem. Nogi wyskoczyły mu spod ciała i został porwany, otulony jak dziecko.

Ręce trzymały go mocno, uniosły go w górę. Zawisł w powietrzu, spadał, spadał - sto stóp, tysiąc stóp, mila za milą….

Kopiąc szaleńczo nogami, Barch uwolnił się z futrzanej okrywy. Wciąż spadał... O dziwo, nie czuł żadnego ruchu powietrza, żadnego jego naporu czy wiatru na rękach i nogach. Zesztywniał do granic napięcia mięśni. Powietrze było spokojne. Był w nim zawieszony, unosił się w ciemności; brak grawitacji dawał złudzenie swobodnego spadku. Po chwili jego oczy przystosowały się już, widział ściany jarzące się matowym bordowym

światłem, jakby były rozgrzane do czerwoności. Ale powietrze było zimne, nie czuł na twarzy żadnego ciepła.

Komeitk Lelianr unosiła się spokojnie nad jego głową. Złapał ją za kostki i ściągnął w dół. Miała zamknięte oczy.

Barch rozluźnił się jak wyczerpany pływak. Wydarzenia toczyły się zbyt szybko. Zastanawiał się, „Czy obudziłem się, czy nadal śpię? To zbyt fantastyczne jak na rzeczywistość.” Próbował się przebudzić, lecz bez skutku. „Jednak już nie śpię”, zdecydował.

Sprawdzając otoczenie, zobaczył, że unoszą się w owalnej celi bez żadnego widocznego wejścia. Poczuł i usłyszał wysoki jęk, tak przenikliwy, że prawie niesłyszalny.

Barch zamknął oczy. Chciał zasnąć, zapomnieć, zignorować to, co się działo… Poczuł koło siebie poruszenie. Komeitk Lelianr otworzyła oczy. Zachowywała się w pełni rzeczowo. Obmacała sobie głowę, oblizała wargi, rozejrzała się. Jej spojrzenie spoczęło beznamiętnie na Barchu.

Barch zmusił się do zachowania spokoju w głosie.

— No i?

— Jesteśmy na statku Klau.

— Dokąd nas zabierają? Dlaczego nas nie zabili?

Komeitk Lelianr wzruszyła ramionami.

— Trupy są bezwartościowe. Prawdopodobnie skończymy na Magarak.

— Magarak?

— Centrum produkcyjne.

— Ale…

— Jesteśmy niewolnikami.

— Och.

Przed oczyma Barcha przemknęły sceny z życia na Ziemi, niczym kolorowe slajdy. Wszystko to właśnie pozostało za nim. Tego wszystkiego nie zobaczy już nigdy więcej. Pełnym napięcia głosem spytał:

— A jaki jest ten Magarak?

— Szary. Ciemny. Zimny.

Barch poczuł ogarniający go spazm wściekłości - na Komeitk Lelianr, na Lekthwanów. Czemu miałby cierpieć z powodu ich swarów?

— Dlaczego Lekthwanowie nie zrobią czegoś z tymi Klau?

Komeitk Lelianr uśmiechnęła się, na wpół pogardliwie.

— Są trzy planety Lekthwanów i czterdzieści dwa światy Klau. Toczy się między nami wojna, której być może nie jesteś w stanie do końca zrozumieć - dalekosiężna walka o naszą moralną witalność. W końcu ją wygramy. Tymczasem jednak, wielu ludzi cierpi. — Wzruszyła ramionami. — Wszechświat nie jest rajem.

— Nie — powiedział Barch. Ziemia nagle wydała mu się bardzo małym i pozbawionym znaczenia bukolicznym zaściankiem wepchniętym na jedną stronę zatargu kosmicznych imperiów.

— Więc resztę życia spędzimy na Magarak?

Nie odpowiedziała. Barch rozpaczliwie rozejrzał się po świecących ścianach.

— Czy nie możemy zostać wykupieni, czy nie da się stąd jakoś uciec?

Mówiła powoli, jak do dziecka.

— Okup nie wchodzi w grę, nie ma żadnego sposobu wymiany między Lekthwą a Klau. Klau mają energię, surowce i umiejętności techniczne.

Praca jest najbardziej deficytowym towarem we wszechświecie; praca jest bogactwem na Klau.

— A ucieczka?

Wzruszyła ramionami.

— Niedawno tuzin Lenapów ukrył się w fałszywym blistrze ładunkowym i dotarł do Maha Triad. Jeśli znajdą drogę na Lenau, Klau ucierpią. Jeśli zostaną schwytani, Klau wykorzystają ich, aby zniechęcić innych.

— Główną trudnością wydaje się być opuszczenie planety.

— Dokładnie.

Czas mijał, może dwa dni. Trzy razy ściany napęczniały pęcherzami, które pękły z trzaskiem wyrzucając do celi pakiety szarej papki.

Komeitk Lelianr kompletnie zamknęła się w sobie. Nie odzywała się do Barcha, ignorowała jedzenie. W końcu Barch przysunął się do niej.

— Jeśli nie będziesz jadła, zrobisz się słaba. Rozchorujesz się.

Spojrzała na niego ospale.

— Co z tego?

Barch zmarszczył brwi.

— W czym problem? Zrezygnowałaś?

— A z czego tu rezygnować?

— Z pewności siebie.

Powiedziała cichym głosem:

— Jesteśmy niewolnikami; niewolnicy nie potrzebują pewności siebie.

— Nie będę niewolnikiem, dopóki nie zacznę się czuć jak niewolnik.

Wydawało się, że coś w niej pękło. Jej głos zrobił się szorstki.

— Nie masz pojęcia o rzeczywistości Magarak; nie myślisz; żyjesz gotowymi doktrynami emocjonalnymi - substytutem myślenia. Co gorsza, próbujesz dopasować rzeczywistość do swoich wyobrażeń.

— Wszystko to już słyszałem — odparł spokojnie Barch. — Czasami doktryny emocjonalne sprawdzają się. Wiesz dlaczego?

— Dlaczego?

— Ponieważ ani ty, ani ja nie kumplujemy się specjalnie z rzeczywistością. Nie wiemy, czyja doktryna emocjonalna tu pasuje. W każdym razie, czy to jest niemożliwe, czy też nie, jeśli istnieje jakieś wyjście z tego obozu dla niewolników o nazwie Magarak, to ja spróbuję je znaleźć - i zabiorę cię ze sobą, jeśli tylko zdołam.

Odparła ze znużeniem:

— Twoje pomysły nie są poprawnie uformowane. Nie można uciec z Magarak tylko dlatego, że ma się wolę ucieczki.

Barch zaśmiał się ponuro.

— Bez niej na pewno się nie ucieknie. Tych dwunastu Lenapów jakoś się stąd wyrwało.

— To wielka różnica, oni są wysoko rozwiniętą rasą, mają wyczucie organizacji Magarak. Byli również w stanie kontrolować wzrost statku, na którym uciekli.

— Wzrost?

— Tak, oczywiście. Statki są uprawiane, tak jak wy, Ziemianie, uprawiacie kapustę. Lenapowie są ekspertami w technikach uprawy materii; na Lenau uprawiają swoje domy, statki oceaniczne i powietrzne. Na Lekthwie, zresztą, jest podobnie.

Barch uśmiechnął się.

— Na tym polega różnica między nami. My uprawiamy żywność i budujemy statki kosmiczne. Wy uprawiacie statki i budujecie jedzenie.

Komeitk Lelianr stwierdziła beznamiętnie:

— Łatwiej jest uprawiać statki niż je budować. Kiedy nabierzecie wprawy w projektowaniu statków kosmicznych, dostrzeżecie zalety tego podejścia.

— Pomijając kwestie kapusty, statków kosmicznych i Lenapów, istnieją inne sposoby ucieczki.

— Jakie? — Zaśmiała się krótko. — Nic nie wiesz o Magarak. Nie potrafisz sobie nawet wyobrazić tego miejsca. To nie jest kwestia zabicia jakiegoś strażnika, przeskoczenia przez ogrodzenie i ucieczki.

— Nie powiedziałem, że mi się uda. Powiedziałam tylko, że spróbuję.

Uśmiechnęła się.

— Ach tak, ta dynamiczna siła twojej rasy.

Barch popatrzył na nią z niechęcią.

— Nazywaj to sobie jak chcesz. Może kiedy rasa starzeje się, tak jak twoja, robi się nieświeża, kwaśna.

— Być może. — Wyciągnęła nogi i ręce. Po chwili odwróciła głowę i popatrzyła na niego z ciekawością. — W każdym bądź razie, twój optymizm jest stymulujący.

Barch uśmiechnął się. Wieki temu Claude Darran mówił o zdolności Barcha do optymizmu w nieco inny sposób.

Jakby podążając za jego myślami, Komeitk Lelianr mruknęła:

— Co za dziwne linie życia wijemy w kosmicznym żelu. Trzy dni temu…

Po raz pierwszy Barch zobaczył w jej oczach łzy.

Czas mijał.

Cela otworzyła się bez ostrzeżenia. Białe światło oślepiło ich oczy, zalała ich fala dźwięków, a następnie kłąb czarnych kształtów. Białe światło zostało odcięte, ściany znów były całe. Cela nagle okazała się pełna cuchnących ciał.

Barch przycisnął się do ściany. W środku znalazło się ośmiu przybyszów, sześciu mężczyzn i dwie kobiety: przysadziste białe istoty o wilgotnych twarzach buldogów. Miały na sobie brudne i zużyte szare kombinezony robocze, skórzane pończochy i buty przypominające plamy żółtej gumy.

Komeitk Lelianr wyszeptała bezdźwięcznie:

— Modokowie. Wydawało mi się dziwne, że ładownię oddano tylko nam.

Barch ostrożnie przyglądał się temu widokowi. Twarze przybyszów nie wyrażały żadnych emocji. Wywiązała się między nimi ochrypła rozmowa, a po niej zapadła martwa cisza, w czasie której cała grupa przyglądała się badawczo Barchowi i Komeitk Lelianr.

Komeitk Lelianr oznajmiła z nutą zainteresowania w głosie:

— Umieściłabym ich mniej więcej na poziomie 14-90, zgodnie z Kompletnym Rachunkiem Cywilizacyjnym. Zwróć uwagę na materiał ich ubrań; wytrzymały, raczej uformowany niż utkany; ich buty, trwale dopasowane do stóp. To muszą być niewolnicy do prac na otwartej przestrzeni, w służbie Pana Techniki.

Barch odpowiedział jej tylko niezobowiązującym mruknięciem.

— Nie jest to rzadko występujący wzorzec we wszechświecie — kontynuowała monotonnym tonem. — Ich los niewiele się zmieni na lepsze lub gorsze.

Barch wymamrotał:

— Zastanawiam się, jak długo jeszcze będziemy siedzieć w tej ładowni.

— Martwisz się o Magarak?

— Nie, ale nie podoba mi się panujący tu zapach.

— Może jeszcze kiedyś zapragniesz wrócić do tej celi.

— Myślisz, że nas rozdzielą?

— Oczywiście — odparła bezbarwnym głosem. — Najpierw niewolnicy są klasyfikowani według przybliżonych poziomów intelektualnych; muszą przejść przez salę wypełnioną pułapkami, zasadzkami, przeszkodami, nieprzyjemnymi doznaniami i tym podobnymi rzeczami, których mają uniknąć zgodnie ze swoją inteligencją. Po tym pierwszym podziale, niższe stopnie są klasyfikowane według budowy ciała, zwinności i zręczności. — Rozejrzała się po celi. — Ci niewolnicy prawdopodobnie trafią na błotniste równiny wzdłuż morza Xolboar, do wielkiego projektu rekultywacyjnego, który zużywa tysiące jednostek siły roboczej rocznie.

— A co z nami?

— Tysiące możliwości.

Barcha obudził hałas ochrypłych głosów. Przykucnął instynktownie i powoli się rozluźnił. Dwóch niewolników o pustych twarzach walczyło, niezdarnie chwytając się za głowy. Pozostali mężczyźni i kobiety przyglądali się im krytycznie.

— Obrzydliwe zwierzęta — stwierdziła Komeitk Lelianr.

Jeden z konkurentów nagle zaprzestał walki. Drugi oparł nogi o jego kwadratowe plecy, szarpnął za głowę. Oczy leżącego wykręciły się do góry, szyja trzasnęła. Nagle rozległa się hałaśliwa paplanina.

— O co oni walczą? — spytał zdumiony Barch.

— Nie sposób powiedzieć.

— Spójrz!

Dwie kobiety zaczęły okładać klapsami człowieka, który zwyciężył, spokojnie i bez śladu gniewu. W końcu uniósł on ręce, jakby w geście porażki, podszedł do jednego z obserwujących mężczyzn, złapał go za szyję i uderzył jego głową o ścianę tak mocno, że aż jego czaszka zmieniła się w galaretę. Kobiety rozmawiały ze złością przez kilka chwil, po czym straciły zainteresowanie. Nikt nie zwracał uwagi na leżące bezwładnie ciała. Padło kilka mrocznych spojrzeń w stronę Barcha i Komeitk Lelianr, jedna lub dwie monosylaby, po czym zapadła cisza.

Barch powiedział z zastanowieniem:

— Ciekawe, co by się stało... — Popatrzył w zamyśleniu na Komeitk Lelianr. — Tak na szybko, czy można powiedzieć, że te stworzenia będą na Magarak dobrze traktowane?

Przyjrzała mu się z zaciekawieniem.

— Nie mam pojęcia. Niewiele wiemy o Magarak. Zakładam, że nie będą tam tak ściśle nadzorowane jak pracownicy techniczni.

— Załóżmy, że Klau znaleźliby te ciała w twoim ubraniu i w moim...

Komeitk Lelianr wzdrygnęła się.

— Miałabym nosić te ubrania?

— Nie mamy nic do stracenia, a być może coś do zyskania.

Pokręciła głową.

— Ale nie widzę powodu…

— Jeśli wyślą nas na te błotniste równiny, będziemy tam razem!

— Och — stwierdziła Komeitk Lelianr w nagłym przypływie iluminacji. — Cóż za dynamiczna postawa, takie majstrowanie przy przeznaczeniu…

— Tak — odparł ponuro Barch. — Gdybym nie mógł czegoś zrobić, równie dobrze mógłbym od razu przyznać się do porażki. Wchodzisz w to?

Wzruszyła ramionami.

— To bez różnicy.

Barch poczerwieniał z gniewu.

— Jeśli wolisz pozostać sama, to powiedz.

— Nie, Roy. Nie mam nic przeciwko tobie osobiście.

— Dzięki — warknął Barch.

Uśmiechnęła się.

— Może naszym przyjaciołom nie spodoba się, że rozbieramy ich zmarłych.

— Wkrótce się przekonamy…

Podszedł do najbliższego ciała i spoglądając wyzywająco w sześć białych twarzy, zaczął zdzierać z niego szarą szatę.

Rozległy się pomruki. Czarne oczy stały się paciorkowate i zamyślone. Ale nikt się nie poruszył. Pod kurtką znajdował się obcisły kombinezon ze zmatowiałych włókien.

— To jest mniejsze — powiedział Barch. — Zdejmuj ubranie.

Komeitk Lelianr wyślizgnęła się z biało-czarnego kostiumu arlekina i ostrożnie włożyła czarny fartuch.

Barch rozebrał drugiego trupa do szarej, zmatowiałej bielizny, ściągając z niego płaszcz i spodnie. Ignorując kwaśny odór w nozdrzach, nałożył ubranie przez głowę.

Koło ściany pojawił się jakiś ruch. Barch uniósł gwałtownie głowę. Jeden z mężczyzn macał materiał jego płaszcza. „Moja dobra szara flanela”, pomyślał Barch. Szarpnął ją i zaczął naciągać na zwłoki.

Rozległy się pomruki. Starsza z kobiet wyrzuciła z siebie wściekłe bełkotliwe zdanie; druga wykonała gest sztywnymi palcami przy ustach. Barch zignorował hałas, zapiął płaszcz i zaczął wciskać nogi zwłok w swoje spodnie. Nogawki okazały się za krótkie; ich dolne obszycia śmiesznie przesunęły się ponad żółte plamy z wosku lub żywicy, które pokrywały stopy martwego mężczyzny.

Kątem oka Barch dostrzegł, że Komeitk Lelianr zręcznie wsuwa drugie ciało w swój czarno-biały kostium. Odwrócił się i krytycznie przypatrzył jej lśniącym srebrnym włosom.

— Niezbyt dobry z ciebie chłop.

Rozejrzał się po celi. Jeden z Modoków nosił luźną stożkową czapkę. Barch przepchnął się do niego, wyciągnął rękę i złapał za czapkę. Mężczyzna bez przekonania przytrzymał czapkę, po czym jednak wycofał się, wpatrując się w niego z pełnymi niepokoju oczyma.

Kobiety paplały coś z aprobatą.

Barch wcisnął czapkę na włosy Komeitk Lelianr.

— Zobaczmy — powiedział, przyglądając się jej, — tak jest trochę lepiej. Odwrócił się, by spojrzeć na ich współwięźniów. — To z pewnością strasznie dziwnie zachowująca się zgraja.

— To wszystko jest względne — powiedziała Komeitk Lelianr. — Bez wątpienia oni myślą o nas to samo.

Barch popatrzył na swoje buty i sandały Komeitk Lelianr.

— Myślisz, że przejdziemy?

— Trudno powiedzieć.

Statek zadrżał; usłyszeli długi głośny brzęk, jakby łańcuch kotwiczny zsuwał się po jakiejś rurze.

— Co to?

— Nie wiem. Być może, dolecieliśmy na miejsce.

— Jeśli tak, to nie zmieniliśmy ubrań ani chwilę za wcześnie.

Statkiem szarpnęło; czerwona poświata w ścianie zapulsowała jasnym i ciemniejszym odcieniem. Chwilę później cela otworzyła się. Grawitacja pochwyciła w swe szpony dziesięć ciał - osiem żywych, dwa martwe. Zsunęli się po ścianie celi, razem ze wszystkimi nagromadzonymi w środku śmieciami, odpadkami i resztkami, do gładkiego zsypu. Powietrze na ich twarzach było zimne i świeże; w uszach łomotał im głośny huk.

Oczy Barcha zaszkliły się pod wpływem nagłej powodzi światła, nogi ugięły mu się w kolanach.

— Ellen! — zawołał. — Ellen, gdzie jesteś?

Mrugając, rozglądał się dokoła. Stali na ogrodzonym terenie, przypominającym zagrodę dla bydła. Komeitk Lelianr znajdowała się kilka stóp od niego, trzymając kurczowo swoją czapkę, którą próbował odzyskać pierwotny właściciel. Barch mocno kuśtykając, podszedł do niej i uderzył mężczyznę pięścią.

Coś użądliło go w plecy, paląc jak ogień; odwrócił się, wściekle parskając. Nad nim, na rampie, stał potężny człowiek o krwistoczerwonej skórze. Ze wszystkich stron jego głowy, niczym kolce, sterczały czarne włosy. Miał oczy z czterema czerwonymi gwiazdkami pośrodku, jak Klau, i wymachiwał jakąś rurą z tryskającym z niej migoczącym wężem światła, który poruszał się w górę, w dół, do środka i na zewnątrz.

Ryknął na Barcha głosem przypominającym mosiężny róg i zamachnął się swoim biczem. W tej samej chwili, jednak, jego uwagę przyciągnęło zamieszanie w sąsiednim kojcu. Ruszył w dół rampy. Migotliwy wąż świetlny zwinął się w kłębek. Barch usłyszał ostry wrzask.

Znalazł się u boku Komeitk Lelianr, oszołomiony i wściekły, potrząsnął głową, jakby chciał oczyścić ją z zamroczenia, popatrzył do góry na trąbiących czerwonych nadzorców wymachujących świetlnymi biczami.

Bezpośrednio nad jego głową otworzył się właz; runął na niego strumień ciał. W ostatniej chwili odskoczył na bok, popchnął Komeitk Lelianr do ogrodzenia, z dala od kotłującego się centrum zagrody, i tu dopiero złapał oddech.

Statek nadal był rozładowywany. Mężczyźni i kobiety kłębiąc się, ześlizgiwali się, wypluwani z otworów pod statkiem, a ich upadek kończył się na rozpaczliwie krzyczących nieborakach na dole.

Za wielkim kadłubem Barch dostrzegł kształty dwóch innych statków. Za nimi wznosiła się fasada wysokiego na milę budynku, którego linia dachu rozmywała się we mgle. W powietrzu płynął jednostajny ryk głosów, przypominający szum nadbrzeżnych fal; w zagrodach unosił się zapach błota, rdzy i amoniaku.

Komeitk Lelianr powiedziała mu chłodno do ucha:

— Jesteśmy częścią niezbyt wartościowego ładunku. Czeka nas ciężka praca i szybka śmierć.

Popatrzył na nią niepewnie.

— Powiedziałaś to tak, jakby cię to nie obchodziło.

— Wiem czego się spodziewać. To jest Magarak.

Barch stwierdził:

— Osobiście, ja jestem sztywny z przerażenia.

Wzruszyła ramionami.

— Zaakceptuj to; strach minie.

Barch popatrzył na nią gniewnie.

— Zaakceptować to? Niech mnie diabli! Boję się tylko, że nie będę w stanie sprawić, by te diabły pożałowały dnia, w którym mnie ujrzały na oczy!

Rzuciła okiem na szczyt rampy.

— Podruodowie wkrótce sprawią, że to ty będziesz go przeklinać.

— Mają oczy jak Klau.

— Są podgatunkiem Klau. Są Wielcy Klau, Mali Klau, Bornghaleze, Podruodowie – cała gromada Klau. Podruodowie to żołnierze, strażnicy, wojownicy.

Rozległ się metaliczny stukot, któremu towarzyszyły odległe okrzyki. Barch obrócił głowę i zobaczył długi, stłumiony grom wibrujący w przód i w tył na niebie. Nad nimi przeleciało sześć białych kul - jedna po drugiej, jak rakiety.

Wyszeptał do ucha Komeitk Lelianr:

— To istne szaleństwo.

Krótko skinęła głową.

— W porównaniu z innymi częściami Magarak, tu jest względnie spokojnie.

Nad ich głowami rozbrzmiał niczym klarnet głos jednego z Podruodów.

— Hej! Hej! Hej!

Bezpośrednio za ich plecami otworzyło się ogrodzenie.

— Chyba wyruszamy — mruknął Barch.

Obok zaczął płynąć nagły strumień szarych ciał o przerażonych białych twarzach. Barczyste ramiona uderzały w Barcha.

— Ellen! — zawołał. Rozpaczliwie rozejrzał się dookoła. — Ellen! Gdzie jesteś? Ellen!

Ramiona gniewnie rzuciły się na niego, został poniesiony przez falę.

— Ellen!

Wydawało mu się, że usłyszał swoje imię; zatrzymał się, by posłuchać. Nic nie słyszał poza szuraniem i stukotem nóg, dzwoniącymi okrzykami wielkich czerwonych Podruodów.

Przed nim pojawiła się rampa. Czterech stojących na jej końcu obok siebie Modoków, wskoczyło na coś, co wyglądało jak długa, czarna barka. Na jej rufie stał Podruod z nogami pomalowanymi na niebiesko, twarz miał jak z gumy, krzyczał, wrzeszczał.

Barch wyciągnął szyję, przepatrując morze obcych twarzy. Pięćdziesiąt stóp przed sobą zobaczył Komeitk Lelianr.

— Ellen!

Odwróciła głowę. Wielka czerwona dłoń zasłoniła jej twarz; potykając się weszła na rampę.

Druga rampa otworzyła się po prawej stronie Barcha; Podruodowie ryknęli, kierując niewolników w nowych kierunkach.

Barch parł do przodu, teraz pod prąd. Zobaczył Komeitk Lelianr w połowie rampy. Podruod zaryczał, uderzył go; świetlny wąż wystrzelił z trzaskiem.

Barch upadł na kolana; nogi napierały na niego, depcząc mu po rękach i nogach.

Czołgał się z uporem, widząc przed sobą masywne nogi Podruoda. W nagłej furii poderwał się do przodu, uderzając w te nogi. Wielkie ciało przewróciło się; świetlny bicz potoczył się w pyle. Barch rzucił się na niego, ale chybił. Pozbierał się na nogi, pobiegł w górę rampy, wcisnął się w ostatnią grupę kierowanych na barkę.

Z tyłu doleciał ochrypły wrzask; Barch, zerkając przez ramię, zobaczył grupę Modoków kopiących wielką kolczastą głowę, uśmiechniętych, rechocących.

Po rampie zaczęły łomotać kroki Podruodów, strzeliły świetlne węże, szarzy ludzie posłusznie, jednostajnym krokiem rozeszli się na swoje rampy. Czerwony człowiek wił się, kopał ziemię, leżąc jak żuk na grzbiecie.

Barch przedarł się do przodu.

— Ellen! — Chwycił ją za ramię. — Myślałem już, że cię zgubiłem.

Chwyciła go za rękę i mocno ścisnęła. Serce Barcha zabiło z radości. Prawie warto było przylecieć na Magarak.

Za nimi brzęknęła brama. Barka zadrżała, uniosła się w powietrze i ślizgając się nad ziemią, wyleciała z placu niewolników.

Barch i Komeitk Lelianr, ostatni na pokładzie, oparli się o reling. Komeitk Lelianr wskazała na otaczającą ich panoramę.

— A teraz popatrz sobie na Magarak…

Rozdział IV

Otaczająca ich sceneria była zbyt rozległa, zbyt złożona aby można było ogarnąć ją umysłem. Barch odbierał tylko wrażenia jakichś rozbłyskujących świateł, gigantycznych obiektów w ruchu, monstrualnych kształtów. Bliżej położone światła przypominały paleniska pieców: żółte, pomarańczowe, zielonkawo-białe, czerwone; te na horyzoncie błyszczały i migotały jak gwiazdy.

W uszach rozbrzmiewał im nieustanny ciężki pomruk, atakujący ich już od tak długiego czasu, że zdawał się stanowić nieodłączną cechę tej planety. Po niebie przemieszczały się niekończone szeregi jakichś kształtów – nisko przelatujących z potężnym hukiem czarnych obiektów, podobnych do biegających po błyszczących linach pająków, do tego rozlatujące się na różnych wysokościach chmury barek, przywodzące na myśl eksplozję jakichś ciemnych oparów. W dole widać było budynki: szaro-białe, zielonkawo-szare, czarne, pomarańczowe, niektóre z nich słabo poznaczone rzędami okien, inne puste jak świeże płótno. Pomiędzy nimi rozciągały się ciemne szczeliny migoczące głęboko w dole żółtą lub niebieskawą poświatą.

Barch popatrzył w niebo, zadymione, ciężkie od sadzy, pokryte dziobami nisko zawieszonych chmur.

— Czy to dzień, czy noc? To musi być dzień.

Komeitk Lelianr spytała z przekąsem:

— I jak ci się podoba Magarak?

— Czuję się jak mrówka w młockarni — burknął Barch. Rozejrzał się po horyzoncie. — Jak daleko ciągnie się ten dom wariatów?

— Musimy być na Kdoa — zadumała się. — To duży kontynent - ma około pięciu tysięcy mil szerokości.

— Pięć tysięcy mil czegoś takiego!

Skinęła głową.

— W dole są koszary, sklepy dla żołnierzy i żłobki.

— Żłobki - dla kogo?

— Dla dzieci niewolników. Niewolnicy są zachęcani do rozmnażania się. Kobiety często zachodzą w ciążę, aby uniknąć ciężkiej pracy. Dzieci niewolników są najlepszymi niewolnikami, nie znają innego życia.

Barch w milczeniu obserwował, jak kształty i światła Magarak pozostają w tyle.

— Czy nadal sądzisz, że będziesz potrafił — kiwnęła głową — pokonać coś takiego?

Barch popatrzył na nią z urazą.

— Myślisz, że nie spróbuję?

— Nie. Myślę, że spróbujesz. Myślę, że skończysz wisząc na sieci. — Dodała bezdźwięcznie: — To tam poddaje się karze niewolników.

Barch wpatrywał się w burtę. Kolejna barka dryfowała w ich kierunku, mijając ich dwieście stóp w dole. Barch dostrzegł na niej sześć długich, ciemnych kształtów, przypominających wrzeciona, z których błyskały białe, skierowane w górę twarze. Barki oddalały się od siebie.

W dole rozpostarło się ołowiane morze, apatyczne i obojętne; dryfowali ku niemu nad ponurymi błotnistymi równinami. Przed nimi pojawiła się długa czarna linia, która w miarę zbliżania się barki rozpadła się na skupiska ludzi, stosy wyciętych kamiennych bloków, pajęcze sieci dźwigów. Na morzu usypywana była tama z błota; w głębokich, nasączonych wodą dołach, poruszający się powoli jak zmarznięte mrówki robotnicy, układali razem wielkie bloki kamienia.

— To właśnie będziesz robił — powiedziała płaskim głosem Komeitk Lelianr.

Barch wpatrywał się w ponure doły.

— A co się stanie z kobietami?

— Jakiś inny rodzaj pracy. Być może przy łupaniu kamieni.

Minęli barkę załadowaną granitowymi blokami. Barch zapytał:

— Co utrzymuje w powietrzu te barki? Czy używają tych samych maszyn, co statki kosmiczne?

— Tak bym to sobie wyobrażała. — Jej głos pozbawiony był cienia zainteresowania. — Zasada spójności poziomej ma charakter fundamentalny.

— Ale czy byłyby one w stanie opuścić planetę?

— Przypuszczam, że tak. — Spoglądała, jak projekt rekultywacji pozostaje za rufą. — Nie kierujemy się tam, przynajmniej tyle.

Brzeg oceanu zakrzywiał się za nimi; przed nimi zamajaczyło się pasmo gór. Niebo szybko ciemniało. Słońce schowało się za chmurami.

— Ciekawe, jak daleko jeszcze? — spytał Barch.

Komeitk Lelianr zmarszczyła brwi.

— Jeśli te góry to Palamkum, to tam było Morze Tchul, a jesteśmy na Kredbon, a nie na Kdoa. Myślę, że za tymi górami znajduje się Morze Xolboar.

— Więc zostaniemy poklasyfikowani i przydzieleni do pracy?

— Tak sądzę.

Barch z zainteresowaniem przyjrzał się górom. Tworzyły je wielkie masy białych skał, porozcinane głębokimi dolinami i wąwozami. Zbocza dolin porastała czarna roślinność, a na wysokich przełęczach i szczytach błyszczał śnieg.

Barch spytał przyciszonym głosem:

— Czy twoje buty utrzymają nas oboje?

Popatrzyła na niego najpierw ze zdziwieniem, a potem badawczo.

— Nie.

— Powiedzmy, że wyskoczylibyśmy z barki.

— Gdybym utrzymała się nogami w dół, spadlibyśmy powoli.

— Nigdy nie daliby rady nas tam złapać.

Wpatrywała się w ciemne pustkowie.

— Umarlibyśmy z głodu.

— Może tak, może nie. Przynajmniej bylibyśmy wolni. Uniknęlibyśmy błotnistych dołów, baraków niewolników.

Popatrzyła na Modoków i podjęła decyzję.

— Bardzo dobrze. Spróbuj postawić swoje stopy na moich.

Barch spojrzał za burtę. Lecieli nad długą doliną.

— Teraz — mruknął Barch. — Jesteś gotowa?

— Tak.

— Teraz! — Zerwał się i wspiął na barierkę. Komeitk Lelianr zwinnie wspięła się za nim. Zaskoczone białe twarze odwróciły się w ich stronę. Rozległa się podekscytowana paplanina, kilka rąk niepewnie wyciągnęło się ku nim.

Barch obnażył zęby i odkopnął je. Zamieszanie przyciągnęło wzrok kontrolującego ich Podruoda. Wielkimi krokami ruszył do przodu.

— Jestem gotowa — wydyszała Komeitk Lelianr. — Stań na moich stopach.

Barch wyskoczył w górę, chwycił ją w pasie i razem znaleźli się w szarym powietrzu. Dostrzegł prostokątny kadłub barki, który przemknął nad nimi, z setką małych punkcików główek, rysujących się na tle zmierzchającego nieba. Niebo i góry wirowały w przyprawiającym o mdłości szaleńczym ruchu.

Komeitk Lelianr krzyczała mu do ucha.

— Na moje stopy, na moje stopy!

Barch zacisnął nogi wokół jej nóg, postawił stopy na podbiciu jej stóp. Poczuł hamowanie, niebo i góry ustabilizowały się.

Spoglądając z niepokojem w górę, zobaczył barkę dryfującą spokojnie dalej; jej ładunek tonął powoli w mgiełce szarości, zmieniając się w niewyraźny kłąb, jak ładunek juty. Odwrócił wzrok w dół. Masywna skała, przypominająca zgniły ząb, zbliżała się ku nim z przerażającą prędkością; poniżej znajdowała się rozległa szczelina doliny, lśniąca strużka rzeki.

— Hamujemy — zapewniła go. — Im niżej schodzimy, tym wolniej spadamy.

Barch rozluźnił się i próbował naśladować jej ruchy, gdy zmieniała rozłożenie ciężaru. Ciemne liście roślin sięgały już ku nim. Trzydzieści stóp… dwadzieścia stóp… dziesięć stóp…

Rozległ się trzask, hamowanie, ruch łamiących się pni i trzaskających gałęzi. Barch dostrzegł zbliżającą się ziemię, czarną próchnicę górskiego zbocza; skoczył z wysokości sześciu stóp, by nie wylądować ze stopami Komeitk Lelianr pod nogami. Krzyknęła zaskoczona. Uwolniona od ciężaru Barcha, wzbiła się z powrotem w powietrze. Złapała się jakiejś gałęzi, robiąc obrót w przód i w tył jak akrobatka, po czym powoli opadła na ziemię.

Wylądowali na wysokim zboczu. Niebo w górze zmieniło się już w czarną pokrywę; w dole wilgotny wiatr przebijał się z szumem przez dolinę. Drzewa trzaskały i stukały, a z oddali dolatywał jakiś ostry, bulgoczący świst. Komeitk Lelianr szepnęła:

— Co to?

— To śniadanie, jeśli tylko zdołam je złapać — odparł Barch.

— W ciemności to ono może złapać ciebie.

Popatrzyli w dół zbocza, znaleźli rzekę.

— Tu w górze będzie nam cieplej — stwierdził Barch — z dala od doliny. Lepiej nie rozpalajmy ognia, dopóki nie dowiemy się więcej o okolicy.

W małym zagłębieniu pod skałą ułożył warstwę mchu, suchej próchnicy i przykrył się liśćmi zerwanymi z drzew.

— Jak spanie w stogu siana — stwierdził Barch. — Wchodzisz pierwsza.

W nocy padał deszcz, ale wiatr odepchnął go od skał i było im sucho. Poranek na Magarak wstał wilgotny i szary.

— Auć! — oznajmił Barch, — bolą mnie wszystkie kości. — Pomacał się po twarzy. — Przynajmniej nie ma zarostu. Muszę za to podziękować twojemu ojcu.

Komeitk Lelianr siedziała, strzepując mech ze swojego szarego fartucha. Barch kontynuował wesoło.

— Następny punkt, to śniadanie. Jesteś głodna?

Nie odpowiedziała.

Barch wstał, rozejrzał się uważnie w górę i w dół zbocza. Drzewa w świetle dnia przypominały nieco wodorosty: czarne i brązowe, z czerwonymi żyłkami wzdłuż liści. Niebo w górze zasnute było chmurami.

Barch ściągnął gałąź i odłamał kiść orzechów. Rozłupał jeden z nich, powąchał i wzdrygnął się od gryzącego zapachu.

— Nie widać tu niczego nadającego się do jedzenia. Zobaczmy, co jest nad wodą.

Ostrożnie zeszli w dół, do rzeki. W jej rozlewisku stało jakieś czarno-zielone stworzenie z głową sowy, skrzydłami nietoperza i nogami czapli. Patrzyło, jak się zbliżają, po czym poderwało się i skrzecząc, odleciało z łopotem skrzydeł w głąb doliny.

— To dobry znak — stwierdził Barch. — Oznacza to, że jest tu coś do złapania. To ptaszysko nie tylko się kąpało.

— Łapiemy żywe stworzenia, a potem je zjadamy?

— Jesteśmy teraz dzikusami — zauważył Barch beztrosko. — Oboje, pamiętasz?

— Pamiętam bardzo dobrze.

Barch podkradł się do przodu i przykucnął przy brzegu rozlewiska. Woda wirowała spokojnie na okrągłych kamieniach o różnych kolorach. Przebadał dno. Jeden z okrągłych kamieni poruszył się. Barch zanurzył się ręce w zimnej jak lód wodzie i wyciągnął wijący się kłębek. Zwisające macki owinęły się mu wokół nadgarstka; jego skóra zapłonęła jak oparzona płomieniem. Barch zaklął i wyrzucił kłębek na brzeg. Kłębek pomknął z powrotem w stronę rzeki. Barch kopnął go i rzucił w niego kawałkiem skały. Kiedy podniósł kamień, pod nim nie było niczego poza matą białawych włókien i mułu.

Barch odwrócił się z obrzydzeniem. Na nadgarstku utworzyła się mu czerwona rana, a kości przedramienia bolały.

— Chodźmy w dół rzeki — wycedził przez zaciśnięte zęby. — Może znajdziemy coś, z czym mniej trudno będzie się dogadać.

Rzeczka płynęła łagodnie przez sto metrów, po czym zaczęła ostro opadać. Waliła o schodki skalnych półek, rozbijając się o głazy. Zsuwając się po mokrych skałach, Barch kilkanaście razy omal nie upadł. Zerknął przez ramię i zobaczył Komeitk Lelianr, która szła spokojnie dwa lub trzy metry nad rzeką.

— Żałuję, że nie mam drugiej pary sandałów — stwierdził zdziwiony Barch.

Komeitk Lelianr nic nie odpowiedziała.

— Na jak długo wystarczy im energii? — spytał Barch.

— Przy stałym użytkowaniu może na miesiąc lub dwa.

— A jak wysoko możesz chodzić?

— Dwieście lub trzysta stóp w górze. Wyżej, jeśli będę ostrożna.

— Załóżmy, że wzbijesz się pięćdziesiąt stóp do góry i powiesz mi, co widzisz.

Kołysząc się i poruszając się jak na szczudłach, wzbiła się w powietrze. Wiatr porwał ją i poniósł w dół doliny.

Barch wspinał się po skałach, by dotrzymać jej kroku.

— Co widzisz?

— Skały, więcej czarnych drzew, jezioro.

— Żadnego dymu? Żadnych budynków?

— Nic. — Wróciła na dół wielkimi, ślizgającymi się krokami. — Myślisz, że znajdziemy coś do jedzenia?

— Oczywiście — odparł Barch z przekonaniem. — Być może nad jeziorem.

Kilka chwil później dolina rozszerzyła się. Przed nimi rozciągało się jezioro, z grubsza okrągłe, otoczone najpierw obwódką bagna, a potem pasem otwartego zbocza porośniętego ciernistymi krzewami. Każdy krzak kończył się ciasnym, zielonym woreczkiem, podobnym do zielonej śliwki. Barch zerwał jedną, rozerwał, powąchał miąższ.

— Pachnie trochę jak werbena cytrynowa albo laur.

Komeitk Lelianr stwierdziła praktycznym tonem.

— Prawdopodobnie jest trująca.

Barch powąchał jeszcze raz, z powątpiewaniem.

— Jedna nie zaszkodzi mi zbytnio…

— Może sprawić, że się rozchorujesz.

— Wtedy będziemy wiedzieć, że to trucizna; nie ma to jak metoda empiryczna. — Wgryzł się w woreczek, żuł z zamyśleniem. — Nie smakuje zbyt dobrze.

— Spójrz — powiedziała Komeitk Lelianr. — Znowu to latające coś.

Barch upuścił ciernistą jagodę i patrzył, jak sowia głowa, skrzydła nietoperza i nogi czapli ślizgają się w niezgrabnym lądowaniu przy brzegu jeziora.

— Jeśli uda nam się go złapać — oznajmił Barch — będziemy mieli pieczoną sowę.

Schylił się, podniósł jakiś kamień i ostrożnie ruszył przed siebie.

Sowa-nietoperz-czapla brodziła w jeziorze - zatrzymała się, jedną nogę unosząc wysoko w powietrze. Noga szarpnęła do przodu, poderwała się z powrotem w górę; w powietrzu zakręcił się jakiś czarny kształt i spadł w cierniste zarośla.

— To wygląda jak ryba — wykrzyknął Barch. Ptak ruszył w kierunku swojej zdobyczy. Barch pobiegł do przodu, wymachując rękami. — Hej, zostaw to.

Delikatnie wyłowił czarną rybę z cierni, podczas gdy sowa-nietoperz-czapla poleciała z powrotem do wody. Komeitk Lelianr przyglądała się temu z niesmakiem.

Barch rzucił jej swoją zapalniczkę do papierosów.

— Ty rozpal ogień, a ja to oczyszczę.

Położył stwora na płaskiej skale nad rzeką, odciął głowę i ogon ostrym odłamkiem kamienia. Zaciskając zęby, rozciął miękki brzuch, ciągnął, skrobał, mył, aż w końcu pozostały mu tylko dwa paski skórzastego, białego mięsa.

Komeitk rozpaliła ognisko na skraju lasu; Barch znalazł parę zielonych gałązek i uważnie upiekł dla nich rybę.

— No dobrze — oznajmił — pachnie całkiem nieźle. — Położył rybę na kamieniu i oblizał palce. — Nawet dobrze smakuje.

Komeitk Lelianr zjadła bez komentarza.

— Nie jest zbyt sycąca — stwierdził Barch — ale dziś nie będziemy głodować. Popatrzył z powrotem na zielone cierniste jagody. — Nie smakowały najlepiej, ale nie odczuwam jeszcze żadnych dolegliwości. Przeciągnął się nad ogniskiem. — Teraz lepiej się rozejrzyjmy.

Powietrzem wstrząsnęła odległa eksplozja. Echo niosło się po dolinie.

— Co to?

Komeitk Lelianr stała i nasłuchiwała.

— Prawdopodobnie gdzieś za górą znajduje się kamieniołom.

Barch z niepokojem przepatrzył zbocze góry.

— Musimy zbadać teren, dowiedzieć się, gdzie jest najbliższa osada, jeśli w ogóle istnieje.

— Co potem?

— Dowiemy się więcej, gdy zobaczymy, jak wygląda ta ziemia. Gdyby udało nam się jakoś ukraść jedną z tych barek, moglibyśmy… — Jego głos urwał w pół słowa. Złapał Komeitk Lelianr i wciągnął ją za ciernisty krzew. — Cicho!

Po drugiej stronie jeziora trzech ludzi stało jak słupy szarej skały.

— Zobaczyli nas — wyszeptała Komeitk Lelianr.

— Nie sądzę. Widziałem, jak wychodzili z lasu.

— Jeśli pójdą tędy wokół jeziora, to nas zobaczą.

— Nadchodzą.

Barch ujął w dłonie okrągłe, ciężkie kamienie i czekał na przybyszów w napięciu.

Rozdział V

Dwóch ze zbliżających się ludzi było ciemnoskórych, o szczupłych i lisich twarzach; trzeci był cytrynowożółty, z płaską, okrągłą twarzą i pomarańczowymi brwiami, nastroszonymi jak rogi. Poruszali się miękkim, skradającym się krokiem, który przywodził na myśl ostrożność jelenia.

— Mają łuki i strzały — mruknął Barch. — To nie mogą być ani niewolnicy, ani strażnicy.

— Być może oni również są uciekinierami — stwierdziła Komeitk Lelianr.

Ludzie zbliżyli się do nich, ich głosy dobiegały już z bagna. Przez ciernie Barch mógł dostrzec każdy szczegół ich twarzy oraz ubrań. Dwadzieścia metrów od nich zatrzymali się i odwrócili, by popatrzeć w dół doliny.

W oddali rozległ się dźwięk przypominający głos trąbki, po chwili kolejny z innego kierunku, a potem jeszcze jeden, zaskakująco blisko nich. Trzej przybysze syknęli w nagłym przerażeniu, pomknęli zboczem pod górę i zniknęli pod pokrywą czarnych liści.

Barch niespokojnie podniósł się na nogi i popatrzył na jezioro.

— Cokolwiek to jest, z pewnością to nic dobrego. Lepiej też stąd sobie pójdźmy.

Komeitk Lelianr rzuciła się jak długa na ziemię i chwyciła go za kostkę.

— Na ziemię! — wyszeptała. — Podruodowie!

Barch upadł, przytulając się do ziemi. Z lasu wyskoczyła smukła, czerwona postać. Stanęła wyprostowana, uniosła kolczastą głowę i zawołała; nad jeziorem rozległy się podobne do trąbki dźwięki.

Czekał. W oddali rozległy się inne głosy przypominające myśliwskie rogi.

Podruod stał jak posąg; Barch i Komeitk Lelianr przytulili się do podmokłej ziemi.

Rozległ się trzask gałęzi, tupot pośpiesznie biegnących stóp. Na polanę wpadł gruby człowiek ze stożkowatą kępką różowych włosów. Zobaczył Podruoda i zamarł jak wmurowany. Podruod przyglądał się mu bez drgnięcia mięśni. Grubas ostrożnie zaczął przemieszczać się dookoła jeziora. Podruod wykonał skok do przodu i zatrzymał się. Barchowi przypominało to zabawę kota z myszą.

Podruod ponownie uniósł głowę, znów rozległ się jego metaliczny głos. Za grubasem na polanę wskoczyło dwóch kolejnych Podruodów. Grubas biegł gorączkowo, dysząc i jęcząc.

Nad głową Barcha przemknął jakiś cień; podrzucił do góry głowę z konwulsyjnym szarpnięciem, które wbiło mu szpilę bólu w kark. Była to długa na dziesięć stóp i szeroka na cztery stopy tratwa, na której leciał

Klau. Gdyby Klau popatrzył prosto w dół, mógłby dostrzec Barcha i Komeitk Lelianr, lecz jego wzrok utkwiony był w grubasie.

Pod tratwą zwisała ciemna masa, przypominająca kłąb starych szmat; gdy tratwa przesunęła się do przodu, rozłożyła się, wypuszczając ramiona, niby długie czarne węże. Owinęły się one dookoła klatki piersiowej uciekiniera, wokół jego nóg i kostek. Potknął się, upadł w cierniste zarośla, gdzie leżał kopiąc, miotając się, kwicząc jak koń.

Tratwa powoli ruszyła dalej, przeciągnęła go przez krzaki, przez błoto, do jeziora. Zatonął znikając z oczu. Powierzchnia jeziora bulgotała i kotłowała się. Tratwa uniosła się wyżej; gruby człowiek zwisał teraz bezwładnie. Pokryty był cały okrągłymi brązowymi kubkami. Jeden po drugim kubki opadały, rozpryskując się z powrotem w jeziorze. Barch rozpoznał żądlące mięczaki, które oparzyły go w rękę. Przywarł jeszcze mocniej do ziemi. Czarne ramiona zaczęły się kurczyć, grubas został uniesiony w powietrze; czarny płaszcz opadł w wiotkich fałdach wokół niego, zamknął się pod nim, zmieniając się w ciasny worek.

Tratwa uniosła się i zsunęła cicho w dół doliny. Barch odwrócił się, by poszukać Podruodów. Zniknęli.

Przez chwilę leżał bezwładnie, po czym szturchnął Komeitk Lelianr. Głośnym szeptem przekazał jej:

— Uciekajmy za drzewa.

Pospiesznie wspięli się na wzgórze. Długie, czerwone, czarne liście opadały wokół nich niczym witki płaczących wierzb. Sami niczego nie widzieli, nie mogli też być widziani. Na grubej warstwie próchnicy ich stopy nie wydawały żadnego dźwięku. Co jakiś czas Barch zatrzymywał się, by nasłuchiwać. Cisza.

Światło przebiło ścianę liści. Zbocze wyrównało się, opadając nieco dalej w płytką nieckę. Próchnicza ziemia przerzedziła się, odsłaniając znajdujący się pod nią kredowobiały margiel.

Barch usłyszał przyspieszony oddech i obrócił się na pięcie. Za nim stał szeroko uśmiechnięty Podruod z ogoloną głową, ubrany w czarny luźny ubiór i czarne buty. Powoli, z fantazyjnym rozmachem wyciągnął rękę; srebrny kawałek błyszczącej stali niemal dotknął piersi Barcha. Wzrok Barcha przeniósł się na drugiego mężczyznę, szczupłego, o żółtawobiałej skórze, który chwycił od tyłu ręce Komeitk Lelianr.

Barch zawahał się. Zabrzmiał stanowczy metaliczny głos Podruoda. Barch nie odpowiedział. Podruod odezwał się ponownie, tym razem z wyraźnie brzmiącym naciskiem. Barch widział, jak mięśnie stwora napinają się do pchnięcia; mgliście usłyszał, jak Komeitk Lelianr odpowiada w tym samym języku. Podruod rozluźnił się, schował podobne do rapiera ostrze; śmierć cofnęła się o krok.

Podruod odwrócił się do Komeitk Lelianr, omiótł ją spojrzeniem z góry do dołu. Przemówił ponownie; Komeitk Lelianr odpowiedziała mu.

— Co on mówi? — dopytywał się Barch.

Komeitk Lelianr odparła obojętnym tonem:

— Chcą wiedzieć, czy jest nas więcej. Oni też są zbiegłymi niewolnikami. Ten Podruod musi być jakimś przestępcą.

— Och. — Barch odprężył się. — To wszystko?

Komeitk Lelianr odparła niezobowiązująco:

— Większość.

— Co masz na myśli?

— Wygląda na to, że żyje tu coś w rodzaju plemienia. — Kiwnęła głową w stronę Podruoda. — On jest wodzem.

Dokonana przez Podruoda inspekcja Komeitk Lelianr nagle wzbudziła niepokój Barcha. Oznajmił pośpiesznym ale monotonnym głosem:

— Wpuść energię do butów. Nie trzyma cię mocno, zdołasz się wyrwać. Ja rzucę się w dół zbocza.

Zanim Komeitk Lelianr zdążyła odpowiedzieć, Podruod szybkim ruchem wyciągnął ostrze. Ruszył do przodu, pchnął Barcha ciężką dłonią w ramię.

Barcha ogarnęła wściekłość; wymierzył cios. Podruod uśmiechnął się i uchylił. Kawałek stali zabłysnął w powietrzu; śmignął jakby żartobliwie; ćwierć cala metalu wbiło się w ramię Barcha. Blady z gniewu i frustracji Barch szarpnął się do tyłu.

— Roy — zawołała Komeitk Lelianr, — bądź rozsądny! Bądź mu posłuszny, albo zginiesz!

— Wpadłaś mu w oko — wydyszał Barch. — Jak tylko zaciągną nas do jakiejś swojej jaskini…

Stal znów groźnie błysnęła; Podruod szczeknął coś szorstko. Barch potykając się ruszył do przodu, czując w dołku bolesny ciężar.

Przeszli przez otwarty teren i wspięli się po krótkim zboczu do ściany stromego wapiennego klifu. Żółtawobiały mężczyzna wskazał Komeitk Lelianr zacienione zagłębienie w skale. Na jego końcu Barch dostrzegł wąską szczelinę. Pierwszy z ludzi i Komeitk Lelianr wślizgnęli się do szczeliny. Barch podążył za nimi, po omacku pokonał krótkie, nieregularne przejście, po czym potknął się i wpadł do niskiego holu, tuż za dziewczyną.

Przydymione żółte lampy i płonący ogień dawały ciepłe światło; stały tu dwa szorstkie stoły, ławy, w powietrzu wisiał zapach jedzenia i ciał. Widać było ze dwudziestu lub trzydziestu ludzi, mężczyzn i kobiet; inni wyglądali zaciekawieni z ciemnych kątów.

Barch stał w napięciu, wpatrując się w Komeitk Lelianr. Wódz wydał polecenia parze ubranych na szaro ludzi; odwrócił się i zawołał coś na drugi koniec jaskini, gdzie na ogniu bulgotał garnek. Mierzył trzy cale ponad sześć stóp, był wspaniałym stworzeniem, masywnym, grubym, lecz bez krzty zbędnego ciała. Miał ogoloną głowę, twarde kościste rysy i chodził w swoich ciężkich czarnych butach tak lekko, jak Lekthwanowie chodzą w powietrznych sandałach. Barch spojrzał z niepokojem na Komeitk Lelianr. Obserwowała wodza, a światło lamp migotało w jej oczach.

Wódz podszedł do niej i położył jej ręce na ramionach. Barch rzucił się do przodu, odbił silny policzek otwartą dłonią. Uderzył pięścią, poczuł odrętwiający ból gradu ciosów. Lampy, ściany, ogień, twarze stały się nic nieznaczącym tłem. Czerwona twarz była skupiona, nozdrza rozszerzone. Barch obrócił tę twarz zamaszystym sierpowym; a twarz obróciła się bez zmiany swego wyrazu. Barch poczuł, że schodzi z niego powietrze, nogi miał ciężkie jak kłody, z trudem uniósł ręce.

— Ellen — wykrztusił — weź jakiś kamień, rozwal mu łeb…

Komeitk Lelianr przycisnęła się do ściany i odwróciła twarz. Barch otrzymał trzy potężne ciosy. Już pierwszy poczuł jakby dostał ołowianym młotem i światła zgasły. Drugi spowodował, że ogarnęła go ciemna fala, a trzeci był już jedynie hukiem odległego grzmotu.

Barch obudził się na stosie skór. Usiadł i obmacał się po twarzy. Była opuchnięta i obolała. Przy długim stole po drugiej stronie pokoju trzy lub cztery kobiety ubijały posiłek w kamiennych moździerzach.

Na końcu siedziała Komeitk Lelianr. Wstała, pochyliła się nad garnkiem i podeszła do Barcha z miską.

— Wypij to, a poczujesz się lepiej.

Barch zaczął mówić, ale słowa dławiły go w gardle. Wziął miskę i wypił. Komeitk Lelianr stała i patrzyła. Barch wpatrzył się w nią zimno.

— Jak ci się układa z wodzem?

— Z Cletem? — Wzruszyła ramionami.

— Zauważyłem, że mówicie tym samym językiem.

— To wspólny język, który znają wszyscy.

Barch oddał jej miskę i odwrócił głowę do ściany. Kilka minut później podniósł się na nogi, wyszedł na zewnątrz, oparł się o klif i zwymiotował.

Unosząc głowę, zobaczył dwu szarych ludzi idących zboczem wzgórza, niosących między sobą kosz. Za nimi szedł Clet, wódz Podruod, z bestią wielkości dzika przewieszoną przez ramię. Spoglądając beznamiętnie na Barcha, wszedł do jaskini.

Barch usiadł na skale i potarł obolałą głowę. Po chwili uniósł głowę i przyjrzał się dolinie. Miała kształt zbliżony do Morza Śródziemnego, z jaskinią w miejscu które można by porównać z położeniem Libii. Wysokie góry otaczały kraniec lewantyński; na miejscu Gibraltaru rzeka przecinała wąskie, strome wcięcie; wzdłuż Lazurowego Wybrzeża zauważył wejście do drugiej doliny. Dokładnie naprzeciwko jaskini, na pozycji Włoch, wznosiło się wielkie, zaokrąglone urwisko, dominujące nad doliną. Dziwne, pomyślał Barch, że Klau nie utrzymują tam fortu. Przyglądając się uważnie, zdawało mu się, że dostrzega zarysy ruin.

Nisko nad górami unosiły się chmury, spadło kilka kropel deszczu. Barch podniósł się na nogi i zadrżał, gdy zimny podmuch wiatru przeniknął przez szatę Modoka.

Popatrzył niepewnie w stronę wejścia do jaskini. Dwaj ludzie z koszem siedzieli teraz obok niego, łuskając jakiegoś rodzaju orzechy. Jeden z nich pstryknął palcami w stronę Barcha.

Barch popatrzył na niego i odwrócił wzrok. Postanowił jednak, że pracując nie będzie wyglądał tak głupio, jak odmawiając pracy. Zawsze mógł opuścić jaskinię, ale dlaczego miałby to zrobić? Był wolny, nakarmiony i miał schronienie, nie było powodu, aby odchodzić. Barch usiadł i zaczął łuskać orzechy.

Minął tydzień, dwa, trzy, miesiąc. Barch opanował proste rutynowe czynności w życiu plemienia, złapał odrobinę wspólnego języka. Kilka razy wybrał się na polowanie, a raz zabił duże, brązowe, dwunożne stworzenie przypominające hybrydę kangura i jaszczurki, za co otrzymał serdeczne gratulacje.

Eksplorował jaskinię. Ze wspólnej sali prowadziły cztery różne korytarze. Dwa odchodziły mniej więcej poziomo, wijąc się przez szereg małych komór, zakamarków, nisz i zagłębień, w których spali członkowie plemienia. Trzeci prowadził w dół, obok komnaty Cleta, schodząc dalej w otchłanie pod górą. Czwarty służył jako przewód kominowy dla ognia i prowadził do ogromnej przestrzeni nad salą, zwanej Wielką Dziurą. Na jednym końcu, gdzie skalna ściana była ledwie cienką skorupą, przez

szczelinę sączyło się światło dzienne. Zwisały w niej stalaktyty, wznosiły się stalagmity, od czasu do czasu łącząc się, tworząc wrzecionowate kolumny o fascynującej wysokości. To w Wielkiej Dziurze Barch ułożył swoje posłanie z próchnicy i prymitywnie wyprawionych skór.

Plemię liczyło trzydzieści cztery osoby: dwudziestu jeden mężczyzn, dziesięć kobiet i trzech osobników wątpliwych. Ci ostatni byli Calbyssynianami: Armian, Ardl, Arn, których płeć stanowiła gorączkowo strzeżoną tajemnicę. Byli drobnymi, ładnymi istotami o błękitnych oczach i fioletowo-złotych włosach. Otulali się luźnymi pelerynami i spędzali cały wolny czas, próbując wydobyć od siebie nawzajem wszelkie sekrety. Ich podpowiedzi, podstępy i przebiegłe strategie rozmowy dostarczały Barchowi niemal jedynej rozrywki.

Oprócz Calbyssynian było jeszcze czterech Byathidów: trzech wysokich różowych mężczyzn o lisich oczach, garbatych nosach i jedwabistych włosach w kolorze cynamonu; jedna różowa kobieta o wystających kościach i głosie podobnym do owcy.

Kolejnymi członkami plemienia był Kerbol oraz jego ponura kobieta, krępi i szaro-zieloni, o spiczastych głowach i przypominających żaby twarzach.

Było też trzech Splangów o twarzach jak siekiery i skórach podobnych do skóry Cordovan: Chevrr, Skurr oraz chuda kobieta o twarzy żuka, którą się dzielili.

Do grupy należeli też dwaj Griffici, podobni do kotów ludzie o czujnych, podkrążonych oczach, sztywnych wąsach, których otaczała atmosfera mściwej zawziętości, która jednak nigdy się nie ujawniła otwarcie.

Kolejnym wchodzącym w skład plemienia był duży brązowy mężczyzna, który stracił nos; nazywał się Płaska Twarz. Kontrolował on dwie łyse i porywcze kobiety nieodgadnionej rasy.

Następnym był Pedratz, w kolorze tafty i pachnący piżmem, z brwiami uniesionymi w fantastyczne rogi. Był też Moranko, ponury i przystojny młodzieniec, który nienawidził Cleta, a obecnie również i Barcha. Był też krasnolud, Moses, o twarzy klauna i skórze jak u srokatego konia.

Modoków, o twarzach buldogów, należało do grupy aż sześciu: czterech mężczyzn i dwie kobiety. Przykucnęli sami z tyłu sali, obserwując wszystko szerokimi, podejrzliwymi oczami.

Kolejnym członkiem plemienia był Sl, białoskóry mężczyzna z białą rozwidloną brodą i rozdwojonym nosem, który robił wszystko podwójnie; następnym był muzyk, Lkandeli Szet. No i był jeszcze Barch; była Komeitk Lelianr; był Clet i jego dwie kobiety: para młodych istot nie wiadomo jakiej rasy, które stanowiły pierwotną własność Lkandeli Szet.

Dokonując tej mentalnej inwentaryzacji, Barch oszacował, że jaskinię zamieszkiwało co najmniej piętnaście ras z tylu również planet. Siedząc cicho z tyłu, przyglądał się temu całemu melanżowi z kpiącym rozbawieniem. Z pewnością nie można było powiedzieć, że jego życie było nudne czy bezbarwne.

Na Ziemi nikt nawet nie podejrzewał istnienia Magarak. Chociaż, obecnie… Czując mdłości w żołądku spekulował na temat rajdu Klau. Co było ich celem?

Po drugiej stronie sali rozległy się krzyki dwóch łysych kobiet Płaskiej Twarzy. Clet, siedzący przy dużym stole naprzeciw ognia, uniósł swoją

kościstą, czerwoną głowę; kłótnia ucichła. Clet nie lubił hałasu. To było jednym z powodów, pomyślał sobie Barch, dla których plemię tak bardzo zróżnicowane pod względem pochodzenia zebranych w nim istot, mogło żyć we względnej zgodzie. Kolejny związany był z fundamentalną naturą ich egzystencji, czymś w rodzaju kulturowego najmniejszego wspólnego mianownika, etapu, przez który przeszła każda z tych ras. Dla Barcha etap ten miał miejsce zaledwie trzy lub cztery tysiące lat wcześniej. Zerknął na Komeitk Lelianr, która siedziała, rysując palcami przypadkowe wzory na stole. Ile czasu minęło, od chwili gdy jej przodkowie mieszkali w jaskiniach? Sto tysięcy lat? Milion?

Wyglądała czysto i świeżo, zauważył Barch. Jej oblicze było szczuplejsze, a usta straciły coś ze swych dziewczęcych krzywizn. Wyraz jej twarzy stał się nieobecny, zdystansowany, bez wątpienia w wyniku stoickiej lub fatalistycznej charakterystyki.

Barch wstał i wyszedł na zewnątrz, w ciemność. Mgła, która nie zmieniła się jeszcze w mżawkę, zwilżyła mu twarz. Na tle rozmytej szarości wapiennego klifu dostrzegł ciemny kształt. Jego serce zatrzymało się na chwilę, a potem znów zaczęło bić. Był to Kerbol, którego natura obdarzyła skórą w kolorze mokrej skały, wyłupiastymi oczami i ustami podobnymi do klapy. Barch pamiętał, że Kerbol narzekał na gorąco w sali i zdawał się rozkoszować chłodną wilgocią doliny.

Barch stanął obok niego; każdy, kto wolał samotność doliny od wnętrza sali, wydawał się kandydatem na sprzymierzeńca.

Kerbol chrząknął, a po chwili powiedział głębokim, dudniącym głosem:

— Mgła opada, wiatr wieje w dół Palkwarkz Ztvo. Jutro chmury będą wysoko, a wtedy Klau przybędą na polowanie. Jutrzejszego dnia lepiej będzie trzymać się w pobliżu jaskini.

Barch przypomniał sobie trąbiących Podruodów, szalonego grubasa, tratwę Klau z zwisającymi pod nią czarnymi ramionami.

— Jak często Klau polują?

— Co osiem, dziesięć dni, jeśli pogoda dopisuje. To są Klau z dystryktu Quodaras; Palkwarkz Ztvo stanowi ich region. Klau z Xolboar polują w Poriflammes. — Wskazał na dolinę wchodzącą do Palkwarkz Ztvo w pobliżu jej wyjścia.

Barch doznał nagłego oświecenia.

— A więc żyjemy w rezerwacie łowieckim; jesteśmy tolerowani, aby zapewnić Klau emocje sportowe!

— Planeta Klau jest odległa o tydzień drogi; Klau muszą się jakoś zabawić.

Barch powiedział w zamyśleniu:

— Ja z pewnością dobrze bym się bawił, polując na Podruodów i Klau.

Kerbol przetrawił ten pomysł.

— Twoje myśli biegną w dziwnych kierunkach. Bardzo dziwnych.

Barch zaśmiał się kwaśno.

— Ja nie widzę w tym nic dziwnego. Jeśli Klau polują na mnie, to sprawiedliwe byłoby, żebym ja też polował na nich.

— To nie jest właściwa teoria polowania — Kerbol stwierdził uprzejmie.

— To nie jest teoria polowania Klau, to moja teoria. Czy musimy żyć według teorii Klau?

Kerbol powiedział w zamyśleniu:

— W kamieniołomie musi być dziś gorąco.

Głucha eksplozja nad Grzbietem Kebali wstrząsnęła powietrzem doliny.

— Teraz wzięli się za strzelaninę — stwierdził Kerbol. — Zauważyłeś podwójny wstrząs?

— Nie.

— Ładunek składał się z dziesięciu puszek abiloidu oraz dwudziestu super. Super rozbija skałę, abiloid spycha ją w dół.

— Wygląda na to, że dużo wiesz o materiałach wybuchowych.

Kerbol skinął ponuro głową.

— Pięć lat wierciłem i odpalałem, wierciłem i odpalałem. I zawsze w upale. Uciekłem do lasu i dotarłem przez górę Kebali do Palkwarkz Ztvo, gdzie musiałem zaryzykować życie z łowcami na karku.

Barch spytał z zaciekawieniem:

— Co to za czarne urządzenie, które wisi pod tratwą Klau?

— One służą do… — Kerbol przerwał na chwilę, szukając właściwego słowa — przeciągania rzeczy. W fabrykach podnoszą ładunki. Klau je hodują; są na wpół żywe.

— Klau mają też inną broń?

— Tak. Strzela na duże odległości; mała drzazga wbija się w brzuch człowieka i eksploduje. Człowiek jest martwy.

Barch popatrzył w górę i w dół ciemnej doliny. Mgła się podniosła, na twarzy poczuł powiew prądu powietrza o zapachu gnijącej roślinności. Z oddali dobiegało ostre brzęczenie i pisk. Barch mruknął:

— W nocy mógłby tu przyjść cały pułk Podruodów.

Kerbol poruszył się niespokojnie.

— To się nigdy nie zdarzyło.

— Ale może się zdarzyć — zauważył Barch.

— Masz dziwne, nieprzyjemne myśli — mruknął Kerbol.

Następnego dnia zachmurzenie było duże, a wiatr lekki. Członkowie plemienia trzymali się blisko jaskini. Nie było jednak słychać trąbiących okrzyków, a Klau nie pojawili się.

Kolejny dzień był taki sam, w dolinie ciągle panował spokój. Ludzie z plemienia znów odeszli zaledwie kilkaset metrów od klifu, a podczas wieczornego posiłku w garnku znalazło się tylko kilka skrawków kleiku.

Trzeci dzień zapowiadał się wietrznie, a poszarpane szare chmury przewalały się nad górą Kebali niczym fale nad morzem.

Clet rozkazał Płaskiej Twarzy, Barchowi, Modokom i Calbyssynianom wyjść na zewnątrz, aby zbierać orzechy do jedzenia, podczas gdy pozostali ludzie udali się do lasu na polowanie na mięso.

Godzinę później rozległo się trąbienie Podruodów. Barch i Calbyssynianie poderwali się, chwycili napełnione do połowy worki i pośpiesznie wrócili na zbocze wzgórza.

Po drugiej stronie doliny rozbrzmiewały okrzyki myśliwych, zbiegające się w pobliżu dominującego urwiska; oglądając się przez ramię, Barch dostrzegł złowieszczy, ciemny cień tratwy Klau.

Łowcy wracali do jaskini pojedynczo, z szeroko otwartymi ze zmęczenia oczyma.

Po drugiej stronie doliny trąbiące odgłosy nagle ucichły. Stojąc w szczelinie, Barch zobaczył, jak czarna tratwa zsuwa się w dół doliny, w kierunku nieckowatego zagłębienia.

Czterech myśliwych jeszcze nie wróciło: Clet, Moranko, dwóch Splangów - Chevrr i Skurr.

Clet wślizgnął się jako pierwszy, jego koścista, czerwona twarz wyglądała beznamiętnie. Następny wrócił Moranko, niosąc martwe stworzenie, które wyglądało jak wełnista gąsienica. Mijały kolejne minuty. Do schronienia dotarł Chevrr. Wymamrotał kilka słów do Cleta, pokazał kciukiem w stronę doliny.

Splang o imieniu Skurr, został wytropiony i zabity.

Pod wpływem nagłego impulsu Barch opadł na siedzenie naprzeciwko miejsca, w którym siedział Clet, ostrząc nóż.

— Myślę, że powinniśmy coś zrobić z tymi polowaniami.

Clet rzucił mu krótkie, chłodne spojrzenie i wrócił do swojej pracy. Stal zgrzytała o kamień, światło lampy migotało i mrugało na metalu, gdy wielkie czerwone dłonie metodycznie głaskały go osełką. Barch uniósł głos:

— Nie musimy przecież jedynie szwendać się bezczynnie po tej dolinie.

Przerwał; Clet nie okazał zainteresowania.

Starając się powstrzymać gniew w głosie, Barch powiedział:

— Co tydzień ktoś z nas ginie.

— Zawsze jeszcze więcej przybywa — zauważył Clet. — Zbyt wielu ludzi w jaskini, to nic dobrego.

— Następnym razem, kiedy Klau będą polować, mogą dopaść ciebie albo mnie. — Clet wzruszył tylko ramionami. — Zamiast tego to my powinniśmy zapolować na nich - zabijać Podruodów, zabijać Klau.

— Nie, nie — odparł niecierpliwie Clet. — Bo wtedy przyleci okręt wojenny i zabije nas wszystkich. Chyba dobrze nam się żyje tak jak teraz, co? — Roześmiał się z zadowoleniem. — Jedzenie, kobiety, hej? Tak samo jest od wielu, wielu lat. Najlepiej tego nie zmieniać.

Barch podniósł się powoli na nogi, patrząc z frustracją na Cleta, który odpowiedział mu beznamiętnym spojrzeniem, po czym wrócił do ostrzenia noża.

Rozdział VI

Minęło pięć dni, kiepskich dni, wypełnionych chmurami, deszczem i burzowymi podmuchami, przeszywającymi Wielką Dziurę niesamowitymi poświstami.

Szósty dzień był spokojny, z wysoko płynącymi ławicami chmur falującymi czernią rybiej łuski. Barch zastał Cleta jedzącego śniadanie, składające się z pieczonego mięsa i owsianych placków.

— Dziś Klau mogą się znów pojawić. Gdybyśmy zeszli do niecki i ukryli się w miejscu, w którym wchodzą do doliny…

Clet pokręcił z uporem głową, jednocześnie obgryzając kość.

Komeitk Lelianr klęczała przy ognisku, przygotowując owsiane placki, które piekły się na rozgrzanym kamieniu. Odwróciła głowę, odezwała się krótko.

— Nie kłóć się z nim, Roy, on jest bardzo uparty.

Clet uniósł głowę.

— Co ona powiedziała?

Rzucił kość i położył czerwone dłonie na stole.

Barch popatrzył na niego z niesmakiem. Krew krążyła mu żwawo w ciele. Czuł się silny. Jego głos zrobił się ochrypły i głęboki.

— A może chcesz przez całe życie gnić w tej jaskini, jak zwierzę!

Oczy Cleta zabłysły pod czarnymi brwiami; zdawał się słuchać nie tyle Barcha, co jakiegoś wewnętrznego, potajemnego głosu.

— Są sposoby na opuszczenie Magarak, jeśli będziemy współpracować.

Clet chrząknął pogardliwie i wrócił do swojej kości.

— Teraz zacznie się bredzenie szaleńca.

Barch poczuł zaskoczenie.

— Bredzenie szaleńca?

Wielkie, białe zęby Cleta zalśniły w uśmiechu. Wyciągnął kość w stronę Komeitk Lelianr.

— Wiele mi opowiadała o tobie — stwierdził. — Jesteś szalonym człowiekiem, chciałbyś latać w kosmosie jak jakiś mag. — Głos mu się uniósł, oczy zabłysły. — Ale teraz koniec szalonych gadek; to jest Palkwarkz Ztvo, ja nazywam się Clet.

Barch powoli podszedł do wylotu jaskini, wziął swój łuk i kołczan ze strzałami.

— Ho! — zawołał szorstko Clet. — Dokąd to idziesz?

— Nie twój cholerny interes.

W głębi jaskini rozległ się nagły chrobot ławki; Barch zauważył, że Clet sięga po swój łuk. Uskoczył w wyjście z jaskini i ruszył pełnym biegiem przez otwartą przestrzeń. Dostrzegł Cleta stojącego w wejściu niczym

bohaterski posąg Marsa: łuk był naciągnięty, strzała spoczywała na cięciwie w oczekiwaniu na strzał. Barch rzucił się na ziemię; strzała świsnęła mu nad głową. Podniósł się, uskoczył w stronę drzew, gdzie nałożył strzałę na swój łuk i czekał, blady oraz roztrzęsiony.

Po niedbałym zlustrowaniu doliny Clet wrócił do jaskini.

Barch ruszył posępnie w dół zbocza pod trzepoczącymi liśćmi. Niezbyt chwalebna ucieczka, pomyślał. Zatrzymał się i popatrzył w stronę jaskini. Przypomniał sobie, jak po raz pierwszy zobaczył Komeitk Lelianr, wychodzącą radośnie z wymalowanej w cyrkowe paski kosmicznej kuli. Jeśli w ogóle go wtedy zauważyła, to tylko jako część miejscowej scenerii, tubylca. Poczuł nagły przebłysk zrozumienia dla tego jak się czuła. Biedna dziewczyna, pomyślał Barch, nawet ziemskie jedzenie było dla niej odrażające... No cóż, to już tylko przeszłość. I co teraz? Prawdopodobnie, gdy gniew Cleta opadnie, będzie mógł wrócić do jaskini. I tak będą mijały kolejne lata, on będzie się starzał, zaś płonący w nim ogień coraz bardziej gasł.

Nie, powiedział sobie Barch, nie, jeśli umrze dzisiaj pod tratwą Klau. Odwrócił się i pobiegł truchtem do zagłębienia terenu u wylotu doliny. Wspiął się na lewe zbocze, osiadł w najwęższym miejscu.

Czas mijał. Wiatr hulał chłodem po całej dolinie, za górą Kebali unosiły się czarne chmury. Kropla dotknęła mu nosa; tylko jedna. Nawet deszcz wisiał dzisiaj w powietrzu, niezdecydowany. Kiepski dzień, na oczekiwanie na pojawienie się Klau.

Wtedy usłyszał tupot butów i ciche brzęczenie głosów Podruodów. Barch poczuł mrowienie pierwotnych emocji. Usiadł prosto, rozluźnił mięśnie.

Ośmiu Podruodów wbiegło kłusem do doliny, lekko jak tancerze w swych czarnych butach. Ich piersi okrywały kirysy, a czarne kolce wibrowały przy każdym kroku. Za nimi podążała wyłożona miękkimi poduchami tratwa, unosząca się trzy stopy nad ziemią. Siedział na niej młody Klau w bordowej uprzęży, trzymając dłoń na dwóch wiszących na stojaku karabinach. Zatrzymał tratwę i rozejrzał się po dolinie. Barch dostrzegł w jego oczach krwistoczerwone gwiazdy.

Klau dotknął stopami urządzeń sterowniczych, wylądował, zeskoczył na ziemię, przeciągnął się. Niedbale naradził się z sierżantem Podruodów, lustrując kontury doliny, po czym wskazał ręką kierunek.

Sześciu Podruodów ruszyło cicho w zasłonę czarnych liści. Dwóch pozostało z tyłu, ustawiając się w niewielkiej odległości od wejścia doliny.

Klau leniwie wziął jeden ze swoich karabinów - wygląda jak automat z długą lufą, pomyślał Barch - i zważył go w dłoni.

Barch ustawił się na pozycji. Naciągnął łuk... Teraz! Strzała pomknęła w dół, wbijając się w tył czarnego łba.

Barch rzucił się w dół zbocza, wskoczył na tratwę, sięgnął ponad czarnym ciałem, pochwycił broń. Obaj Podruodowie wydali z siebie cichy syk oburzenia i przerażenia – „Och!”.

Barch wycelował, nacisnął spust. Nic. Podruodowie rzucili się w jego stronę z gębami rozdziawionymi w wyrazie ogromnej wściekłości. Barch chwycił za wystającą dźwignię, być może blokadę bezpieczeństwa. Nacisnął ponownie spust; pierwszy z potworów upadł na twarz. Barch nacisnął jeszcze raz; upadł drugi.

Barch nasłuchiwał przez chwilę. Wszędzie cisza, z wyjątkiem szumu rzeki i odległego odgłosu szelestu liści. Co teraz? Chwycił za bordową uprząż Klau i wciągnął jego ciało w zarośla. Odwrócił się do tratwy, usiadł na niej; pod jego ciężarem podskakiwała jak łódź. Włożył stopy w urządzenia sterujące, zaczął eksperymentować.

Tratwa trzęsła się, szarpała ostro w przód i w tył, wznosiła się z niepokojącym przechyłem. Barch cofnął stopy; tratwa powoli opadła. Spróbował jeszcze raz i w końcu sprowadził tratwę z powrotem do wylotu doliny.

Zeskoczył na ziemię, obejrzał przerażający czarny kłąb pod tratwą. Zabrał nóż jednemu z zabitych Podruodów i przeciął dwa pasy, które przytrzymywały kłąb do tratwy. Ten upadł na ziemię z miękkim, gąbczastym odgłosem. Barch kopnął go ostrożnie, przetoczył go nogą do rzeki, gdzie kłąb się rozwinął, otworzył i zwiotczał.

Następnym problemem było poradzenie sobie z sześcioma Podruodami, którzy wciąż znajdowali się w dolinie. Wleciał tratwą na ścianę rozcięcia terenu i usiadł w miejscu, gdzie wcześniej czuwał. Czekał godzinę, z absolutną cierpliwością. Wiatr stracił na sile, niebo zrobiło się wysokie i łagodne.

Ćwierć mili dalej zobaczył Podruodów, najwyraźniej zdezorientowanych dziwnym zachowaniem Klau. Barch zaśmiał się cicho. Kilka minut później zbliżyli się nieśmiało dnem doliny. Przy zwłokach dwu pozostałych Podruodów zatrzymali się zdziwieni, rozglądając się we wszystkie strony. Barch wycelował i wystrzelił szybko sześć razy. Sześciu ludzi padło, jakby bawili się w wojnę.

Barch zszedł na dół i wciągnął ciała w zarośla. Kolejna grupa myśliwych może, ale nie musi, zauważyć zapach padliny; w tej chwili Barch specjalnie się tym nie przejmował.

Wspiął się na tratwę i poleciał nisko nad koronami drzew w wyższe partie doliny. Sto metrów od jaskini zacumował tratwę i zeskoczył na ziemię. Ostrożnie zbliżył się do szczeliny wejściowej. Jedna z kobiet, Modok, przynosząca wodę, popatrzyła na niego bez cienia zainteresowania. Barch skinął na Kerbola, który siedział na zewnątrz i strugał łuk, po czym wszedł do jaskini.

Clet obrzucił go przelotnie spojrzeniem, znad stołu.

— Oto nasz szalony człowiek, wraca z polowania.

Położył swoje wielkie czerwone dłonie płasko na stole, zaczął wstawać.

Barch uniósł broń, nacisnął spust. Clet upadł na twarz. Koniec z Cletem.

Kobiety zaczęły krzyczeć z zaskoczenia i przerażenia; Płaska Twarz wrzasnął z oburzenia; po szybkim spojrzeniu Modokowie wybiegli z sali z białymi twarzami. Barch oznajmił tonem tak swobodnym, jak tylko potrafił:

— Zwołajcie tu wszystkich. Teraz ja tu rządzę i mam coś do powiedzenia.

Jaskinia stopniowo wypełniała się szepczącymi postaciami. Barch usiadł na stole, opierając stopy na ławie. Rozejrzał się po jaskini. W plemieniu pozostały trzydzieści dwie osoby, Clet i Skurr nie żyją.

Zastanawiał się, co powiedzieć - problem retoryczny, który onieśmieliłby każdego. Trzynaście różnych ras, trzydzieści jeden różnych mózgów; trzynaście podstawowych wzorców umysłowych, trzydzieści

jeden pod-odmian. Koncepcja, która pobudziłaby jednego, innego mogła pozostawić zupełnie obojętnym.

— Jedna rzecz jest istotna — zaczął. — Nie zabiłem Cleta, dlatego że go nienawidziłem. Clet nie żyje, bo był głupi. Clet musiał umrzeć, bo miał umysł niewolnika. Pod rządami Cleta snuliście się po tych wzgórzach jak zwierzęta. Klau przychodzili co tydzień; co tydzień ktoś był ścigany po całej dolinie i zabijany. W ciągu kilka tygodni każdy z nas mógł się spodziewać, że zostanie upolowany i zginie.

— Teraz będzie inaczej. Nie jesteśmy już niewolnikami, jesteśmy ludźmi. Kiedy Podruodowie wejdą do doliny, zabijemy ich. Nie musimy już więcej uciekać. Mamy łuki, mamy strzały, będziemy ich zabijać.

— Ha! — Westchnienie pochodziło od jednego z Griffitów, który stał kręcąc swoimi małymi wąsami.

— Ale to tylko drobiazg. Najważniejsza jest ucieczka. Chcę wydostać się z Magarak. Chcę wrócić do domu. Czy wy, pozostali, chcecie wrócić do swoich domów?

Rozległ się szmer przyciszonych głosów.

Kerbol mruknął stanowczo:

— Wygłaszasz szalone słowa. Nie potrafimy latać w kosmosie jak księżycowe smoki.

— Nie ma na to żadnego sposobu — wykrzyknął Płaska Twarz.

— Obaj się mylicie — odparł spokojnie Barch. — Kilka miesięcy temu uciekł tuzin Lenapów. Są na to setki sposobów. Oto mój pomysł. — Zrobił chwilę przerwy. Zapadła kompletna cisza. — Ukradniemy barkę i zbudujemy na niej hermetyczne pomieszczenie. Załadujemy żywność i zapasy i zostawimy Magarak za sobą. Plan jest bardzo prosty. Oczywiście są pewne trudności; trzeba będzie wymyślić jak je pokonać. Lecz plan nie jest niemożliwy do przeprowadzenia. Nie mamy nic do stracenia; czyż i tak nie zostaliśmy już przez Klau skazani na śmierć?

— Kiedy opuścimy Magarak, polecimy na najbliższą przyjazną planetę. Spędzimy dłuższy czas w kosmosie; ale w końcu dotrzemy na miejsce. lecz od chwili, gdy opuścimy Magarak, nie będziemy już niewolnikami ani zbiegami; będziemy podróżnikami kosmicznymi. A kiedy dolecimy na miejsce, będziemy bohaterami i będziemy mieli wiele do opowiedzenia naszym przyjaciołom i rodzinom.

Jeszcze raz rozejrzał się po zebranych dookoła twarzach. Jak mogli oprzeć się jego entuzjazmowi? Musieli równie mocno jak on pragnąć opuszczenia Magarak.

Chevrr, Splang o twarzy topora, warknął:

— Łatwo o tym gadać. Gdzie znajdziemy materiały i narzędzia?

Barch roześmiał się.

— To są problemy, które przed nami stoją. Pojawi się wiele innych problemów, będzie wiele pracy i niebezpieczeństw. Ale jeśli wszystko pójdzie dobrze, wygramy. Co mamy do stracenia? Działając, zamiast tylko trwać, przestajemy być zwierzętami; stajemy się ludźmi.

— Gdzie mielibyśmy zbudować taką barkę? — odezwał się Kerbol z basowym dudnieniem. — Będzie widoczna z powietrza. Klau wylądują z ludźmi i nią odlecą.

— Jedyne odpowiednie miejsce, jakie znam — powiedział Barch — to Wielka Dziura. Jej ściana zewnętrzna to tylko cienka skorupa; przez

szczeliny w niej, wpada światło. Wybijemy otwór, przeciągniemy przez niego barkę, a następnie ułożymy skały z powrotem. Co wy na to? Nie dam rady sam zbudować statku kosmicznego, jesteście ze mną?

Rozglądając się wokół siebie, po twarzach swych towarzyszy, widział bierność, dezorientację, głupotę. Tu i ówdzie dostrzegł też przebłyski nadziei, wyobraźni, entuzjazmu.

Kerbol zadudnił:

— Warto spróbować. Nie mamy nic do stracenia. Spróbujemy.

— Dobrze — oznajmił Barch z uśmiechem. — Widzę, że wszyscy jesteście ze mną. Ale na wypadek, gdyby — spojrzał, niby przypadkiem, w dół, na rozłożone czerwone ciało Cleta — inni myśleli tak jak Clet, powinni powiedzieć to teraz.

Nikt się nie odezwał.

— Doskonale — stwierdził Barch z jeszcze szerszym uśmiechem. Zeskoczył na podłogę. — Najpierw najważniejsze rzeczy. Zanim zdobędziemy barkę, potrzebujemy miejsca, aby ją ukryć.

Wziął lampę i wspiął się przejściem do Wielkiej Dziury. Plemię zawahało się, po czym jeden po drugim podążyli za nim.

Wilgotne szare ściany lśniły w żółtym świetle, cienie wiły się i tańczyły. W miejscu, w którym wychodziło przejście z sali, podłoże było prawie równe, na obszarze stu stóp kwadratowych. Na przeciwległym krańcu, gdzie ściana była cienka, z podłoża wystawały agatowe kocie łby.

Barch przeszedł do przeciwległej ściany i wspiął się po luźnym gruzie.

— Tutaj zrobimy dziurę. To będzie niezła robota, ale trzeba to zrobić.

Kerbol chrząknął.

— Przy pomocy kilku puszek abiloidu wybicie dziury byłoby równie łatwe, jak wyłuskanie orzecha.

Barch przyjrzał mu się uważnie.

— Pracowałeś w kamieniołomie za wzgórzem. Wiesz, gdzie trzymają materiały wybuchowe?

Kerbol chrząknął potakująco.

— Dziś wieczorem — oznajmił Barch — ty i ja odwiedzimy kamieniołom

Nocne ciemności wypełniały Palkwarkz Ztvo już od dwóch godzin, gdy Barch i Kerbol wspięli się na pokład tratwy Klau. Niesiona wiatrem mgła zmoczyła im twarze, kiedy tratwa wznosiła się w górę; zbocze góry pod nimi było bezbarwne jak zmięta czarna tkanina, z wyjątkiem pojedynczej iskierki światła, mrugającej na płaskiej powierzchni przed jaskinią.

Kerbol dotknął ramienia Barcha.

— Tam, nad górą Kebali, a potem w dół.

Barch skinął głową. Góra Kebali majaczyła przed nimi niczym podwodna rafa, a w dole, na zboczu, widać było samotne skupisko świateł. Daleko za nim rozciągała się świetlista plama dystryktu Quodaras.

— Kerbol — powiedział Barch do ciemnej postaci stojącej za nim — w tym projekcie musimy ufać sobie jak bracia, a także podejmować rozsądne środki ostrożności. Jakie są według ciebie szanse, że ktoś z plemienia zdradzi nas przed Klau?

Kerbol wydał z siebie dudniący dźwięk.

— Szanse są zerowe. Zdrajca nic by na tym nie zyskał. Klau nie potraktowaliby takiej szalonej opowieści poważnie, a jej autor zostałby wysłany do kopalni arszeniku jako zbiegły niewolnik. To prawda — mówił dalej — że niektórzy nie mają wcale ochoty opuszczać Palkwarkz Ztvo; życie na ich ojczystych światach nie jest lepsze niż to tutaj. Z drugiej strony, w plemieniu reprezentowanych jest kilka planet o wysokiej randze - moja własna, Perdu, Calbys, Koethena, Lekthwa.

Zamilkł. Barch nie odezwał się.

Kerbol mówił więc dalej:

— Ja chętnie zobaczę moją rodzinną wioskę; leży na równinie Sponis, która jest błękitna od darni i porostów, a płynie tam rzeka Erth.

— Ziemia? — wtrącił Barch. — Tak się nazywa moja planeta.

— Ziemia? — Kerbol przeciągnął to słowo na języku. — Nigdy o niej nie słyszałem. — Zastanowił się chwilę. — Wy na Ziemi, musicie być szalonymi i fantazyjnymi marzycielami. Przez dwanaście lat pracowałem jako niewolnik na Magarak, do tego przez dwa żyłem jako wolny człowiek w Palkwarkz Ztvo; a nigdy nie słyszałem o tak śmiałym przedsięwzięciu.

— Wydaje mi się, że to pierwsza rzecz, o której powinno się pomyśleć.

Światła kamiennego kamieniołomu przemieściły się, rozproszyły się z wolna, jak otwierający się cudowny, jasny, nocny kwiat. Barch popatrzył w dół na kamieniołom.

— Muszą pracować przez całą noc.

— Limity są ciężkie do wykonania; na rekultywację oceanów potrzeba strasznie dużo kamienia. Zauważ — wskazał ręką Kerbol — że północna ściana jest następna w harmonogramie; wiercą tam teraz, aby rozpocząć roboty strzałowe. A tam — jeszcze raz wyciągnął rękę — jest skład materiałów wybuchowych. Barka przylatuje załadowana, wsuwa się do składu; opróżnia się ją, wysuwa i bierze się za nowy ładunek.

— Jakie zastosowano tam środki ostrożności?

Kerbol wzruszył ramionami.

— Po pierwsze, ogrodzenie pod napięciem, nad którym możemy przelecieć. Jeśli natrafimy na linie alarmowe, to będziemy je omijać. Wewnątrz magazynu będzie paru w coś grających lub śpiących Podruodów, oraz dyspozytorzy Bornghaleze, którzy ładują zamówienia na wychodzącą z niego taśmę.

— Załatwimy ich, jeśli się pojawią.

Tratwa obniżyła lot, światła kamieniołomu rozbiegły się na wszystkie strony. Stukot młotów, urywane zgrzyty maszyn rozbrzmiewały głośno w mglistą noc. Jasnoniebieskie punkciki ognia wskazywały miejsca, w których palniki wytapiały w skale otwory na ładunki strzałowe. Na dachu magazynu rysowały się cztery matowe kwadraty kopuł wentylacyjnych.

Barch opuścił tratwę na dach, zszedł z niej i ostrożnie podszedł do jednej z kopuł. Wysunął głowę w światło, popatrzył w dół. Wyczuł za sobą kroki: to Kerbol. Barch powiedział:

— Nic tu nie ma; to miejsce zostało wyczyszczone, jest puste.

Kerbol schylił głowę.

— Zgadza się — mruknął. — Nie ma nawet jednego woreczka z materiałem wybuchowym. — Wyprostował się, popatrzył na odległą o pół mili skalną ścianę, po czym ponownie pochylił głowę nad wentylatorem. — Nawet barka zniknęła.

Barch obrzucił wzrokiem niebo.
— Jak szybko dotrą tu nowe zapasy?
Kerbol wzruszył ramionami.
— Jutro, może dziś wieczorem...
— Spójrz tam w górę — powiedział Barch — te czerwone światła.
— Tak, to nowy ładunek.
— Chodź — zakomenderował Barch. Pobiegli sprintem do tratwy.
— Co teraz? — zapytał Kerbol, gdy Barch skierował tratwę w powietrze.
— Może uda nam się dziś osiągnąć więcej, niż zakładaliśmy. — Mocno wcisnął pedał prędkości, szeroko się rozpędził, zatoczył koło i zbliżył się do barki od strony rufy. — Gdzie jest pilot?
Kerbol pokazał mu.
— W kopule na dziobie.
— Przygotuj broń. — Przeleciał nad barką i wylądował na pokładzie. — Ja zajmę się pilotem, a ty resztą statku.
Podbiegł ukradkiem do przodu; sylwetka pilota rysowała się ostro. Stał wpatrzony w oświetlony prostokąt magazynu. Barch otworzył drzwi do kopuły.
— Zabierz tę barkę w górę - szybko! — Wycelował broń. Pilot, drobny człowieczek o paciorkowatych oczach i szczupłej, ciemnej twarzy, rzucił zaskoczone spojrzenie przez ramię. Barch powtórzył: — Szybko!
Pilot niechętnie odwrócił się do sterów.
— Muszę postępować zgodnie z harmonogramem, albo dyspozytor będzie...
— Jesteś trupem — warknął Barch — chyba że zaraz pójdziemy w górę! — Dźgnął pilota mocno lufą pistoletu. — W górę!
— Przecież lecimy w górę! — burknął z irytacją pilot.
— Szybciej! — Barch wyjrzał przez burtę. — A teraz z powrotem, drogą, którą tu przyleciałeś.
Barka oddaliła się od kamieniołomu.
— Teraz zgaś te boczne światła — polecił Barch.
— Nie wolno mi — zaprotestował pilot. — To wykroczenie podlegające karze.
Barch uśmiechnął się i stuknął go lufą pistoletu w tył głowy.
— Zgaś te światła! — Szybko obejrzał się przez ramię. — Jakaś załoga na pokładzie?
— Nikogo. Załadunek w kompleksie chemicznym dystryktu Phrax, wyładunek w magazynie.
— Jaki jest twój ładunek?
— Materiały wybuchowe, ogólne zaopatrzenie.
Barch usłyszał kroki: do środka zajrzał Kerbol.
— Wszystko w porządku?
— Nikogo na pokładzie.
— Dobrze. — Barch wycofał się z kopuły i skinął na Kerbola. — Ty nim pokierujesz, znasz ukształtowanie terenu.
Barch podszedł do krawędzi barki i wyjrzał w ciemność. Krok pierwszy. Odhaczony. Poczuł nadburcie - zimny, twardy metal, ten sam, który pewnego dnia wyniesie go z Magarak w ogromny kosmos.

Rozdział VII

Barka ślizgała się coraz wyżej po zboczach góry Kebali. Odgłosy kamieniołomu ucichły, a światła zawęziły się do ciasnego skupiska. Morze drżącego blasku, fabryki, piece, młyny i place dystryktu Quodaras, pozostały teraz daleko za rufą.

Barch zrobił kółko po pomoście i zajrzał do kopuły.

— Szybciej!

Barka szarpnęła mu się pod nogami; zataczając się, wrócił do ładowni. Pomyślał, że to pudło ma całkiem niezły generator energii - to im się przyda, jeśli dotrą w kosmos.

Nagle poczuł, że na twarz pryska mu woda; wlecieli w drobną mżawkę. Potykając się, schował się po zawietrznej kopuły.

Deszcz szybko ustał, barka wynurzyła się z mgły i zaczął wiać ostry wiatr. Palkwarkz Ztvo leżało pod nimi w dole, ciemne pustkowie. Barch wytężył wzrok w poszukiwaniu słabiutkiego ognika światła. Skrył się gdzieś przed jego wzrokiem jak słaba gwiazdka na horyzoncie. Wsunął głowę pod kopułę i zapytał Kerbola:

— Widzisz nasze światło?

Kerbol wskazał ręką.

— Tam. — Szturchnął pilota. — Wyląduj koło tego światła.

— Niemożliwe — mruknął pilot. — Jesteśmy nad ziemią dzikich ludzi Palkwarkz Ztvo. Wsadzą nas do garnków.

— Nie, nie wsadzą - powiedział Barch. — Wyląduj koło światła.

Barka ruszyła w dół. Obok nich widać było tylko czerń; rozlegały się trzaski, szelest liści. Tratwa wreszcie osiadła na ziemi.

Barch ostrożnie wyjrzał w ciemność. Wszędzie było cicho. Odwrócił się do pilota.

— Wysiadaj.

Pilot zawahał się, przyciskając się do osłony swojej kopuły.

— Co zamierzacie ze mną zrobić?

— Nic.

Pilot wyskoczył i rzucił się do ucieczki w zarośla. Barch w ostatniej chwili zdążył pochwycić go za kolana; obaj upadli na rozmokłą glebę. Barch podniósł się, złapał mężczyznę za kołnierz kurtki i poprowadził go za barkę, w górę zbocza. Kerbol podążył za nim niczym człapiący szary niedźwiedź.

Barch razem z pilotem weszli do sali. Całe plemię siedziało zgromadzone wokół wielkiego stołu, dyskutując zaciekle; przez chwilę Barch stał, obserwując grę rzucanego przez ogień światła na nieziemskich rysach.

Usłyszeli szmer ich wejścia, rozmowy ucichły, twarze odwróciły się, jakby poruszane jedną dźwignią.

Barch przekazał pilota Kerbolowi.

— Opuść go na linie do jednej z dziur. — Odwrócił się z powrotem do dużego stołu. — Mamy jeszcze dwie lub trzy godziny pracy na zewnątrz. Miejmy to już za sobą. Przynieście noże i siekiery.

Zapanowało zdenerwowane poruszenie, powolne, pełne napięcia wstawanie z miejsc. Barch przyglądał się temu beznamiętnie.

Płaska Twarz oświadczył gburowatym głosem:

— Pracuje się za dnia. Teraz mamy noc. Praca może poczekać.

Pozostali przyglądali się temu nerwowo, opanowani lecz wystraszeni jak króliki.

To był pierwszy test, najważniejszy. Barch nie wykonał żadnego gwałtownego ruchu. Czekał tylko, pozwalając, by napięcie narastało. Płaska Twarz nerwowo rzucił okiem na broń Barcha. Barch spytał cicho:

— Gdzie jest twój topór, Płaska Twarzy?

Płaska Twarz wskazał w stronę ściany.

— Tam leży.

— To bierz go!

Płaska Twarz powoli podniósł się na nogi. Barch zrobił dwa szybkie kroki do przodu. Wszyscy, zaskoczeni cofnęli się.

— No, dalej! Wychodzić na dwór!

Wziął dwie lampy, podszedł do wejścia i czekał, aż współplemieńcy przejdą obok niego.

W świetle lampy barka stanowiła wielki, ciemny kształt, znacznie bardziej imponujący niż wszelkie słowa, jakich Barch mógłby użyć we wnętrzu jaskini.

— Oto wasz statek kosmiczny.

Członkowie plemienia zamruczeli z podziwem i podnieceniem.

— Ładunek możemy zdjąć jutro, ale dziś musimy schować barkę pod gałęziami, żeby nie było jej widać z góry.

Barch podniósł się z kanapy wraz z pierwszym przebłyskiem światła. Założył fartuch Modoka i wyszedł obejrzeć barkę. Zdawała się wypełniać połowę polany, niczym wieloryb na podwórku przed gankiem.

Aby sprawdzić kamuflaż, wsiadł na tratwę i wbił się w niebo. Las tworzył gęstą, czarną plątaninę gałęzi, a barka była w niej kompletnie skryta. Zadowolony, wylądował z powrotem na ziemi.

Podstawową rzeczą było, aby Klau nie dowiedzieli się o jego planach. Musiał unikać prowokowania ich. W pewnym sensie wczorajsze zabójstwo Klau było błędem. Ale było ono konieczne – ten akt dał mu otoczkę siły, jakiej nie dałoby mu zabicie nawet dziesięciu Cletów. W przyszłości być może będzie musiał wycofać się z niektórych swoich co bardziej ognistych gróźb. Unikać Podruodów tak bardzo, jak to tylko możliwe; walczyć, jedynie jeśli zostaną osaczeni.

Okrążył barkę. Pozbawiony łączeń kadłub wznosił się cztery stopy nad jego głową. Spróbował sobie wyobrazić odpowiednią konstrukcję na nim, ale udało mu się przywołać w myślach tylko widok nadbudówek na pokładzie morskiego frachtowca.

Wspiął się na pokład. Mniej więcej połowę ładunku stanowiły różnych rozmiarów skrzynie. Na dziobie leżały cztery wiązki ciężkich rur, pół tuzina

jakichś mechanizmów, z wyglądu laserów wiertniczych, kilkanaście szpul gładkiego kabla. Niezły ładunek, pomyślał Barch. Udało mu się zmienić obraz w umyśle, z nadbudówki pokładowej na rozciągniętą nad barką kopułę z hermetycznej tkaniny, utrzymywaną w przeciwwadze przed ciśnieniem powietrza przez sieć kabli.

Zeskoczył na ziemię i wrócił do sali. Stojąc przy ognisku, patrzył, jak kobiety rozstawiają na piecu garnki z owsianką.

Do pomieszczenia wszedł mrugający Kerbol, a za nim pojawiła się ponura kobieta, która była jego towarzyszką. Barch poczuł nagłe uczucie ciepła, poczucie wspólnoty. Miał w Palkwarkz Ztvo przynajmniej jednego przyjaciela.

Po śniadaniu zabrał Kerbola na barkę, aby sprawdzić ładunek. Kerbol otworzył skrzynię oznaczoną jakimiś czarnymi i czerwonymi symbolami; w środku znajdowały się pojemniczki wielkości jabłek.

— To abiloid — wyjaśnił Kerbol — powolnie działający materiał wybuchowy. To zaś — otworzył mniejszą skrzynię, w której znajdowały się gęste na wpół metaliczne pręty wsparte na czerwonym plastikowym stojaku — jest super.

— Super - co?

Kerbol wzruszył ramionami.

— W kamieniołomie nazywają to super. Mała porcja super jest równa dziesięciu skrzyniom abiloidu. Ale działa szybko. Rozbija wszystko. Abiloid rozpycha.

— Mam nadzieję, że potrafisz je detonować.

Kerbol wziął do ręki jedną z puszek abiloidu i dotknął wystającego z niej pasemka jakiegoś włókna.

— To jest trzyminutowy zapalnik. Aby zdetonować super, należy umieścić ją pod pojemnikiem z abiloidem.

— To wszystko jest do twojej dyspozycji — oznajmił Barch. — Tam są palniki. Wybierz sobie kogoś do pomocy i otwórz Wielką Dziurę.

Barch wrócił do jaskini i wysłał Płaską Twarz na zewnątrz, na czele ekipy myśliwskiej.

W południe Kerbol zameldował, że ściana jaskini jest gotowa do wysadzenia. Barch z powątpiewaniem popatrzył na niebo. Mgła pełzła po zboczu góry Kebali.

— Lepiej poczekajmy do zmroku. Wtedy, jeśli nadleci jakiś Klau, dziura w górze nie wpadnie mu w oko.

W połowie popołudnia całe Palkwarkz Ztvo spowiła mgła. Barch zasygnalizował Kerbolowi.

— Rozpocząć wysadzanie.

Kilka minut później sześć eksplozji posłało w powietrze strumienie mgły.

Barch wszedł do sali, przeszedł korytarzem obok starej komnaty Cleta i pochylił się nad dołem, na dnie którego siedział pilot.

— Miałbyś ochotę trochę popracować?

Pilot popatrzył ponuro w górę.

— Zabijcie mnie i skończmy już z tym.

— Wcale cię nie chcę zabijać. Potrzebuję twojej pomocy. Nie trzymałbym cię w tej dziurze, gdybym był pewien, że nie uciekniesz.

Twarz pilota natychmiast zrobiła się bardziej pogodna.

— Nie mam dokąd pójść; wiążę swój los razem z waszym.
Barch uśmiechnął się.
— To rozsądna decyzja, szybko podjęta.
Rzucił mu linę, pilot wspiął się zwinnie na górę.
Barch zaprowadził go do barki i wskazał na szczelinę w ścianie Wielkiej Dziury.
— Barka ma się znaleźć w środku.
Pilot szybko wskoczył do kopuły.
— Zaraz będzie zrobione.
Barch wspiął się na pokład, za pilotem.
— Wlecimy tam razem.
— Jak wasza wysokość sobie życzy — odparł z irytacją pilot.
Barka oderwała się od ziemi, poszybowała pod górę po zboczu i wsunęła się w szczelinę. Na drugim końcu równego terenu płonęły dwa ogniska.
— Wyląduj między nimi — polecił Barch.
Barka prześlizgnęła się przez ciemności. Stalaktyty i stalagmity trzaskały i rozbijały się o podłoże.
Barka osiadła na ziemi. Barch zobaczył, że Kerbol przygotował już grupę ludzi, którzy układali skały z powrotem w otworze. Odwrócił się do pilota.
— Jak to się stało, że Klau powierzyli ci barkę? Nie bali się, że uciekniesz na wzgórza?
Pilot wykonał gest zniechęcenia.
— I co niby miałbym na tym zyskać? My, piloci, dobrze żyjemy. Na wzgórzach dzicy ludzie pożerają się nawzajem jak rekiny.
Barch powstrzymał się przed zakwestionowaniem tego stwierdzenia.
— Co by się stało, gdybyś teraz wrócił?
— Zostałbym zdyskredytowany.
Barch przyjrzał się chytrej twarzy pilota.
— Nie chcę cię zabijać — wycedził powoli. — Ale nie chcę też, żeby Klau zaczęli szukać swojej barki.
— To mało prawdopodobne.
— Chyba, że przekażesz im wieści.
Pilot wydął policzki.
— Moja lojalność należy do was, na zawsze.
— Nikt z nas poza tobą nie wie, jak pilotować barkę. W pewnym sensie jesteś niezbędny dla powodzenia naszego planu.
— A co to za plan?
— Chyba nie zaszkodzi ci powiedzieć. Zbudujemy hermetyczną nadbudówkę nad barką i opuścimy Magarak.
— Ach. — Pilot skinął głową. — Teraz rzeczywiście do was dołączę.
— Teraz? Czyli twoje poprzednie obietnice nie mogły być szczere.
— Źle to zrozumiałeś. My, Splangowie, jesteśmy bardzo delikatni w wyrażaniu znaczenia naszych słów.
— Chevrr tam na górze jest Splangiem; nie mam trudności ze zrozumieniem go.
Pilot syknął pogardliwie.
— On pochodzi z gór, to surowa, nieokrzesana rasa. My z lasów wybrzeża jesteśmy zupełnie innym ludem.

— Nie ma sprawy — odparł Barch. — Zaryzykuję co do ciebie. Jak się nazywasz?

Pilot powiedział coś w stylu: „T'ck-T'ck-T'ck”.

— Będę cię nazywał Tick — zdecydował Barch. — Rozumiesz, że nie spodoba mi się żadna próba odwiedzenia Quodaras?

— Oczywiście. Można się tego spodziewać.

— Więc pomóż wypełnić dziurę skałą. Porozmawiamy później.

Barch siedział, studiując listę członków plemienia, swej niejednorodnej załogi. Ludzi z umiejętnościami technicznymi przydatnymi przy przekształcaniu barki towarowej w statek kosmiczny było przygnębiająco niewielu. Pedratz twierdził, że zna się na spawaniu; Kerbol wykazywał znajomość materiałów wybuchowych; Tick potrafił pilotować barkę. Ale kto wiedział cokolwiek o oczyszczaniu powietrza, kto potrafił naprawiać obwody napędowe, kto znał tajniki nawigacji kosmicznej?

Barch spoglądał nieobecnym wzrokiem w ogień, bębniąc palcami i rozmyślając. Pierwszą rzeczą do zrobienia było wyizolowanie problemów, aby można było pracować nad każdym z osobna. Przede wszystkim, należy zwiększyć ochronę przed Klau. Barch krytycznie przyjrzał się wejściu do jaskini, gdzie nic nie wstrzymywało Podruodów przed wtargnięciem do środka i zabiciem ich wszystkich.

Podniósł się na nogi i wyszedł przez krętą szczelinę na dwór, w noc. Wszędzie panowała ciemność. Wiatr huczał w dolinie, wielkie czarne liście trzepotały melancholijnie, jak fale na kamienistej plaży. Za jego plecami ze szczeliny wylewał się tylko słabiuteńki promyczek światła.

Jutro zorganizuje wokół polany jakiś ruchomy system posterunków. Ale to dopiero jutro. Barch wrócił do środka. Najbliżej otworu siedziało dwóch Calbyssynian. Ardl i Arn zajęci swym niezrozumiałym sposobem uprawiania miłości, w którym każdy próbował odgadnąć płeć tego drugiego. Barch uklęknął obok nich i zdjął zegarek.

— Dzisiejszej nocy trzymamy wartę. Wy dwaj będziecie czuwać tak długo, jak długo ten mały palec będzie się poruszał od tego miejsca do tego. Potem jeden z was obudzi — obejrzał się przez ramię — dwóch Griffitów. Wyjdźcie na zewnątrz, a pokażę wam, gdzie macie się rozstawić. To ważne.

Koło wylotu jaskini powiedział:

— Arn, ty stań tutaj; Ardl, ty chodź cicho przez las na skraju polany. Po każdym obejściu melduj się Amowi. Zmieniajcie się, jeśli macie ochotę. Kiedy obudzicie Griffitów, przekażcie im te same instrukcje.

Wracając do środka, wyznaczył jeszcze cztery wachty, samemu biorąc środkową, wraz z Kerbolem.

Jeden problem został tymczasowo usunięty na bok.

Tick, pilot o twarzy podobnej do siekiery, był zajęty rozmową z Chevrrem, swoim delikatnym rodakiem. Barch dołączył do nich.

— Jak dostawaliście swoje przydziały? Pracowaliście w centralnej bazie transportowej? — spytał.

— Zgadza się. Moją bazą jest… była… Quodaras Trzynaście i każdego dnia mogłem otrzymać inny przydział.

— Musisz dobrze znać Magarak.

Tick wyprężył się.

— Tak dobrze, jak tylko człowiek może poznać planetę.

— A co, gdyby przytrafił się ładunek w jakieś dziwne miejsce?

— Zawsze jest lokalizator w kopule.

— Lokalizator? — Barch nadstawił uszu. — Mapa?

Tick oznajmił z wyższością, jakby sam zaprojektował mechanizm:

— Nie, nie. To coś o wiele bardziej skomplikowanego i kompletnego. To trójwymiarowy ekran wizyjny, zaindeksowany na wszystkie części Magarak.

— Rzućmy okiem na ten lokalizator.

Tick mówił głośno, gdy wspinali się krętym korytarzem do Wielkiej Dziury.

— …dobrą barkę, barkę w świetnym stanie, świeżo zatankowaną, a dlaczego? Ponieważ ja, Tick, wyświadczyłem przysługę Goleimpasowi Gstadowi, dyspozytorowi Quodaras Trzynaście, bardzo wpływowemu Bornghaleze. „Tick”, powiedział Gstad, „cały hangar jest twój; wybierz sobie barkę, która będzie pasowała do twego własnego poczucia doskonałości”. Tak więc codziennie obserwowałem informator o dostawach i kiedy zaledwie dwa dni temu przyleciała barka świeżo z kadzi hodowlanych…

— Kadzi hodowlanych? Czy barki też są hodowane?

— W rzeczy samej. — Tick popatrzył na Barcha ze zdziwieniem. — Czy na waszej planecie nie hoduje się statków i okrętów?

— Nie — odpowiedział Barch. — Używamy innych metod.

— Jeśli wrócisz do domu, jak się spodziewam, zostaniesz wielkim innowatorem. Wszystko jest kwestią wyboru odpowiednich tkanek do namnażania, zalania ich właściwymi płynami i ostrożnego kierowania ich wzrostem. W rezultacie... — Okrążyli ostry kawałek marmurowego agatu na szczycie przejścia i wyszli do Wielkiej Dziury. Tick pomachał do smukłego, czarnego kadłuba na tle oświetlonej ogniem wapiennej ściany.

Barch zatrzymał się, będąc pod wrażeniem wielkości swojego nabytku.

— Jak uzupełniacie w barce paliwo?

Tick wykonał pogardliwy gest ręką.

— Jestem pilotem. Nigdy nie zajmowałem się takimi sprawami… Jednak wiem, że accr wkładany jest do włazu pod kopułą.

— Ile? Jak często?

Tick pokazał w powietrzu prostokąt o wymiarach sześć na trzy cale.

— Nowy ładunek wkładany jest być może raz w miesiącu.

Brak paliwa nie powinien więc być problemem, pomyślał Barch. Accr był najwyraźniej jakimś paliwem atomowym, skondensowaną radiacją, zestalonym promieniowaniem, czy czymś tam podobnym. Nie robiło to żadnej różnicy, o ile tylko będzie mógł dostać w swe ręce wystarczającą ilość tego paliwa.

Tick zwinnie wskoczył do kopuły. Barch pomyślał z wisielczym humorem, że jeśli Tick kiedykolwiek zwiałby za drzewa, byłby trudny do złapania. Podążał za nim bardziej spokojnie. Tick wpatrywał się z zainteresowaniem w świecącą szczelinę, nieco na lewo od siedzenia.

— Ha, hmm.

Barch czekał z niecierpliwością.

— Tak?

— Quodaras Trzynaście jest bardzo aktywne; obserwowałem ruch pojazdów.

— Zobaczmy.

Barch odsunął Ticka na bok i zajrzał do szczeliny.

Pierwsze jego wrażenie było takie, jakby spoglądał na jakiś świecący abstrakcyjny obraz. Były tam pełno różowych bloków, pomarańczowych kwadratów, pierzastych jasnoniebieskich wież. Cały ten wzorzec pokrywała pajęczyna czarnych linii; nad nimi unosiły się prawie niewidoczne kwadraty białej cienkiej błony. Ponad tą panoramą powoli dryfowały każdego możliwego koloru iskierki.

— Te iskierki — spytał Barch, — czym one są? To barki?

— Zgadza się — odpowiedział wesoło Tick. — Każdy dystrykt ma inny kolor; Quodaras Trzynaście jest bladozielony.

Barch oznajmił pełnym napięcia tonem:

— Nasza barka też jest wyświetlana jako jedna z tych zielonych iskierek?

Tick zawahał się, jakby zaniepokojony jakąś przelotną myślą.

— No cóż, tak.

— Pokaż mi na mapie.

Tick powoli przekręcił pokrętło i opatrzył w szczelinę.

— To jest Palkwarkz Ztvo. A to…

Barch popatrzył w dół na bladoszary fizjograficzny zarys gór. Na tle zbocza majaczyła zielona iskierka.

Barch szybko uniósł głowę. Tick niespokojnie próbował prześlizgnąć się w stronę drzwi.

— Wracaj tutaj.

Tick wrócił przez kopułę z wesołym wyrazem twarzy.

— Jak wyłączyć to urządzenie, które nadaje naszą pozycję?

Spojrzenie Ticka powędrowało w stronę małego pokrętła połączonego łańcuchem ze skrzynką.

— Lepiej o tym nie myśleć.

Barch skoczył naprzód jak dziki lampart. Oczy Ticka rozbłysły alarmem.

— Odłącz to światełko, albo zaraz cię tu zabiję!

Tick wybełkotał gorączkowo:

— To niedozwolone; Goleimpas Gstad by mnie kompletnie zdyskredytował.

Barch zacisnął palce wokół chudego gardła swojego rozmówcy. Gałki oczne Ticka wysunęły się na niewiarygodną odległość. Barch zwolnił nacisk.

— Odłącz to światełko!

Tick, jęcząc i sapiąc, pochylił się nad skrzynką, łagodnie zerwał łańcuch, odsunął płytkę, wybił błyszczącą zieloną bańkę.

— Gstad wyśle mnie za to do taśm z gnojem.

Barch popatrzył w wizjer. Bladozielona iskra zniknęła.

Barch odwrócił się do Ticka, który macał się po szyi. Tick powiedział szybko:

— Istnieją inne przydatne aspekty lokalizatora. Popatrz. Jeśli wrócę do hangaru Quodaras Trzynaście, znajdę nazwę o tym indeksie. — Zakręcił obrotowym wrzecionem, znaki rozbłysły i zaczęły się obracać. — Więc dotknę tej komórki…

Popatrzył żałośnie w górę, gdy Barch chwycił go za nadgarstek.

Barch warknął:

— Zdaje się, że nie martwisz się zbytnio o swoją długość życia.

Tick zaszczękał zębami.

— Splang Nadbrzeżny nie umiera. Dokładna godzina jego śmierci jest zapisana w chwili narodzin na piasku plaży. Żaden akt boski, Klau ani ludzki nie może zakłócić historii jego życia.

— Dobra, wygodna filozofia — stwierdził Barch bez zainteresowania. Ponownie zajrzał do lokalizatora. — Przypuszczam, że każdy Klau na Magarak już wie, gdzie jest barka?

— Możliwe, że nie — odparł Tick. Zamyślił się, zaciskając usta. — W dużej mierze zależy to od tego, jak szybko koordynator zostanie poinformowany o braku materiałów wybuchowych w kamieniołomie.

— A czym jest koordynator?

Tick odpowiedział z całkowitą szczerością:

— Nie wiem.

— A jak myślisz, co to może być? — spytał cierpliwie Barch.

— Zakładam, że to mechaniczny mózg, który zauważa i integruje pozornie niepowiązane ze sobą zdarzenia, oblicza najbardziej prawdopodobne przyczyny skutków i skutki przyczyn.

— Och — Barch skinął głową. — Coś w rodzaju mechanicznego superdetektywa. — Odwrócił się z powrotem do lokalizatora. — Czy da się to odłączyć? Chciałbym znieść to na dół, na korytarz.

— Oczywiście. — Tick skoczył do lokalizatora i odpiął parę zatrzasków.

— Wezmę to — powiedział Barch. Przejechał ręką wzdłuż podłoża jaskini. — Serdecznie zapraszam.

Tick zwinnie zeskoczył na ziemię i ruszył w stronę przejścia na korytarz.

Barch spytał nonszalanckim tonem:

— Skąd ten pośpiech?

Tick zatrzymał się gwałtownie i uśmiechnął do Barcha.

— Ależ skąd. Jaki pośpiech.

Barch zszedł na podłogę z lokalizatorem pod pachą i ostentacyjnie sięgnął po broń za pasem.

— Teraz zejdziemy do sali.

Rozdział VIII

W sali Barch położył lokalizator na stole i poszedł na zewnątrz, popatrzeć w noc. Arn i Ardl, leżeli przytuleni i odskoczyli od siebie, z poczuciem winy.

— Do diabła! — krzyknął Barch. — Jeśli nie potraficie powstrzymać się od miłości, czy jak tam to nazywacie, na tyle długo, żeby odstać swoją turę na warcie, to rozbiorę was do naga i wreszcie będzie koniec tej głupoty.

Ardl energicznie ruszył na swój obchód. Barch zwrócił się do Arna.

— Nie pozwól, żeby ten pilot, Splang, przekradł się koło ciebie.

— Nie pozwolę mu, Roy.

Barch spojrzał w niebo. A co, jeżeli pozycja barki została zauważona. Jeśli tak, barka pełna Podruodów-żołnierzy w każdej chwili może zwalić się nam na głowy. Wzruszył ramionami. No cóż, jeśli przylecą, to przylecą.

W sali Tick siedział na stole, z dłonią czule na lokalizatorze.

— Wielu pilotów lata na ślepo; ustawiają odpowiednią komórkę, a potem idą spać. Ja nie. Ja zawsze spoglądam na mój lokalizator — poklepał pudełko — i latam używając dłoni. — Uniósł ręce. Jego palce zakończone były guzami, jak u nadrzewnej żaby.

Barch zobaczył Chevrra siedzącego w kącie, z pogardą na twarzy. Przeszedł przez pomieszczenie i przykucnął obok niego.

— Czy cała jego rasa jest podobna do tego tam?

Chevrr ponuro skinął głową.

— Trzymamy się w górach, żeby ich unikać. Raz do roku rodzą bliźniaki, roją się na drzewach, są bezużyteczni, chyba że jako akrobaci albo prostytutki.

— Ale jak mógłbym go kontrolować?

— Zabić go.

Barch skrzywił się.

— Trudno mi się przyzwyczaić do zabijania. Poza tym, tylko on potrafi latać tą barką.

Zmarszczki i fałdy ponurej twarzy Chevrra przeszły niesamowity proces otwierania się, wygładzania, rozszerzania. Chevrr się uśmiechał.

— Nosi amulet szczęścia, jak wszyscy mieszkańcy wybrzeża. To jego worek porodowy z diagramem piasku jego plaży. Znajdziesz go w fałdzie, którą ma na brzuchu, w medalionie przyssanym przez pijawkę. Zabierz mu ten amulet, a staniesz się jego panem.

— Ach — stwierdził Barch.

— Uważaj. Jeśli się dowie, co planujesz, zmieni się w prawdziwego demona, ogromnego. Nikt w tej sali nie dałby rady go powstrzymać.

Barch wstał, podszedł do Kerbola, porozmawiał z nim krótko, przeszedł do Płaskiej Twarzy, a potem do Moranko.

Barch podszedł do stołu i odniósł lokalizator na bok pomieszczenia. Tick ważył nie więcej niż sto trzydzieści funtów. Wyglądał na żylastego i zwinnego.

Kerbol i Płaska Twarz zaszli go od tyłu. Każdy z nich złapał pilota za jedno ramię; Moranko chwycił go za pajęcze nogi.

Tick uniósł głowę z nagłym zdumieniem. Barch zrobił krok do przodu, podciągnął za przód żółtej bluzy Ticka.

Oczy Ticka wystrzeliły do przodu, aż więcej z nich znalazło się na wierzchu, niż pozostało w środku. Wykręcił ramiona; Kerbol i Płaska Twarz zostali przeciągnięci po stole. Napiął nogi; niewiarygodnie mocno, szarpnął Moranko tak silnie, że tamten aż znalazł się dobrą stopę ponad podłogą.

Na spoconej, wijącej się skórze brzucha Ticka widniała płaska, brązowa plama. Barch pociągnął za nią paznokciami. Na kamienną podłogę jaskini upadły dwa przedmioty: metalowy medalion i pijawka, która leniwie zaczęła sunąć w stronę ognia. Tick rzucił się do medalionu, jego oczy wyglądały jakby były zamocowane na jakichś szypułkach. Wyciągnął do przodu ręce; Płaska Twarz i Kerbol, dysząc i sapiąc, polecieli przez stół niczym poduszki. Barch podniósł medalion jako pierwszy, otworzył go z trzaskiem, wyciągając strzępek błony.

— Tick — polecił Barch — siedź spokojnie.

Oczy Ticka cofnęły się w głąb głowy. Kerbol i Płaska Twarz pozbierali się na nogi.

— Tick — mówił dalej Barch — czy będziesz grzeczny?

Tick westchnął.

— Moje życie nie należy już do mnie.

— Żaden z nas tu obecnych nie jest właścicielem swojego życia. Wszyscy siedzimy w tym razem; uciekniemy z Magarak razem, albo umrzemy razem. Rozumiesz?

Tick nie odpowiedział. Jego wzrok szukał Chevrra, jakby szukał odrobiny współczucia.

Barch powiedział:

— Gdzie pójdę ja, tam będzie również twój amulet. Kiedy wydostaniemy się z Magarak, odzyskasz go.

Tick nic nie powiedział.

Barch podłożył na stole lokalizator i popatrzył na pulsujący pastelowy obraz.

— Czym są te przezroczyste białe kwadraty?

— Nie wiem — odparł Tick.

— Co to za czarne linie?

— To podziemne taśmociągi.

— Widzę jaskrawo-pomarańczową plamę z czymś w rodzaju rybich ości falujących na górze. Jak mogę się dowiedzieć, co to za miejsce?

Tick spojrzał.

— To na półwyspie Ptrsfur, w dystrykcie Zcham.

— Skąd wiesz?

— Odpowiednie znaki są na pasku na górze.

— A pomarańczowy blok?

Tick pokręcił pokrętłem. Czarna kropka przesunęła się po wyświetlaczu, aż znalazła się na środku pomarańczowego bloku. Tick wskazał na rząd świecących pomarańczowych symboli na cylindrze z boku.

— Tu można odczytać funkcję bloku.

Barch przyjrzał się symbolom.

— Czy ty potrafisz je odczytać?

— Nie.

Barch rozejrzał się po pomieszczeniu.

— Ellen, potrafisz to odczytać?

Podeszła obojętnie, żeby popatrzeć.

— Produkcja padisk verktt.

— A co to takiego?

— „Padisk” to pierwiastek numer dziewięć, w dziesiątej - albo jedenastej - serii sztucznych pierwiastków. Verktt to rodzaj zaworów radiacyjnych.

Barch mruknął.

— Och. — Ponownie pokręcił na próbę pokrętłem. — To powinno nam bardzo pomóc. — Rozejrzał się. Nikt nie wydawał się podekscytowany. — To naprawdę ogromne szczęście.

Płaska Twarz przycisnął agatowe oczy do szczeliny i pokręcił pokrętłem.

— Ach… tu jest Purpurat, gdzie przez pięć lat nawijałem szpule.

Barch zwrócił się do Komeitk Lelianr.

— Tick opowiadał mi o koordynatorze Magarak - jakiejś maszynie liczącej.

— Tak — odparła Komeitk Lelianr. — Planeta produkcyjna koordynowana jest przez coś, co nazywa się „mózgiem” - maszynę planującą, która dba o sprawne funkcjonowanie elementów świata.

Pokręciła pokrętłem lokalizatora, odczytując znaki. Barch obserwował ją przez chwilę.

— Ellen, wygląda na to, że znalazłaś pracę.

Skinęła głową na znak zgody. Barch rozejrzał się wokół stołu. Wszystkie oczy były skupione na nim; czarne, niebieskie, białe, czerwone, ciemnozielone. Powiedział niepewnie do zebranych:

— Równie dobrze możemy ten projekt przedyskutować teraz.

Czekał, ale nie było żadnej reakcji. Być może nie byli przyzwyczajeni do omawiania różnych rzeczy.

— Mamy barkę — powiedział w końcu Barch. — Mój pomysł polega na umieszczeniu na niej jakiegoś hermetycznego balonu i przymocowania go siecią kabli.

Zapadła cisza. Barch rozejrzał się wokół stołu. Moses, karzeł, dorzucił drewna do ognia. Barch dodał z poirytowaniem:

— Nie widzę powodu, dla którego miałoby to nie zadziałać, ale nie jestem inżynierem zajmującym się budową statków kosmicznych. Może ktoś ma lepszy pomysł.

Komeitk Lelianr rzuciła mimochodem:

— O wiele prościej byłoby zdobyć inną barkę i zespawać je ze sobą.

Barch siedział przez chwilę zupełnie bez ruchu, żeby się zastanowić.

— To brzmi jak bardzo dobry pomysł. — Przerwał na chwilę. — Jest jednak coś co musimy rozważyć. W kosmosie będziemy chcieli

wykorzystać jednostki nośne barki, żeby uzyskać taki ciąg, który pozwoli nam utrzymać się na nogach. Mam nadzieję, że uda nam się uzyskać stałe przyspieszenie równe przynajmniej jednemu gie, które doprowadzi nas do prędkości światła - lub jak najbliżej niej - w ciągu około roku. Potem - nie wiem. Naukowcy z Ziemię są przekonani, że prędkość światła jest najwyższą możliwą.

Komeitk Lelianr uśmiechnęła się lekko.

— Naukowcy z Ziemi mają niewielkie doświadczenie praktyczne, w podróżach kosmicznych.

Barch mówił dalej, jakby nie usłyszał jej uwagi.

— Chodziło mi o to, że jeśli dodamy dodatkową masę drugiej barki, to czy uda nam się osiągnąć takie przyśpieszenie?

— Oczywiście. Łatwiej niż przy użyciu jednej barki. Będziesz miał do dyspozycji siłę nośną obu barek; działają one na zasadzie dodatnio-ujemnej, jak magnesy elektryczne.

Barch, nieco zagubiony, mruknął:

— Och. Nie wiedziałem.

Pedratz w kolorze toffi zawołał:

— Dwie rolki taśmy spawalniczej, dwie godziny i dwie barki staną się jedną!

Barch wstał i wyszedł na zewnątrz, żeby sprawdzić, co u Calbyssynian. Arn, stojący samotnie w drzwiach, rzucił mu ponure spojrzenie. Barch pochylił się, żeby spojrzeć na zegarek.

— Twoja wachta dobiega końca. Przyślę ci zmianę.

Wrócił do środka, wydał polecenie Griffitom, wyszedł z nimi, wyjaśnił działanie zegarka, po czym wrócił do stołu z uczuciem, jakby znów rozgrywał partię szachów. Zaproponował:

— Zanim zespawamy barki, dobrym pomysłem byłoby przykrycie pierwszej barki pokładem, co podwoiłoby naszą powierzchnię życiową. Lepiej też zainstalujmy wszelkie potrzebne urządzenia – uzdatniacze powietrza, skraplacze wody…

Komeitk Lelianr wtrąciła:

— Lekthwanowie używają tylko jednego urządzenia, sustenatora. Pobiera on z powietrza dwutlenek węgla i parę wodną; wytwarza wodę, tlen, a także podstawowe produkty spożywcze. Klau prawdopodobnie używają czegoś podobnego.

Barch zastanawiał się, czy dziewczyna celowo nie popisuje się swoją wyższą wiedzą. Raczej nie, zdecydował ze znużeniem; nie przyszłoby jej to do głowy. Rozejrzał się za Tickiem.

— Hej, Tick - gdzie Klau budują sustenatory dla statków kosmicznych?

Tick przesunął się nad lokalizator i pokręcił pokrętłem.

— To jest fabryka w której rosną podstawowe elementy - ten czarno-zielony znak. Ostateczny montaż prowadzony jest w Stalkoa-Skel, w dystrykcie Magdkoa, na czwartym poziomie. Kiedyś odbierałem ładunek dla prac kosmicznych w Gdoa. — Pokręcił pokrętłem. — Tutaj, ten czerwony blok.

Byłoby lepiej, pomyślał Barch, gdybym nie był tak cholernie zdenerwowany. Zmierzył uważnie wzrokiem pojazd w kolorze skały, lecący

po ich prawej stronie. Kerbol miał nerwy zimne jak u jaszczurki. Przed sobą widział chude, skulone plecy Ticka, pilotującego tratwę, z pełną swobodą, wydającego z ust odgłosy podobne do ćwierkania świerszcza.

Barch popatrzył za burtę. Lecieli nisko; pod i wśród całego strumienia barek, tratw, kul i innych obiektów od czasu do czasu błyskających, huczących niczym srebrne błyskawice. Nad ich głowami wznosiły się masywne, pokryte sadzą wieże Magarak, wypełniające niebo, wypełniające wyobraźnię. Jeszcze wyżej, tu i ówdzie, migotały jakieś pajęcze kratownice; buchały i głębiły się dymy, unoszące się w powietrzu wszędzie. Kolorowe flary buchały oparami i błyskały oślepiająco; powietrze wirowało od dźwięków: brzęków, sapnięć, ryków, syków.

Tick leciał pewnie, niemal radośnie, jakby znajdował się na swoim ulubionym terenie. Barch pokręcił głową ze zdumieniem, okazując niechętny szacunek mózgowi, który tak nonszalancko ogarniał i przyjmował ten przerażający chaos.

Tratwa zatrzymała się. Tick machnął swoją podobnej do małpiej łapy ręką.

— To tutaj.

Wisieli nad czymś, co wyglądało jak lej koncentrycznych tarasów, ogromny jak krater, lśniący pierścieniami ołowianego światła. Nad przepaścią pośrodku, niepewnie wisiał wielki, czarny budynek w kształcie rombu, jego ostry narożnik docierał do samego centrum leju. Z każdego prowadzącego do budynku stopnia biły w niebo słupy zielonego światła, niczym grube neonowe rury.

Romboidalny budynek robił się coraz większy, lej rozwierał się jak ogromna gardziel.

— Zaraz! — krzyknął Barch. — Masz zamiar wylądować na tym dachu?

Tick machnął ręką z jakąś szaleńczą, beztroską pewnością siebie.

— Stąd wylatują załadowane barki; chcesz przecież zdobyć załadowaną, prawda?

— Właśnie tego nam trzeba — przyznał Barch. — Zejdź na dół i bądź gotów do wylądowania na jednej z nich, jak tylko będzie to bezpieczne.

— Bezpieczne? — Tick nagle przypomniał sobie o poniesionej stracie. — Nic nie jest bezpieczne, wszelka pewność zniknęła; śmierć siedzi na ramionach każdego z nas, jak mózgożerca. — Odwrócił się w stronę Barcha. — Czy wiesz, że bez diagramu swojej plaży urodzenia człowiek nawet nie może godnie umrzeć?

— Patrz na tę barkę — beznamiętnie przerwał mu Barch. — Właśnie wylatuje.

Barka wzbiła się w powietrze, a w jej ładowni kilka okrągłych czarnych punkcików tworzyło, charakterystyczny wykropkowany wzór.

— Do diabła! — burknął Barch. — Czy oni wysyłali do pilnowania tych barek cały korpus wojska?

Kerbol zmrużył oczy.

— Tuzin Lenapów, sześciu strażników Bornghalese - gorsi niż Podruodowie.

Tick schodził po skosie.

— Powiedz mi, kiedy mam wylądować.

Barch krzyknął:

— Dawaj w górę, idioto! Nie zdołamy zabić tych wszystkich ludzi!

Tick z urażonym milczeniem odbił tratwą w bok. Po chwili Barch powiedział:

— Będziemy musieli poczekać na następną. Jak długo to może potrwać?

Tick rozłożył ręce.

— Nie wiem. Może godzinę, może dwie. Ale lepiej wracajmy w góry; cały ten pomysł jest kiepski. Bez mojego amuletu czuję u swego boku śmierć.

— Nie wrócimy, dopóki nie zdobędziemy jednego lub dwóch takich sustenatorów. Nie można przecież oddychać przez pięć lat, tym samym powietrzem, które wypełnia barkę.

— Ale wy nie atakujecie — poskarżył się Tick. — Barka wyleciała wyładowana po brzegi, a wy się wycofujecie, wahacie się. Lepiej wrócić do Palkwarkz Ztvo i spokojnie się wyspać.

— Na następnej barce może nie będzie strażników.

— Wszystkie barki z sustenatorami mają strażników. Pilnują Lenapów, którzy wyhodowali i zmodulowali sustenatory, i którzy lecą, żeby je zamontować na statkach kosmicznych.

— Och — stwierdził Barch.

Tick wskazał palcem.

— A teraz zbliża się barka do załadunku. — Szybko popatrzył na lokalizator. — Rdzawo-pomarańczowy - z Mem-pas Sześć, dystrykt Bornghaleze.

Barch oznajmił:

— Wejdziemy na tę barkę. Zanim stąd odleci, zostanie załadowana wszystkim tym, co jest nam potrzebne. Sustenatorami i mózgami Lenapów. Szybko!

Tick przesunął pojazd bokiem w powietrzu; Barch nigdy by nawet nie pomyślał, że tratwa może być zdolna do takiego manewru. Przeleciała nad relingiem i osiadła na dnie ładowni.

Barch zeskoczył na solidne dno barki.

— Chodź, Tick. Kerbol, wsuń tratwę pod przedni fartuch.

Barch podbiegł lekko naprzód i otworzył kopułę. Pilotem była jakaś pełna wdzięku, osamotniona istota, urodziwa niczym komiksowy bohater; ale kiedy odwróciła się w jego stronę Barcha, Ziemianin dostrzegł w jej oczach czteroramienne gwiazdki - Bornghaleze. Nie było sensu zachowywać delikatności. Barch strzelił, a potem pchnął Ticka na fotel pilota.

— Przejmij stery. Zejdź barką w dół, dolatując do burty, a potem zostań w kopule. Nie wychodź, nic nie mów! Jak tylko będziemy mieli pełny ładunek, ruszaj do Gdoa.

Tick skinął głową, wyciągnął rękę, odczepił kartę przydziału zmarłego i przyczepił ją na sobie. Barch chwycił martwego Bornghalese i zawahał się. Jeśli zaciągnie ciało z powrotem do ładowni, może zostać zauważony z czarnego romboidalnego budynku.

— Wyrzuć go kopniakiem za burtę — rzucił bezceremonialnie Tick. — Niech sobie polata.

„A czemuby nie?”, pomyślał Barch. Otworzył przednią furtę, zepchnął zwłoki; martwe ciało pofrunęło w dół, w mroku, niczym jakiś demoniczny ptak.

Barch odwrócił się, by wydać ostatnie instrukcje Tickowi, lecz rozmyślił się. Nie trzeba było instruować Ticka co do jego roboty: to byłoby jak noszenie drzewa do lasu. Pośpieszył z powrotem do ładowni. Przedni pomost tworzył ciemne schronienie; Kerbol zsunął tratwę na dół, postawił ją na bok tak, aby opierała się o sufit.

Barch rozejrzał się po ładowni w poszukiwaniu kryjówki i siłą rzeczy wrócił na płytę pod przednim pomostem. Gdzie był Kerbol? Barch skulił się nagle z kocią ostrożnością, zachowując najwyższą uwagę zaczął skradać się przed siebie, z bronią w ręku.

— Tu na górze — zahuczał ochrypły głos.

Barch odskoczył, popatrzył do góry na poprzeczną belkę podtrzymującą pomost.

— Ach. — Wdrapał się na belkę i wyjrzał przez kratownicę z metalowych prętów. — Mam nadzieję, że to dobry pomysł.

Barka osiadła na uginającym się podłożu; niemal bezgłośny szum jej silników, ucichł. Barka zakołysała się, wślizgnęła się na miejsce i zaczęła powoli przesuwać się po rampie. Jaskrawe latarnie świeciły na twarz Barcha; odwrócił głowę i zobaczył Kerbola skulonego w kącie, jakby udawał jakiś bliżej nieokreślony cień.

Wysoki człowiek, żółty jak cytryna, chudy niczym czapla, noszący stożkowaty zielony kapelusz, wskoczył na barkę i zamyślony krążył tam i z powrotem, wpatrując się w jej pokład, jakby szukał jakiejś zgubionej rzeczy. Pochylił się, narysował jakiś znak i jednym ruchem wysunął pajęczą nogę.

Tratwa sunęła dalej. Z jednej strony lśniły wysokie, pryzmatyczne panele, z drugiej dobiegał cichy szum, jakieś postaci i kształty poruszały się, skręcały, szarpały, kurczyły.

Nagle zabrzmiał melodyjny głos rogu; drugi pająkowaty człowiek wszedł do ładowni i także zaczął się rozglądać. Pochylił się nad znakiem zrobionym przez pierwszego człowieka, wyprostował się i popatrzył do góry. Ogromna, czarna sylwetka opadła z przerażającą nagłością, przecinając powietrze może metr od twarzy Barcha, odcinając mu widok.

Minęła zaledwie chwila. Ogromna, czarna sylwetka zniknęła niczym mrugnięcie powieką i ładownia została oczyszczona ze wszystkich śmieci.

Barka sunęła spokojnie, jakby unosiła się na cichym kanale. Wyglądając przez szpary, Barch zobaczył przed sobą niski portal. Łódź wpłynęła w ciemność.

Jakby jakaś potężna dłoń chwyciła Barcha i cisnęła nim o metal. W uszach rozległ się mu ryk o sile miliona trąb powietrznych. Chwycił się belek, zaciskając kurczowo palce, aby ocalić życie.

Barka wypłynęła w światło. Barch rozprostował swe poobijane ciało i popatrzył w stronę Kerbola.

— Jesteś tam jeszcze?

Kerbol stęknął. Barch ostrożnie oparł się o zamontowane pod kątem dźwigary, które teraz zdawały się być tak sprytnie zaprojektowane, jakby miały celowo uciskać wszystkie jego bolące miejsca.

Dwóch ludzi o długich, końskich twarzach, cętkowanej białej i brązowej skórze, w podobnych do grzybów kapeluszach, zeskoczyło do ładowni i czekało. Popatrzyli do góry, wyciągając ręce. Do ładowni wpadła czarna

skrzynia, zawieszona na rurze niczym jagoda na łodydze. Pstrokaci ludzie wepchnęli ją w kąt; łodyga odskoczyła.

Po chwili tratwa minęła rząd niebieskich, czerwonych i zielonych świateł. Potem do ładowni wpadł kolejny sustenator. Kolejny rząd świateł, kolejny sustenator.

Belki wpijały się w ciało Barcha, bez przerwy wiercił się i wykręcał. Kerbol siedział bez ruchu jakby ulepiony był z plasteliny. Ładownia stopniowo się wypełniała, a ładowacze stopniowo przesuwali się w kierunku przedniego podestu.

Po nieskończonym wydawałoby się czasie, ładownia została wypełniona w całości. Barka sunęła dalej, okrążając jakąś przeszkodę i wznosząc się. Nagle otoczyła ją rozległa, jasna przestrzeń. Wysunęli się do jakiejś hali. Budynek w kształcie diamentu? Barch wyciągnął szyję, ale nie widział niczego poza wysokim, lśniącym sufitem.

Usłyszał głosy jakby osobliwych metalowych instrumentów, które jego skóra rozpoznała, z natychmiastowym skurczem: Podruodowie. Zobaczył masywne, czerwone nogi krążące po pomoście; zdawało mu się, że słyszy lekkie, rytmiczne intonacje Ticka. Chwilę później pokład zabrzmiał głuchym tupotem nowych stóp. Barch dostrzegł okrągłą, żółtobrązowe twarze. Widoczne na nich oczy, otaczały zielonkawożółte plamy, niczym opalowe kule ochlapane tłustą farbą.

Jedna po drugiej, może kilkanaście postaci wskoczyło na gumowatych nogach w przestrzenie między podporami, stojąc bezgłośnie jak ciastkowe lalki.

Dwóch Podruodów weszło pojedynczo do każdego z tylnych narożników, zatrzymując się niczym para posągów. Mali, okrągli ludzie patrzyli w górę pustymi owczymi spojrzeniami.

Barch przyjrzał im się krytycznym spojrzeniem. Kimże oni byli? Co z nimi zrobić? Wyglądali na kompletnie nieudolnych, bezużytecznych - byli ciężarem dla szczepu. Potrzebował mózgów - Lenapów, mechaników i inżynierów, a dostał tylko tych małych grubasków.

Rozdział IX

Szare światło dnia sączyło się przez pomost do ładowni. Barch usłyszał plusk deszczu. Minęła dłuższa chwila. Potem barka uniosła się, kierując się w deszcz. Niscy, pulchni ludzie chowali się za podporami. Podruodzi pluli i dmuchali.

Spoglądając w burzliwe niebo, Barch dostrzegał czarne cienie latających pojazdów. Belki wpijały się mocno w jego obolałe kości, gdy barka nabierała powoli wysokości. Barch uniósł lufę broni do góry; zobaczył, że Kerbol powtarza jego ruch.

Lecieli w strumieniu innych pojazdów. Barch dostrzegał bezimienne twarze, blade plamy, wpatrujące się bezmyślnie w szarość deszczu. Powinien był poinstruować Ticka, żeby posterował gdzieś poza uczęszczane trasy lotów.

Barka sunęła równym tempem. Z irytacją wyczuwając szybkość i kierunek lotu, Barch zdał sobie sprawę, że Tick posłuchał go dosłownie, leci do Gdoa. Deszcz ściekał po barce szarymi strumykami. Barch widział wodę spływającą po czerwonej skórze Podruodów. Kolce czarnych włosów opadły, zwisając niczym jakieś wodorosty na ich bycze barki.

Tratwa nad nimi raptownie zmieniła kierunek i gdzieś odleciała. Barch mrużąc oczy, wbił spojrzenie w rozmokłe niebo. Aż po sam horyzont - czysto. Wysunął broń do ładowni.

— Czekaj! — mruknął Kerbol.

Nad nimi pojawiła się znienacka tratwa z kryształową kopułą, zawahała się, zawisając jak koliber nad kwiatem. Barch dostrzegł bordową skórę Bornghalese. Z niepokojem spojrzał na Podruodów; głos Kerbola zabrzmiał w jego uszach dosyć głośno - ale nie, szum deszczu musiał zagłuszyć ten dźwięk. Tratwa z Bornghalese pomknęła gdzieś dalej.

Barch ponownie wycelował broń, popatrzył na Kerbola. Kerbol skinął głową. Barch nacisnął spust. Podruodowie runęli, jeden z nich przewracając się wypadł za burtę. Barch zsunął się na dno ładowni, stanął zgięty niemal wpół, od skurczów mięśni i bolących kości. Pokuśtykał przez deszcz i popatrzył do góry.

Nad nim niczym wieża górował kolejny Podruod, ale jego spojrzenie skierowane było w stronę rufy. Jego uwagę przyciągnął ruch Barcha, spuścił więc wzrok i rozwarł swą przepastną paszczę. Barch strzelił. Ciało runęło na niego niczym przewracający się posąg. Barch odskoczył do tyłu, wielkie cielsko rozciągnęło się nieruchomo na pokładzie.

Barch odwrócił się, by przyjrzeć się małym, okrągłogłowym ludziom. Stali jak rząd dyń, wpatrując się w niego małymi, okrągłymi oczkami.

Barch ostrożnie wspiął się na pomost. Kerbol już tam był. Pobiegł na rufę, chwycił wężowe bicze Podruoda. Wyjrzał za burtę; gigantyczna powierzchnia Magarak pulsowała, wirowała, kołysała się, lśniła. Barch zrezygnował na razie z wyrzucenia zwłok: gdzieś tam znajdował się koordynator, mózg Magarak, porządkujący napływające dane we wzorce. Zamiast tego wsunął więc ciała do ładowni i pobiegł do kopuły pilota. Tick śpiewał do siebie osobliwym falsetem i początkowo nie zwrócił uwagi na Barcha.

Barch stuknął go w tył wąskiej głowy.

— Obudź się.

Tick popatrzył na niego smutno.

Barch podszedł do lokalizatora, sięgnął pod niego i zerwał łańcuch, tak jak widział, że robił to Tick.

— A teraz, jak zgasić światło pozycyjne?

— Odchyl suwak, zbij żarówkę.

Barch wykonał polecenie.

— Zabierz nas w chmury i kieruj się do domu.

Wrócił na rufę, stanął i krytycznie popatrzył do ładowni. Małe grubaski przyglądały mu się nerwowo. Barch warknął cicho pod nosem. Co z nimi zrobić? Nie mógł zrobić niczego innego, jak tylko zabrać ich ze sobą do jaskini.

Zeskoczył do ładowni.

— Nazywam się Barch.

Spoglądali na niego poważnie. Barch rzucił szorstko:

— Jesteście teraz wolnymi ludźmi; nie jesteście już niewolnikami.

Stojący najbliżej niego człowieczek spytał z niepokojem:

— Jak to możliwe?

— Słyszałeś o górze, na której kryją się dzicy ludzie? Tam właśnie teraz lecimy.

Gruby człowieczek nerwowo przestąpił z nogi na nogę.

— Ale dlaczego zadaliście sobie tyle trudu, dla naszego dobra?

— Nie dla was. Potrzebowałem paru tych sustenatorów. Jedynym sposobem, na ich zdobycie, była kradzież ładunku. Przypadkiem byliście na pokładzie.

Cała grupa zaczęła mruczeć coś do siebie.

— Po co wam sustenator?

— Poczekajcie, zobaczycie — uciął krótko Barch.

Miała miejsce następna tura mruczenia.

— A co będzie z nami? — padło w końcu pytanie.

Barch uśmiechnął się pomimo irytacji; byli rozbrajający jak tuzin małych prosiaczków, bojących się podróży na targ.

— Wszystko zależy od tego, czy Klau nas znowu złapią. Teraz jesteście zbiegłymi niewolnikami.

Znów zaczęli mamrotać między sobą. Jeden z nich wskoczył na pomost i pobiegł do kopuły pilota. Barch z zaciekawieniem podążył za nim. Grubasek zajrzał do lokalizatora, zerknął na zerwany łańcuch, a potem, ignorując Barcha, szybko pobiegł z powrotem do swoich towarzyszy. Barch obserwował to wszystko z zaintrygowaniem.

Kerbol mruknął:

— To najgorsze z Lenapami; nie da się zrobić nic, żeby ich zadowolić.

Barch wpatrywał się w niego z niedowierzaniem.

— Czy to są Lenapowie?

Kerbol tylko burknął i wymamrotał ccoś pod nosem.

Barch powoli ruszył na rufę. Wyobrażał sobie Lenapów jako ludzi fizycznie odpowiadających swym rzekomym zdolnościom umysłowym.

W ładowni Lenapowie mówili gorączkowo, wszyscy na raz; żaden z nich nie zwracał na niego uwagi. Tam, gdzie w ich opalowych oczach Barch wyobrażał sobie wcześniej ospałość, teraz wydawało mu się, że widzi głębię subtelnej mądrości. Zauważyli go; wszyscy ucichli.

— Wy jesteście Lenapami? — spytał Barch.

— Jesteśmy Lenapami.

— Więc rozumiecie coś z tego, jak to działa? — Barch wskazał na sustenatory.

Lenapowie wydawali się być zaskoczeni, przez ich twarze przeleciała zmarszczka grymasu.

— Tak, oczywiście.

— A gdyby ta barka się zepsuła, potrafilibyście ją naprawić?

Zapanowało rozbawione zamieszanie.

— W dużej mierze zależy to od rozmiaru uszkodzeń, dostępności części zamiennych, narzędzi.

Barch skinął głową.

— Dobrze. Doskonale.

Przelatywali właśnie nad morzem i bagnami; przed nimi wznosiły się góry Palamkum, a ich niewyraźne, czarne kształty były spowite i rozmyte we mgle.

Barch wskazał palcem.

— To wasz przyszły dom, dopóki nie przerobimy dwóch barek na statek kosmiczny i nie opuścimy Magarak.

Lenapowie słuchali jego słów z pustymi twarzami. Pierwszy z nich spytał:

— Myślisz o locie przez kosmos na barce?

— Na dwóch barkach, jedna przy drugiej, zespawanych ze sobą.

— To niemożliwe.

Barch poczuł nagłe szarpnięcie przepony.

— Dlaczego?

— Klau nigdy na to nie pozwolą.

— Nie pytałem Klau o pozwolenie, kiedy kradłem tę barkę.

— Niezbędnych komponentów i akcesoriów jest całe mnóstwo, trudno je zdobyć.

— Jak sustenatory? Jak dwie barki? Jak pomoc techniczna? Jak bezpieczne miejsce do pracy?

— Dokładnie.

— Wszystko to, już mamy.

Zapadła chwila ciszy. Barch znalazł się w samym centrum uwagi kilkunastu ciekawskich spojrzeń. W końcu pierwszy z Lenapów powiedział:

— Podróż kosmiczna trwałaby w nieskończoność. Barki nie mają wystarczającej mocy, by wygenerować przyspieszenie drugiego rzędu; lecielibyście powolnie w przestrzeni pierwszego rzędu, z naciskającym wam na stopy pokładem.

— Pięć lat w kosmosie nie jest gorsze niż pięć lat na Magarak. Po pięciu latach jesteśmy w domu. A może uda wam się opracować jakiś system, który nada nam większą prędkość.

Lenapa mruknął nerwowo.

— Wspaniały pomysł. Czy to wykonalne?

Barch rzucił gniewnie:

— Nie zachowujecie się, jakbyście chcieli wrócić do domu.

— Nie, nie - Lenau to dla nas życie!

— Kilka miesięcy temu tuzin Lenapów uciekło z Magarak.

— To dla nich była prosta sprawa; po prostu wyhodowali w tajemnicy pęcherz w kadłubie statku kosmicznego; to wszystko co trzeba było zrobić… Żadnego takiego jak tutaj, żmudnego dopasowywania, składania i ulepszania.

— Każdy głupiec potrafi złowić rybę w kałuży. — I Barch spytał z pełnym niesmaku tonem: — Jesteście ze mną, czy nie?

Mali, okrągli ludzie zaczęli szeptać coś do siebie, mówiąc wszyscy jednocześnie. Barch nie rozumiał, jak możliwa była tutaj jakakolwiek komunikacja.

Najważniejszy uniósł głowę.

— Będziemy z wami współpracować; nie ma alternatywy.

Barch skinął głową z ponurą wesołością na twarzy.

— Tak myślałem, że uda się was przekonać. Omijajcie na razie te zwłoki; wyrzucę je zaraz za burtę.

Następnego dnia Barch przyniósł lokalizator z powrotem na stół w sali jaskini i sprawdził całe Palkwarkz Ztvo, aby upewnić się, że dwie barki w Wielkiej Dziurze nie przyciągnęły żadnych ciekawskich oczu.

Do sali wszedł przywódca Lenapów, którego imienia Barch nie potrafił wymówić i dlatego nazwał go „Owsianką”, niosąc arkusz pergaminu. Przemaszerował przez salę i triumfalnie złożył arkusz przed Barchem.

— To — oznajmił — zawiera potrzeby związane z takim projektem, jaki nam przedstawiłeś.

Barch wpatrywał się w bezsensowne dla niego symbole.

— Czy każdy z tych znaków, to coś, co jest wam potrzebne?

Owsianka radośnie podskoczył do góry.

— Tak. Jeśli pamiętasz, jeszcze wczoraj uważałem, że ten projekt jest nierealny.

Barch powiedział:

— Daj mi swój ołówek, czy czymkolwiek tam to napisałeś.

Owsianka podał mu coś w rodzaju elastycznego włókna.

— No więc — powiedział Barch, — co to jest? — Wskazał palcem.

Owsianka musnął palcem pierwszą kolumnę.

— Wyposażenie toalet z częściami zapasowymi. Osłonięte światła nawigacyjne, automatyczny pilot i lokalizator gwiazd, sprzęt do łączności…

Barch słuchał zirytowany.

— Owsianko — powiedział w końcu, — wyobraź sobie nas w kosmosie, a na barce nie ma niczego poza sustenatorem, który produkuje dla nas pożywienie i wodę.

— Nieprzyjemne — odparł Owsianka.

— Czy udałoby się nam przeżyć?

— Kwestia przeżycia nie jest przedmiotem dyskusji.

— To źle. Ja mówię właśnie o tym. Za każdym razem, gdy polecimy coś ukraść, mogę przeżyć, a może mi się to nie udać. A jeśli ja nie będę żył, nie ma tutaj nikogo innego, kto miałby na tyle dużo rozumu, żeby nas wydostać z Magarak. Więc — Barch przekreślił krzyżykiem pierwszą kolumnę, — precz z tym. Niepotrzebne. Co to jest?

Owsianka ściszonym głosem wyjaśnił:

— To są narzędzia. Niektórych nie potrafię objaśnić, bo są bardzo wyspecjalizowane. To jest podnośnik. To jest zszywacz do drutu. To są różnego rodzaju młoty, mierniki, obrotowe zderzaki. Wszystkie są niezbędne.

Barch wyprostował się gniewnie na krześle.

— Co z tobą nie tak, Owsianko? Myślisz, że jesteś w jakimś magazynie? Jesteśmy w górach. Myślałem, że Lenapowie to inteligentni ludzie. Czemu nie poprosicie o wyściełane stoły warsztatowe, automatyczne wiertarki?

— Poprosiliśmy — odparł Owsianka. — Dokładnie w tym dokumencie.

Barch parsknął.

— Jesteście jeszcze gorsi niż Lekthwanowie - wpadliście w kompletną mentalną rutynę; nie potraficie myśleć inaczej niż w sposób, w jaki inni ludzie myśleli przez ostatni milion lat. Nigdy nie słyszeliście słowa improwizacja? — Owsianka skrzywił się.

— Zderzak - po co wam zderzak? Zapomnijcie o tym! Młoty? Użyjcie kamieni. Podnośnik? Włączcie sobie ślizg pod tą małą tratwą Klau. — Barch z niesmakiem zgniótł pergamin. — Powiem ci, co dostaniecie: sprzęt spawalniczy, płyty z pokładu i paliwo do silników. Prawdopodobnie zdobędziemy jeszcze jedną lub dwie barki, zanim skończymy; możecie je pozbawić wszelkich potrzebnych wam części zamiennych.

Owsianka usiadł ciężko i pocierał sobie czoło.

— Masz osobliwe pojęcie o komfortowych podróżach kosmicznych.

— Nie interesuje mnie komfort. A teraz wracaj, zacznij instalować sustenatory, tyle, ile będzie nam potrzebne. Przynieś też jeden tutaj i uruchom go; wtedy nie będziemy musieli wychodzić z jaskini po jedzenie i będziemy bezpieczni przed łowcami Klau.

Owsianka odszedł. Barch, patrząc za nim, zobaczył, jak do pomieszczenia nieśmiało wchodzi Tick.

— Tick — zawołał Barch — chodź tutaj.

Tick podszedł do ławy bez większego entuzjazmu. Barch popatrzył w jego długą, ziemistą twarz.

— W czym problem?

— Czuję presję czasu. Wyczuwam zapach śmierci. Gdybym znów stał się panem talizmanu mojego losu, byłbym bezpieczny, gdy wszystko inne rozpadnie się w ogniu i ruinie.

Barch stwierdził w zamyśleniu.

— Z jednej strony - tak. Ale talizman z pewnością działa równie skutecznie, zarówno będąc w moim posiadaniu, jak w twoim. A teraz siadaj i powiedz mi, gdzie najlepiej ukraść sprzęt spawalniczy.

Deszcz padał na Palkwarkz Ztvo, spuszczając na góry szare jak żałobna krepa zasłony i serpentyny, skrywające zmierzch. Czarne zbocza gór rozmywały się i roztapiały w nich, niczym ciemny cukier; czarne liście ociekały i kapały wodą.

Barch, Tick i Kerbol odlecieli tratwą godzinę temu. Lenapowie siedzieli zgrupowani przy dalszym końcu stołu, mamrocząc coś z podnieceniem, stukając w stół drżącymi paluszkami, od czasu do czasu odwołując się do obliczeń na arkuszu pergaminu. Lkandeli Szet, muzyk o smutnych oczach, w haftowanym czarno-zielonym fartuchu, siedział i wyciągał głośne wibracje ze swojego pudła ze strunami; obok niego kucali Calbyssynianie, wydmuchując wietrzne organowe dźwięki przez swoje palce; Chevrr, Splang o podobnej do siekiery twarzy, kucał jak najbliżej ognia, łatając dziurę w nogawicach; światło tworzyło ruchome plamy czerni na jego głęboko wyżłobionej twarzy. Płaska Twarz leżał na brzuchu na ławie, podczas gdy jego kobiety masowały mu plecy; na ziemi obok niego trwała leniwa partia gry w kości. Tylko Pedratz okazywał ekscytację jej przebiegiem, i to tylko dlatego, że odczytywał wróżby z lotu spadających kości.

Do sali cicho weszła Komeitk Lelianr. Przeszła do wyjścia na dwór, przecisnęła się przez szczelinę w kształcie litery S i stanęła, patrząc na deszcz. Panowała absolutna ciemność; nie było widać ani słychać niczego poza wibracjami spadających kropel.

Odwróciła się od wejścia, rozejrzała po sali. Dwa duże stoły, ławy, zacienione ściany, trzaskający ogień. Żałosne dźwięki wydawane przez Lkandeli Szet i Calbyssianian. Zapach mięsa, gotowania i dymu. Zamknęła oczy. Na zewnątrz rozciągały się ciemne góry Palkwarkz Ztvo i czarne niebo, ciężkie jak ocean. To będzie jej miejsce aż do śmierci, chyba że…

Lecz co będzie, jeśli Roy zginie dzisiejszej nocy? Wtedy mogłaby zacząć naprawdę rozpaczać - choć nigdy tak do końca nie pozwalała sobie na rozbudzenie w sercu nadziei. Ale Roy Barch działał, Roy Barch pracował, Roy Barch coraz bardziej przybliżał możliwość ucieczki. Po śmierci Roya Barcha życie zmieniłoby się w pustą stagnację, stałoby się nędzne, z tą jaskinią w której musiałaby żyć i umrzeć. Jej oczy zrobiły się wilgotne; nagle przyszło jej do głowy, bez żadnego ostrzeżenia, że tylko optymizm Roya Barcha czynił Palkwarkz Ztvo znośnym miejscem do życia… Osobliwa rasa, ci Ziemianie. Młodzi, zaledwie kilka lat od poziomu dzikości, skażeni przeszłością, i w konsekwencji żywiołowi oraz bezpośredni.

Zamyśliła się nad użytym przez Barcha określeniem, „dynamiczna”. To dziwne, że tak dobrze wyczuwał istotę swojej cywilizacji. Zastanawiała się krótko nad Ziemią: czy Klau już ją zaatakowali, tak jak pół tuzina innych światów? A co z Lekthwą? Tęsknota zrobiła się już zbyt silna, nie mogła pozwolić sobie na nadzieję; nawet sami wspieranie Roya w jego działaniach, byłoby prawdziwą samoudręką. Nie jest my łatwo, pomyślała. Roy wkładał w swój plan cały wysiłek, wszystkie siły; a nikt nawet mu nie podziękował. Barch, w umysłach członków plemienia, równał się konieczności podjęcia ciężkiej pracy, podczas gdy siedzenie przy ogniu było czymś łatwiejszym, bardziej przyjemnym.

Minęła godzina, po której Lenapowie wstali jak jeden mąż, zebrali się w dawnej komnacie Cleta i starannie położyli się spać. Minęła kolejna

godzina. Ogień zamigotał i zgasł doszczętnie. Komeitk Lelianr ruszyła sennie w stronę swojej kwatery.

Na zewnątrz jaskini zaskrzypiały i zadudniły kroki; w wejściu stanął chwiejnie Barch. Tick przepchnął się obok niego i przykucnął przy ogniu. Wzrok Barcha omiótł jaskinię.

— Gdzie są wszyscy? — jego głos brzmiał ochryple.

— Poszli do łóżek! — odparła Komeitk Lelianr.

— Do łóżek! — głos Barcha załamał się z emocji. — Poszli spać, podczas gdy… — przerwał.

— Roy — spytała Komeitk Lelianr — co ci się stało w rękę?

Barch w dziwny sposób trzymał ją za plecami.

Podszedł, opadł na ławkę i bezbarwnym głosem powiedział do Ticka:

— Obudź całe plemię. Na zewnątrz jest barka. Musimy ją schować w Wielkiej Dziurze.

— Roy — powiedziała Komeitk Lelianr. — Twoje ramię…

Nagle poczuła, że miękną jej kolana.

— Moja ręka i Kerbol — wyjaśnił Barch — pozostały razem na błotnistych równinach.

Zobaczyła, że płacze, łzami żalu i wyczerpania. Ostrożnie zdjęła zakrwawione szmaty z kikuta i poczuła lekkie mdłości. Ponad ramieniem spoglądały jej twarze - ponure maski z szeroko otwartymi oczami i nozdrzami, pobudzone niezdrową ciekawością.

Barch powtórzył słabo:

— Nie stójcie tak tutaj, bierzcie się do roboty. Chevrr! Gdzie jest Chevrr?

— Tutaj. — Splang o twarzy w kształcie siekiery wyszedł z cienia.

— Wiesz, co robić… Otwórzcie ścianę, wsuńcie tam barkę, zamknijcie ją z powrotem. Przeejmij to ode mnie; ja mam co innego do roboty.

Sala zrobiła się pusta, poza Barchem i Komeitk Lelianr. Barch leżał na ławce, opowiadając bez ładu i składu.

— Zdobyliśmy w tym ładunku wszystko - narzędzia, taśmę spawalniczą, spawarkę, blachę pokładową… Na tamie byli Bornghalese. Czekaliśmy, żeby zdobyć trochę źródeł światła, przenośnych latarek. Przybiegli w te pędy.

— Leż spokojnie, Roy. Bądź cicho.

— Boli mnie lewa ręka – w nadgarstku – i nie mam lewej dłoni. Leży wdeptana w błoto, z Kerbolem… Och, co za widok…

Komeitk Lelianr próbowała przypomnieć sobie coś z lekthwańskiej medycyny, lecz drobiazgi i teorie, które przychodziły jej do głowy, nie miały bezpośredniego związku z leczeniem kikutów rąk.

Pfluga, druga kobieta Płaskiej Twarzy, zbyt gruba do pracy, weszła, dysząc, żeby rozpalić ogień. Przyjrzała się ręce.

— I co masz zamiar zrobić? — spytała siedzącą nad raną Komeitk Lelianr.

— Nie wiem.

Pfluga prychnęła.

— Jest tylko jeden sposób.

Wbiła w żar ognia ciężki pogrzebacz.

Barch zemdlał, a kiedy zapach palonego ciała dotarł do jej nozdrzy, Komeitk Lelianr również zemdlała.

Pfluga parsknęła ponownie, pociągnęła nosem, rozpaliła ogień pod garnkiem z gorącą wodą. Zanim noc się zakończy, będą wołać o jedzenie i gorącą herbatę.

Barch otworzył oczy, wyciągnął rękę, żeby usiąść, bezskutecznie machając tylko ramieniem. Zdał sobie sprawę, że nie ma już lewej ręki, więc niezgrabnie podparł się prawą. Popatrzył na swój bandaż. Czysty szary materiał. Kikut bolał, ale można to było znieść.

Komeitk Lelianr uklękła obok niego z miską kleiku.

— Jak się czujesz?

— Na tyle dobrze, na ile można było się tego spodziewać. Co się dzieje?

— Śpisz od dwóch dni.

— I co się stało przez ten czas?

— Trzy sustenatory zostały już przyspawane. Dzisiaj kładą poszycie. Jutro… no cóż…

— Dwa dni. — Barch potarł brodę. — Dwa dni… Pomóż mi wstać.

— Lepiej siedź spokojnie.

— Muszę pomyśleć.

— Nie możesz sobie przypomnieć, gdzie jesteś?

— Bornghalese widzieli nas przy tamie. Wiedzą, że barka została skradziona, wiedzą, co jest na pokładzie. Kiedy Mózg się o tym dowie…

Wrażenie zimnego powiewu przemknęło po skórze Komeitk Lelianr. Niespokojnie spojrzała w stronę szczeliny wejściowej.

Barch spytał gorączkowo:

— Sprawdzałaś indeks lokalizacji dla Mózgu?

— Na liście nie jest on określany jako Mózg — powiedziała niepewnie Komeitk Lelianr.

— Nie rozumiem, dlaczego tak długo czekają — zamartwiał się Barch. — To nie jest normalne.

Komeitk Lelianr powiedziała kojąco:

— Jeszcze kilka dni i powinniśmy być gotowi do odlotu.

— Potrzebujemy paliwa – accr, jak je nazywa Tick.

— Ale nie możesz znowu wyruszyć na złodziejską wyprawę.

— Będę musiał. A kto inny miałby polecieć?

Komeitk Lelianr nie znalazła odpowiedzi na to pytanie. Po chwili Barch z trudem podniósł się na nogi.

— Nie wiem, z jakiego powodu miałbym być taki słaby.

Komeitk Lelianr chwyciła go za łokieć i podtrzymała.

— Straciłeś dużo krwi.

Barch skrzywił się i zamknął oczy, jakby chciał odpędzić od siebie jakąś straszną wizję. Mruknął:

— Ten łobuz Tick, chowa się, zwodzi, skrada. Gdyby został tam, gdzie mu kazałem… — Otarł czoło. — No cóż, przeszłości nie da się zmienić; Kerbol zginął. Ale był lojalny. Kerbol stał tam, gdzie powinien, nawet gdy z tego powodu ginął.

Rozdział X

Barch powoli podszedł do Wielkiej Dziury, oparł się tam plecami o ścianę, czując że chwieje się na nogach. Z ponurą satysfakcją wsłuchiwał się w odgłosy pracy. Barki Jeden i Dwa stały burta w burtę na płaskim podłożu, a nad nimi w górze zawieszono cztery reflektory, które kosztowały go tyle krwi. Barka numer Trzy stała przekrzywiona na drugim końcu pomieszczenia, a pomiędzy nią a pierwszymi dwiema stały skrzynie i pudła z trzech zdobytych ładunków.

Barch przyjrzał się uważnie miejscu ponad nimi. Stalaktyty lśniły i migotały odbitym światłem; sklepienie było skryte w mroku, wyglądało na gotycko skomplikowane - ale wydawało się, że jest tu wystarczająco dużo miejsca, aby w odpowiednim momencie obrócić Barkę Dwa nad Barką Jeden. Delikatny manewr, lecz Tick miał absolutnie pewne wyczucie sterów… Tick, jakby był telepatą, uniósł wzrok z miejsca, w którym kucał koło Pedratza, spawacza, tnącego rury na słupy podporowe. Przybiegł po skałach jak kot.

— Tak? — spytał Barch.

— Kiedy oddasz mi mój amulet?

— Dostaniesz go natychmiast, jak tylko znajdziemy się w kosmosie.

Tick rozpaczliwie szarpał za posplatane w warkoczyki bokobrody.

— Za późno, za późno. — Jego głos uniósł się do poziomu wrzasku. — Czuję zalew przerażenia – boli mnie głowa, kolana miękną od brodzenia w wyimaginowanej krwi.

Barch burknął twardym tonem:

— Będzie cię naprawdę bolało, jeśli nie przestaniesz krakać. Mam twój amulet w kieszeni; dopóki ja jestem bezpieczny, on też jest bezpieczny. Przemyśl to sobie. A teraz idź i powiedz Owsiance, że chcę z nim porozmawiać.

Tick wycofał się skulony po kamiennej posadzce; chwilę później ponad krawędź burty Barki Jeden ostrożnie wysunęła się okrągła głowa Owsianki. Opalowe oczy wpatrywały się w Barcha przez pełne zamyślenia dziesięć sekund, po czym wspiął się na pomost, zszedł po drabince i podbiegł przez jaskinię.

— Czego chcesz?

— Chcę z tobą porozmawiać o czymś, czym moglibyśmy się bronić.

— Nie znam się na walce. Podruodowie to wielcy wojownicy. — Zaczął się odwracać.

— Chwileczkę — zatrzymał go Barch, uśmiechając się kwaśno. — W tej chwili nie ma tu żadnych Podruodów pod ręką.

— To prawda.

— Z tego, co wiesz o umysłach Klau, jak myślisz, w jaki sposób nas zaatakują?

— Przyjąłbym, że aby nas zabić zostaną wysłane opancerzone oddziały Podruodów.

— A gdyby się nie udało?

Owsianka zamyślił się, wybałuszając oczy.

— Mogą wysłać monitor z torpedami, żeby rozwalić całą górę. Albo mogą przed wejściem do jaskini wytworzyć stożek śmiercionośnego promieniowania i wtedy zostalibyśmy tu uwięzieni jak szczury w klatce.

— Przyjrzyjmy się temu wszystkiemu bliżej, przez chwilę — powiedział Barch i poszli na górę.

Zaczęli się rozglądać po okolicy.

— Jeśli chodzi o wysłanie wojsk, to mają następujące możliwości. Mogą wylądować barką za doliną i wkroczyć do niej pieszo, tak samo jak Klau podczas polowania. Mogą wylądować barką na tym płaskim terenie, przed jaskinią. Albo mogą wylądować gdzie indziej w dolinie, co jest mało prawdopodobne, ponieważ w dogodnej odległości nie ma żadnych innych płaskich miejsc do lądowania.

Owsianka popatrzył bez większego zainteresowania na wilgotne, czarne zbocze góry, a potem wskazał ręką na drugą stronę doliny.

— Barka mogłaby wylądować na szczycie tego urwiska.

— Wtedy Podruodowie musieliby zejść po stromym zboczu i pokonać te ostre skały. Jednak — przyznał Barch — to urwisko byłoby doskonałym miejscem do obserwacji wejścia jaskini. To daje nam trzy obszary, których musimy strzec: wejście do doliny, to urwisko i równe miejsce przed jaskinią.

Owsianka wiercił się nerwowo.

— Tak, tak. Na Lenau zamienilibyśmy za pomocą wibratorów, grunt w żel.

— Tak się jednak składa, że jesteśmy w Palkwarkz Ztvo — powiedział Barch. — Polecę na to urwisko ładunkiem materiałów wybuchowych i umieszczę tam kilka min. Czy możesz mi zbudować detonator aktywowany z dużej odległości?

— Najpierw muszę zobaczyć materiał wybuchowy.

— Wracajmy do Wielkiej Dziury — powiedział Barch. Rzucił ostatnie spojrzenie w górę i w dół doliny. — Szary dzień dzisiaj; widzisz, jakie wysokie i cienkie są chmury? W takie dni Klau ruszają na polowanie.

Wrócili do Wielkiej Dziury i podeszli do skrzyń zabranych z Barki Jeden.

— Kerbol znał się na tych materiałach wybuchowych — powiedział Barch. — Ja, nie.

Wyważył wieko skrzyni i popatrzył na lśniące, szare pręty umocowane na stelażu z rdzawego plastiku.

— To jest super. Bardzo mocny. Mamy około sześćdziesięciu skrzyń. Wystarczająco dużo, żeby wysadzić pół Magarak.

Znalazł drugie pudło.

— To jest to, czego użył Kerbol - abiloid. A ta nitka to lont, czyli detonator.

— Tak, tak — odparł Owsianka. — Dosyć powszechne.
— Czy potrafisz stworzyć jakieś zdalny detonator?
Owsianka popatrzył na kopułę Barki Dwa.
— Są tam pewne urządzenia, które można łatwo zaadaptować.
— Dobrze — powiedział Barch. — Sugeruję, żebyś się tym teraz zajął.
— Nie ma problemu.
Barch przyglądał się, jak Owsianka energicznie odchodzi. Czuł na sobie wzrok - Ticka. Kiedy Barch odwrócił głowę, Tick uciekł ze spojrzeniem. Barch przez chwilę obserwował spawacza Pedratza.
Każdy kawał rury dawał jeden słup, przy czym pozostawało około półtora metra odpadu. Widok sterty półtorametrowych kawałków rur nasunął Barchowi pewien pomysł. Przeszedł przez jaskinię i poklepał Pedratza po toffi-żółtym ramieniu.
— Pedratz, zaspawaj jeden koniec w powiedzmy czterech z tych resztek. — Barch wskazał na rury.
Pedratz skinął głową, odwrócił się i szturchnął Ticka palcem u nogi.
— Załaduj cztery z tych kawałków do wózka.
Barcha zaczął boleć kikut. Odwrócił się, opuścił Wielką Dziurę i ruszył korytarzem w stronę sali. W ciemności coś rzuciło się na niego z furią, przewracając go na ziemię. Barch upadł na kikut, poczuł, ucisk na ciało, tryskającą krew, przez chwilę leżał oszołomiony. Poczuł zwinne dłonie na swojej torbie, usłyszał syk. Potem ktoś kopnął go w kark, rozległ się tupot nóg. Barch nadal leżał spokojnie, nie robiąc niczego poza istnieniem. Po chwili, z istną karuzelą w głowie, podniósł się na kolana; jego myśli znów zaczęły przybierać logiczne kształty… Tick? Wsunął dłoń do sakiewki. Amuletu nie było.
Barch zbiegł utykając na dół do sali. Komeitk Lelianr, siedząca przy jednym ze stołów, popatrzyła na niego z konsternacją.
— Kto wszedł tu przede mną? — wychrypiał Barch.
— Tick…
Barch podbiegł do szczeliny wyjściowej. Tick instynktownie powinien ruszyć w stronę tratwy. Jeśli ucieknie, jeśli doda do tego, co Mózg Magarak już wiedział, swoją historię … Barch wyciągnął broń. Tick był przy tratwie, szarpiąc za cumę. Zauważył Barcha, ześlizgnął się w las, wskoczył między drzewa jak małpa. Barch usłyszał jego piskliwy, szyderczy śmiech.
— Za późno, za późno, nigdy już mnie nie ujrzysz na oczy.
Słychać było tylko szelest gałęzi, trzask czarnych liści.
Barch podszedł do tratwy i opadł na nią bezwładnie. Popatrzył na kikut lewego ramienia; szary, płócienny opatrunek było lepki i ciemny od krwi. Kość bolała go niemiłosiernie.
Wciągnął się na tratwę, odwiązał cumę. Wzbijając się ponad wierzchołki drzew, ruszył, stopniowo opadając w stronę rzeki, kursem, który prawdopodobnie powinien obrać Tick. W dole ciemne liście trzepotały i trzeszczały, połyskując niczym łuski jakiejś wielkiej, czarnej ryby. Tick pod nimi skryty był równie dobrze, jakby był jakimś maleńkim robaczkiem.
Barch opuścił tratwę na poziom drzew, wychylił głowę za burtę i nasłuchiwał. Cichy trzask, niedaleko. Barch poruszył pedałami; tratwa sunęła niczym jakiś mglisty cień, tuż nad samymi wierzchołkami drzew. Barch znów się zatrzymał. Cisza. Tamten odgłos mógł zostać wywołany

przez jakieś dzikie zwierzę. Bezpośrednio pod sobą Barch usłyszał tupot stóp. Popatrzył przez liście, trzymając pistolet w pogotowiu. Ale nie zobaczył w dole Ticka – ujrzał Podruoda.

Barch zamarł. Podruod, stawiający kroki tak cicho, jak tylko pozwalał na to jego ciężar i niepewne podłoże, zniknął w gęstwinie.

Barch szybko rzucił okiem po niebie. Czy to był ten atak Klau, którego się spodziewał? Z dołu, od strony dna doliny doleciał ostry, ochrypły krzyk, piskliwy skrzek, który Barch rozpoznał jako głos Ticka. Rozległ się przenikliwy dźwięk trąbki. W dole zadudniły ciężkie kroki, Podruod pobiegł w kierunku źródła hałasu. Barch odprężył się. Rozpoczęło się polowanie, a Tick stał się zwierzyną. Najlepiej będzie wracać tratwą do jaskini, zanim myśliwy Klau okrąży urwisko.

Barch wślizgnął się tratwą na zwykłe miejsce i siedział, nasłuchując. Sygnały trąbki Podruoda rozbrzmiewały teraz gdzieś na szczycie doliny. Jeśli Tick dotrze do gąszczu skał u stóp góry Kebali, będzie miał spore szanse na ucieczkę. Ale trąbienie zmieniało swoje położenie, brzmiąc coraz głośniej. Prowadzi ich do jaskini, pomyślał Barch. Z trudem pokuśtykał przez równinę do otworu szczeliny, stanął w cieniu.

Ponad lasem pojawił się długi, czarny kształt tratwy Klau, Klau podążał za pościgiem niczym goniący lisy myśliwy, zmierzający za ogarami. Tratwa była coraz bliżej. Barch dostrzegł sylwetkę Klau.

Tick wyskoczył z lasu, pobiegł bezładnie wzdłuż krawędzi równiny, zatrzymał się, popatrzył gorączkowo w stronę jaskini. „Boi się, obawia się że nie zostanie mile przyjęty”, pomyślał Barch. No cóż, trzeba dać biedakowi szansę. Wyszedł.

— Hej, Tick. — Tick popatrzył w górę. — Chodź.

Na twarzy Ticka widoczne było niezdecydowanie. Jego oczy z lękiem przemknęły po pustej przestrzeni; potem pojawiła się nad nią tratwa Klau, długa i czarna, jak rekin. Z lasu wyskoczyło czterech Podruodów. Teraz Tick chętnie pobiegłby do jaskini, ale Podruodowie odcięli mu drogę. Barch stał w wejściu, cicho, z bronią gotową do strzału. Podruodowie nacierali na Ticka z czterech stron. Tick stał spokojnie, a Barch widział, jak jego ciało sztywnieje, a oczy zaczynają mu wyskakiwać z oczodołów. „Uważajcie, Podruodowie”, pomyślał Barch.

Tick pomknął do przodu, zdawał się biec prosto pierś w pierś z najbliższym Podruodem. Złapał jego wielką, rudą głowę, oparł stopy o pierś i wykonał osobliwy, obrotowy ruch. Głowa przekręciła się dwieście siedemdziesiąt stopni; ciało Podruoda runęło jak długie. Tick odskakiwał, biegał, uchylał się przed ciosami, wchodził w zwarcie i ponownie odskakiwał. Podruodowie miotali się we wszystkie strony, aż w końcu Tick został schwytany. Podruodowie rzucili się na niego ze wszystkich stron; jak psy rozdzierające borsuka. Tick padł na ziemię. Podruodowie robili krok do tyłu i krok do przodu, unosząc stopy wysoko w górę i w dół, czemu towarzyszyły mlaskające odgłosy. Barch odwrócił się.

Za sobą czuł napierające na niego ciała, słyszał pełne zgrozy pomruki.

— Cicho — wyszeptał Barch. — Idźcie do Wielkiej Dziury, powiedzcie wszystkim, żeby byli cicho.

Podruodowie w końcu się wycofali i popatrzyli na tratwę. Klau leniwie się przeciągnął, rozsiadł się prosto i rozejrzał po równym terenie. Jego spojrzenie przemknęło po ocienionej szczelinie; Barch poczuł jakby

namacalne ukłucie czerwonych, czworo-gwiaździstych oczu. Te oczy jednak powędrowały dalej; szczeciniasta czarna głowa odchyliła się do tyłu, aby zbadać niebo.

Czarne chmury przelewały się przez grzbiet Góry Kebali. Kilka ciężkich kropel deszczu rozprysnęło się na liściach. Podruodowie zatrąbili ochryple, wskazując na chmury. Klau ich zignorował. Machnął ręką w stronę górnej części doliny. Podruodowie ponuro poczłapali w głąb lasu.

Martwy Podruod i krwawy strzęp ciała, który jeszcze niedawno był Tickiem, pozostały na równym dnie doliny.

Deszcz zaczął nieśmiało bębnić po czarnych liściach – krople wielkie jak kulki do ruletki. Klau dotknął guzika i nad głową zatrzasnęła mu się osłona. Poruszył stopą; tratwa zaczęła sunąć w dół doliny.

Barch odwrócił się i przecisnął się do dużej sali.

— To załatwia problem Ticka.

Komeitk Lelianr siedziała przy stole, usilnie wpatrując się w lokalizator – ślęcząc nad indeksem, sprawdzając co się pojawi na wyświetlaczu.

Barch stanął przy ogniu, z roztargnieniem obserwując rozbłyski płomieni powodujące różnokolorowe migoczące odblaski na jej skórze.

Owsianka przybiegł korytarzem do sali, podbiegł do ognia, z uznaniem wąchając zapach z garnka. Potem, spoglądając z niepokojem na Barcha, usiadł naprzeciwko Komeitk Lelianr.

Po chwili powiedział coś do niej; uniosła wzrok i krótko odpowiedziała. Owsianka rzucił Barchowi spojrzenie przez ramię i wygłosił jakąś dłuższą kwestię. Ciekawość Barcha nie wytrzymała. Ruszył po kamiennej posadzce i usiadł obok Owsianki.

— Jak idzie praca?

— Bardzo dobrze, wręcz doskonale.

— Jak myślisz, kiedy będziesz gotowy?

Owsianka zastanowił się.

— Pokład jest ukończony. Jutro przenosimy się na drugą barkę. Następnego dnia planujemy zbudować podwójny port wejściowy. Wtedy będziesz mógł spróbować wyprawy w kosmos.

— Czy podwójny port wejściowy jest konieczny? Chciałbym się stąd jak najszybciej wydostać.

— Jest niezbędny w razie konieczności naprawy napędu, a także w wypadku, gdyby zaszła potrzeba uzupełnienia paliwa.

— Och. — Barch potarł brodę. Po chwili oznajmił: — Dziś wieczorem udam się po paliwo i… — przerwał, wodząc wzrokiem od Komeitk Lelianr do Owsianki. — Co się stało?

— Nic, absolutnie nic — odparł Owsianka. Odwrócił się demonstracyjnie do tyłu. Komeitk Lelianr wróciła do lokalizatora.

Barch zapytał ją:

— Coś się udało?

— Nie. Nic konkretnego. Mam na razie tylko wstępne przypuszczenia.

Pozostali Lenapowie zeszli z Wielkiej Dziury i usiedli w ciasnym kręgu na jednej z dalszych ławek. Owsianka wstał i dołączył do nich; natychmiast rozległ się szmer głosów.

Komeitk Lelianr zapytała z wahaniem:

— Dlaczego tak ci zależy na odnalezieniu Mózgu?

— Kiedy dowiem się gdzie się znajduje, spróbuję go zniszczyć.

Gwałtownie uniosła wzrok i utkwiła go w jego oczach.

— Roy – nie sądzisz, że powinieneś dziś już odpocząć?

— Odpocząć? Muszę lecieć po paliwo, czy jak tam się to nazywa. — Wstał, rozejrzał się po pokoju. Wszystkie spojrzenia umykały w inną stronę, wszędzie widział tył pleców. Barch usiadł z powrotem. — Co się dzieje ze wszystkimi tutaj?

Palce Komeitk Lelianr nerwowo poruszały się po lokalizatorze.

— Myślą, że jesteś zmęczony.

— Zmęczony? Oczywiście, że jestem zmęczony! Czemu nie miałbym być zmęczony, a zresztą wszyscy inni też? Odpoczniemy sobie w kosmosie.

Komeitk Lelianr powiedziała cicho:

— Pamiętają, że Clet nazwał cię *Szalonym Człowiekiem*.

Barch siedział jak kamienny posąg.

— Więc wszyscy myślą, że jestem szalony… Mogłem się domyślić. Widziałem, jak Owsianka rzucił mi kilka kosych spojrzeń.

Komeitk Lelianr powiedziała zatroskanym głosem:

— Nie rozumie, dlaczego chcesz kraść accr, skoro w jaskini jest go tyle, że starczy na dwadzieścia lat.

— Starczy na dwadzieścia lat!?

— Tak mówi.

Barch zgarbił się i głęboko westchnął.

— Gdzie?

— W Wielkiej Dziurze. W skrzyniach. Kerbol nazywał je super.

Twarz Barcha drgnęła; nie mógł się zdecydować, czy roześmiać się, czy zacząć krzyczeć. Zmusił się do zachowania spokoju.

— Nie miałem pojęcia, że to jest to. Nikt mi tego nie powiedział! Myślisz, że lubię się kręcić we mgle i robić za tarczę strzelniczą?

— Nie — zapewniła pośpiesznie Komeitk Lelianr. — Nie, nie… Ale dlaczego tak ci zależy na zniszczeniu Mózgu?

Barch, unosząc się na fali mieszaniny gniewu i euforii, burknął:

— Pomyśl. Mózg z pewnością zebrał już wystarczająco wiele informacji, by dojść do wniosku, że zbiegli niewolnicy podkradają mu barki pełne cennych materiałów.

— Przypuszczam, że tak.

— W każdej chwili możemy spodziewać się ataku. Jeśli uda mi się podłożyć pod to coś bombę, opóźnię ten atak na długo.

Komeitk Lelianr zmarszczyła brwi.

— Nie sądzę, żebyś zrozumiał istotę Magarak i jej organizacji.

— Nigdy nie powiedziałaś bardziej prawdziwych słów. Czuję się jak kot w kamieniach młyńskich, za każdym razem, gdy wyruszam gdzieś tą tratwą. Spójrz na to z innej strony. Czy Klau odczuliby cios, gdybym wysadził im Mózg?

— Chyba tak. To byłaby bardzo poważna sprawa.

— Co złe dla nich, dobre jest dla nas. Nazwijmy to taktyką dywersyjną. To dość proste, prawda? — Wziął jej milczenie za potwierdzenie. — Myślisz, że uda ci się odnaleźć Mózg?

— Chyba go odnalazłam.

— Dobrze. I nadal uważasz, że jestem szalony?

Jej wzrok powędrował nad jego lewym ramieniem.

— Nie znam wystarczająco dobrze normy wśród twojego ludu, żeby to osądzać.

Barch wstał. Burknął ochryple:

— Jeszcze z dziesięć minut takiej pokrętnej gadaniny i naprawdę bym zwariował.

Wrócił do ogniska. Do diabła z nimi wszystkimi. Wyjaśnianie im motywów podejmowanych przez niego posunięć było bezcelowe; schematy jego działania nie pasowały do ich umysłów. Położył dłoń na rękojeści broni; oto jego wyjaśnienia. Napotkał nagłe, zaniepokojone spojrzenie Komeitk Lelianr i skrzywił się. „Teraz pewnie sobie myśli, że mam zamiar wpaść w amok. Bardzo dobrze. Nie ma sensu niczego tłumaczyć. Wydawaj rozkazy i dopilnuj, żeby były wykonywane.”

Przeszedł przez pomieszczenie do Lenapów. Zapadła nagła cisza; poczuł na plecach wzrok wszystkich swoich ludzi.

— Owsianko — powiedział — myślisz, że jestem szalony. To mi odpowiada; dopóki robisz to co ci mówię, możesz sobie myśleć, co chcesz. Jutro chcę, żebyś załadował Barkę Trzy pojemnikami z accr. Chcę, żebyś zamontował na jej dziobie detonatory, na każdym występie z przodu, tak żeby odpaliły przy zetknięciu z każdą przeszkodą. Chcę, żebyś w mechanizmie antykolizyjnym umieścił wyłącznik, żebym mógł wszystko wyłączyć, kiedy tylko będę chciał. Rozumiesz?

Owsianka zamrugał oczyma.

— Jasno i wyraźnie.

— Dobrze.

Barch przeszedł przez pomieszczenie do wyjścia i wymknął się w ciemności nocy.

Deszcz ustał; powietrze zrobiło się dziwnie spokojne jak na Palkwarkz Ztvo. Barch przemierzył polanę i skierował się do swojej tratwy. Przez chwilę rozważał czy nie wskoczyć na pokład, nie wzbić się w ciemne niebo i nie polecieć przez noc. Nie miał jednak rozstawionego światła nawigacyjnego, lokalizator znajdował się w wielkiej sali i gdy już znajdzie się w powietrzu, nie będzie w stanie znaleźć drogi powrotnej. Położył się na tratwie, rozciągając się na plecach. Nigdy nie widział, by dolina była taka spokojna. Ani drgnienia powietrza; ani poruszenia liścia. Nasłuchiwał. Żadnych dźwięków. Co za niesamowita noc, jakby zrodzona do dziwnych czynów.

Z dołu zbocza, z pobliża rzeki doleciał jakiś głuchy odgłos. Barch uniósł się lekko na tratwie i zaczął nasłuchiwać. Nie słyszał żadnych innych odgłosów. Położył się z powrotem na plecach... Jeszcze dwa dni, a potem kosmos – cudowna perspektywa. A potem gdzie? Z powrotem na Ziemię!

Nad Górą Kebali pojawiły się światła barki; Barch powiódł za nimi wzrokiem po niebie, aż znikły z pola widzenia nad Doliną Poriflammes. Barch odprężył się. Mało prawdopodobne, aby Klau przybyli nocą. Kiedyś musieli się pojawić; dlaczego zwlekali tak długo? Mózg musiał myśleć ospale – albo nie docenił pilnego charakteru sytuacji. Barch rozmyślał, rozważając wszelkie za i przeciw.

Jeśli Klau zaatakują w ciągu najbliższych dwóch dni, to będzie musiał wyruszyć, żeby zniszczyć Mózg. Jeśli uda im się odlecieć, zanim Klau zareagują – tym lepiej.

Barch spuścił stopy na ziemię i wyszedł na otwartą przestrzeń. Dziwny spokój dobiegał końca; przez chmury przebijały się grzmoty, Barch usłyszał też cichutkie stukanie deszczu.

Wrócił do jaskini. Przeciskając się przez szczelinę wejściową, usłyszał podniesione głosy zatopione w ożywionej rozmowie. Wszedł do sali. Zapadło milczenie. Twarze wokół pomieszczenia wyglądały jak blade dyski, zwrócone ku niemu niczym kwiaty ku słońcu.

— Rozmawiajcie sobie dalej — powiedział Barch. — Nie zwracajcie na mnie uwagi.

Rozdział XI

Klau przybyli następnego dnia. Rano Barch zaminował urwisko, rozmieścił środki obrony równego terenu, ale kiedy uniósł wzrok i zobaczył, jak potężna barka lekko zmierza w stronę płaskiej przestrzeni, serce mu zamarło. Jego przygotowania nagle wydały się mu śmiesznie trywialne.

Obserwował zbliżającą się barkę. Unosiła się ze złowieszczą lekkością i pewnością – czarny potwór dwa razy większy od wszystkiego, co Barch do tej pory widział. Przesłoniła połowę nieba, opadając w jego stronę niczym stopa na chrząszcza. Barch szarpnął się do tyłu, pragnąc uciec.

Sponad każdego relingu wystawały niczym ozdobne frędzle głowy z kolczastymi włosami, a na rufie rysował się ostry, kanciasty kształt o śmiercionośnym wyglądzie.

Barch popatrzył w stronę jaskini; dostrzegł dwie wystraszone twarze, wystające ze szczeliny. Z lasu wyszedł Płaskonosy, rzucił przerażone spojrzenie przez ramię i pospiesznie pomknął przez płaski teren, garbiąc się jak bawół.

Barch zawołał z niepokojem:

— Hej, Płaskonosy, tutaj – pomóż mi trochę.

Płaskonosy ruszył tylko jeszcze szybciej w stronę jaskini.

Barch rzucił za nim spojrzenie, kipiąc z wściekłości. „Dobrze. Sam to zrobię.” Pomknął między drzewami do miejsca, gdzie w prowizorycznych prowadnicach stały oparte cztery długie kształty – rury, które Pedratz pospawał na jego polecenie.

Barka znajdowała się już zaledwie dwieście stóp w górze. Barch obszedł prowadnicę, wycelował rurą w odsłonięte wnętrze barki. Złamał obudowę zapalnika, odskoczył.

Rozległ się suchy trzask, szczęknięcie, nagły świst, ryk. Rakieta-rura wybuchła z tyłu na wszystkie strony, wypuszczając niebieski dym, pomknęła ze świstem chaotycznie w górę, obracając się i wirując. Barch pomyślał. „Pudło. Nie dam rady wcelować tym cholerstwem.” Ale rakieta skręciła, trafiła pod rufą, eksplodowała. Natychmiast powstała tam dziura, ciała wystrzeliły do góry, wygięte jak krople w fontannie, zawisły przez chwilę w powietrzu i spadły.

Barka opadła rufą w dół, rozsypując swój ładunek, zawisła chwiejąc się na dziobie. Na pustą przestrzeń dna doliny spadł rozwrzeszczany deszcz miotających się, koziołkujących kształtów.

Na pokładzie barki kilka postaci wciąż trzymało się relingów, wisząc na nich jak łańcuchy mrówek. Barch wyciągnął pistolet, wycelował, strzelił –

raz, drugi. W barce nie pozostał nikt, poza pilotem w kopule, który uczepił się sterów. Ale na próżno. Kołysząc się delikatnie, barka opadała, aż rufa dotknęła ziemi i spoczęła na niej. Barch strzelił do pilota, lecz pocisk tylko odbił się ze świstem od kopuły.

Barch zawahał się przez chwilę, po czym ostrożnie podszedł do broni zamontowanej na rufie. Jednym okiem spoglądając na pilota, obejrzał działko, zbadał jego mechanizm. Obracało się na specjalnym bolcu. Miało dziwny układ – w kształcie litery H z długim, centralnym prętem, trochę jak w dalmierzu okrętowym. Spust znajdował się w oczywistym miejscu. Pilot zaczął wychodzić z kopuły; Barch obrócił H, wycelował je jak najdokładniej i nacisnął spust. Rozległ się trzask; kopuła sterownicza zniknęła. Barka runęła do reszty z potężnym trzaskiem i podmuchem powietrza.

Barch odwrócił się, by popatrzeć na ciała leżące na płaskim terenie. Kilkanaście wiło się, jedno czy dwa pełzało z jękiem po kamiennym podłożu. Barch obrócił H, ponownie rozległ się trzask; na płaskim terenie pozostała wyżłobiona wielka owalna plama, wypalona, szklista.

Tysiąc stóp nad nimi unosiła się tratwa z kryształową osłoną. Barch spojrzał na nią przez celownik. Widać było dwie tratwy. Poruszył dźwignią, obie połączyły się. Nacisnął spust. Tratwa zmieniła się w kilka łopoczących w powietrzu, spadających kawałków. Nie było więcej celów. Niczego co by pozostało przy życiu. Barch zeskoczył na dół, na płaski teren. Popatrzył w górę, na wejście do jaskini, zobaczył nerwowe poruszenie w środku.

Znalazł drogę między stosami ciał, prześlizgnął się przez szczelinę do wielkiej sali. Lenapowie tłoczyli się razem, niczym szczenięta w koszyku.

— Do roboty — warknął Barch. — Skoro nie potraficie walczyć, to przynajmniej możecie pracować.

Rozejrzał się po sali. Pedratz stał pod ścianą, jego twarz była blada i okrągła jak księżyc w pełni.

— Weź swoje wyposażenie, zobacz, czy uda ci się zdemontować tę broń.

Lenapowie pomaszerowali korytarzem do Wielkiej Dziury, tłocząc się blisko siebie, nerwowo poruszając rękami.

— Owsianko — spytał Barch — naprawiłeś Barkę Trzy, tak jak ci kazałem?

— To kwestia chwili — odparł pośpiesznie Owsianka.

— Ile zostało czasu zanim będziemy mogli odlecieć z Magarak?

— Trudno powiedzieć. Podwójny port nie jest jeszcze gotowy; spawanie kadłuba zostanie zakończone przed końcem dnia.

— No to pośpiesz się z tą Barką Trzy. Jeśli Klau zaczną na nas poważnie naciskać, długo nie pociągniemy. Wydaje mi się, że uda mi się trochę ich skonfundować.

— Niebezpieczne, niebezpieczne.

— Nie, jeśli naprawisz wszystko dokładnie tak, jak ci każę. Nawiasem mówiąc, lecisz ze mną. Nie potrafię pilotować tej barki.

Owsianka obwisł jak pustawy worek z mąką. Bez słowa obrócił się do tyłu i pośpiesznie ruszył korytarzem. Barch usiadł przy stole naprzeciw Komeitk Lelianr, która pracowała przy lokalizatorze.

— Doszłaś do czegoś konkretnego?

— Tak, myślę że tak. W indeksie nosi to nazwę Organ Centralny.

Barch popatrzył na wyświetlacz, na plątaninę pastelowych kształtów. Pierścień wyboru otaczał mały zielony kwadrat, pośrodku niebieskiej plamy o kształcie atramentowego kleksa. Po jednej jego stronie znajdował się rdzawo-pomarańczowy prostokąt, który zdawał się drżeć i podskakiwać, gdy Barch na niego patrzył; po drugiej stronie garść szarych kropek. Z zielonego kwadratu rozchodziła się radialnie seria drobnych czerwonych naczynek włosowatych, tak delikatnych, że ledwie zauważalnych.

— Więc to jest Mózg.

— Tylko to wydaje się prawdopodobne. Oczywiście nie mam pewności.

— Czy to daleko stąd?

— Jedna trzecia drogi wokół planety, w Dystrykcie Centralnym.

— Dystrykcie Centralnym? Jest bardziej skomplikowany niż Quodaras?

— Quodaras to nowszy dystrykt, ma zaledwie kilkaset lat.

— Och. No cóż, to nie robi specjalnej różnicy.

Na krótką chwilę zapadła cisza. Potem, marszcząc brwi w stronę wyświetlacza, dziewczyna powiedziała:

— Roy – nadal uważasz, że ten twój plan jest wykonalny?

Barch wydał z siebie zniesmaczone prychnięcie.

— Klau właśnie stracili barkę pełną Podruodów. Następnym razem wyślą coś cięższego. Nie wytrzymamy żadnego poważnego ataku. Musimy odwrócić ich uwagę od nas, na tak długo, żebyśmy mogli się stąd ulotnić. W tej chwili balansujemy nad przepaścią. A ja mam robotę do wykonania. Muszę dopilnować, żeby na pokładzie znalazło się wystarczająco dużo surowca dla sustenatorów. Muszę wyładować Barkę Trzecią abiloidem i paroma skrzyniami accr.

Dzień minął Barchowi jak dzień przed egzekucją – każda sekunda, każda minuta ciągnęły się w nieskończoność, a godziny paradoksalnie się kurczyły.

Praca postępowała z irytującą powolnością; Barch wskakiwał znienacka do i z Wielkiej Dziury, rzucając zgryźliwe uwagi nad głowami Lenapów, przekonany o ich braku efektywności, ale nie będąc w stanie ich za to bardziej dosadnie zrugać, bo nie rozumiał co robią. Warczał na kobiety wnoszące na budowaną barkę sprzęty domowe, wściekał się na Płaską Twarz i ekipy robocze, że marnują czas na gapienie się na pole pełne trupów Podruodów, zamiast wnosić na pokład kłody zielonego drewna, które pościnali.

Pedratzowi udało się zdemontować ciężką broń z rufy barki wojennej. Barch przeniósł ją pod tratwą do niszy tuż przy wejściu do jaskini; stąd mógł mieć pod kontrolą niemal całą dolinę. A co, jeśli Klau pojawią się, gdy on będzie na swojej ostatniej misji? Zawołał Chevrra, ponurego Splanga.

— Chodź tu na chwilę.

Chevrr podszedł z podejrzliwością. Barch wyjaśnił mu działanie broni i kazał Chevrrowi skupić się na kilku bliskich i dalekich obiektach, ku jego uciesze.

— Od teraz masz zostać tutaj. Będziesz strażnikiem. Jeśli zobaczysz zbliżających się Klau, nie strzelaj, zawołaj mnie. Jeśli mnie nie będzie, działaj według własnego uznania.

Chevrr wydał z siebie dźwięk zgody. Barch przeszedł przez dużą salę i wspiął się do przejścia do Wielkiej Dziury.

Owsianka stał obok Barki Trzy, spoglądając w górę na kopułę.

— Owsianka! — warknął Barch. Lenap odwrócił głowę; spojrzenie jego okrągłych, opalowych oczu spotkało się bez wyrazu ze spojrzeniem gorących, orzechowych oczu Barcha. — Kiedy ta barka będzie gotowa?

— Już wszystko jest gotowe.

— Och — stwierdził Barch. — Ładunek wybuchowy na pokładzie?

— Całość.

— Dwie skrzynie accr?

— Zgadza się. Reszta została załadowana na pokład statku kosmicznego.

— Dobrze. A teraz, jesteś pewien, że zrobiłeś wszystko to, co chciałem?

— Na każdym występie na dziobie zamontowany został detonator, podłączony do ładunku barki.

— Dobrze. Każę ludziom otworzyć jaskinię i ruszamy.

Owsianka wydał z siebie niewyraźny, jękliwy odgłos.

— Nie mam ochoty z tobą lecieć. Ta wyprawa jest niepotrzebna.

Mięśnie twarzy Barcha drgnęły. Opanował się.

— Pokaż mi, jak obsługiwać barkę.

Owsianka z wielkim zapałem wskoczył na pokład.

— To bardzo proste. Tu ustawia się prędkość. Aby dotrzeć w dowolne miejsce na planecie, ustaw cel na lokalizatorze, przełącz ten przełącznik. Ta kula steruje barką, gdy lokalizator-naprowadzacz nie działa.

Mówił dalej, dotykając różnych pokręteł, drążków i prowadnic. Barch zadawał pytania, siadał na fotelu pilota, upewniając się, że wszystko zrozumiał.

Zszedł z powrotem na ziemię.

— Pójdę po ludzi, żeby zburzyli mur; ty wyprowadź barkę przez dziurę.

Barch stał w pustym terenie, obserwując, jak skały spadają z otworu do Wielkiej Dziury. Pojawił się czarna szczelina. Nagle Chevrr krzyknął w dół, ochrypłym głosem:

— Klau!

Ludzie u wyjścia z Wielkiej Dziury zamarli; Barch popatrzył w górę. Zsuwając się z góry Kebali, pojawił się wielki, czarny statek.

W jaskini rozległy się histeryczne lamenty – głośne szlochy śmiertelnego, niemożliwego do opanowania strachu.

— Zamknąć się tam! — krzyknął Barch. — Kryć się do jaskini!.

Barch zajął miejsce Chevrra przy działku, skulony za krawędzią skały.

Statek lekko spłynął wzdłuż zbocza, minął równy teren, po czym wzbił się ponad wąskie wejście do doliny, zatoczył krąg i powoli zawrócił. Otwór prowadzący do Wielkiej Dziury był tylko cieniem, był odwrócony od doliny; raczej nie powinien przyciągnąć ich uwagi.

Statek ponownie przeleciał nad równym terenem. Powietrze wypełnił głośny trzask; równina zadrżała, migotała. Trzask ucichł. Rozbita barka, ciała Podruodów zniknęły. Przepona Barcha ścisnęła się konwulsyjnie.

Trzask rozległ się ponownie. Las za równym miejscem został powalony. Skała koło twarzy Barcha zadrżała. Za nim, w jaskini, znów rozległo się zawodzenie. Barch warknął przez ramię:

— Przerwać te hałasy!

Odwrócił się do tyłu. Jak na razie nic się nie stało; strzelali na oślep. Tylko bardzo szczęśliwy strzał mógł przynieść im jakieś szkody. Miał nadzieję, że dowódca Klau dojdzie do tego samego wniosku.

Statek przeleciał prawie nad jego głową; Barch śledził go przez celownik działka. Być może kadłub był odporny na tę stosunkowo słabą broń; wstrzymał ogień.

Dowódca Klau zachował się zgodnie z nadziejami Barcha. Statek ponownie zatoczył krąg w dolinie, zatrzymał się nad największym urwiskiem i powoli wylądował.

W wielkim podnieceniu Barch wbiegł do jaskini.

— Owsianka! Gdzie jest Owsianka?

Siedząca przy stole Komeitk Lelianr wskazała na jedną z wnęk. Barch podbiegł i zobaczył Lenapów zwiniętych w ciasną, spoconą kulę.

— Owsianka, wyłaź stamtąd!

Sięgnął ręką i rozerwał gromadkę ciał. Pojawiła się czerwona, mrugająca twarz Owsianki.

— Wyłaź stamtąd. Szybko!

Owsianka z trudem wygramolił się z wnęki.

— Idź do tego urządzenia zdalnego odpalania. Kiedy dam ci sygnał – wciśnij numer jeden. Zrozumiano?

Owsianka poczłapał do skrzynki na stole z tyłu, Barch wrócił do szczeliny. Statek delikatnie wylądował na klifie; natychmiast opadła z niego rampa, na którą wyskoczył korpus Podruodów. Barch schował się z powrotem do jaskini.

— Teraz!

Przez szczelinę wejściową rozbłysło fioletowe światło; chwilę później ściana skalna zadrżała jak pod uderzeniem gradu odłamków.

Barch ostrożnie wyjrzał na dolinę. Klif był pożłobiony i porozrywany; na dole w dolinie leżały rozbite szczątki okrętu bojowego.

Barch przecisnął się z powrotem do jaskini.

— Owsianko, gdzie jesteś? — Przebiegł przez pomieszczenie, chwytając go za krępe ramiona. — Wracamy do pracy! Liczy się teraz każda minuta. — Odwrócił się. — Ellen!

— Tak?

— Lecę natychmiast.

— Roy…

— Nie kłóć się ze mną. Jeśli nie polecę, mamy przed sobą trzy, cztery godziny życia. Teraz potraktują nas poważnie, zrobią swoją robotę jak należy – chyba że zadam im cios jako pierwszy.

— Ale, Roy, statek musi być już prawie gotowy…

— Zajmij się Owsianką, dopóki nie wrócę. To jedyny sposób, żeby dać nam parę godzin spokoju.

— A jeśli nie wrócisz?

— Wrócę. Ale jeśli nie wrócę – to żegnajcie.

— Do zobaczenia.

Barch pobiegł korytarzem do Wielkiej Dziury.

— Owsianko, wejdź do tej barki, cofnij nią, wybij dziurę.

Owsianka bez słowa wgramolił się do kopuły. Rufa barki otarła się o ścianę; ta się rozpadła. Barka wyleciała w zewnątrz.

Barch stał przez chwilę, patrząc w niebo. Zmierzch opadał nad doliną. Niebo nad głową poznaczyło się gwiazdami, niczym rozwodniony szary jedwab. Drzewa stały cicho i nieruchomo; nic nie było słychać. Głos Barcha brzmiał głośno.

— Na pewno nie polecisz ze mną, Owsianko?

Owsianka przestępował z nogi na nogę.

— Potrzebny jestem tutaj, do pracy.

— Dobrze. Pracujcie szybko.

— Wkrótce skończymy.

Barch wskoczył do małej tratwy i wślizgnął się nią na pomost za kopułą sterowniczą. Zajrzał do ładowni, zobaczył zadowalającą ilość pudeł.

— Wystarczy, żeby trochę narozrabiać, co, Owsianko? — zawołał żartobliwie.

Owsianka uniósł ręce i odszedł.

Barch rozejrzał się po równym terenie, spojrzał w niebo. W wejściu do jaskini dostrzegł szczupłą, drobną postać. Ellen? Pomachał ręką. Postać zniknęła w środku.

Barch wszedł do kopuły sterowniczej, usiadł na nieznanym mu fotelu pilota. Ostrożnie wprowadził w życie instrukcje Owsianki. Barka uniosła się pionowo do góry. Barch przekręcił wskaźnik lokalizacji, patrząc w wizjer. Tam – zielony kwadrat na nieregularnym niebieskim kształcie. Ale zanim wcisnął przełącznik, pomanipulował trochę sterami, żeby wyczuć łódź. W górę, w dół, na boki, do przodu, obrót. Nic trudnego. Barch włączył autopilota, wcisnął przycisk prędkości i rozsiadł się wygodnie.

Barka przemknęła niczym cień nad Górą Kebali. Przed nimi rozciągała się Dystrykt Quodaras, rozmyte światła ciągnące się od horyzontu do horyzontu. Bezpośrednio pod nim, w kamieniołomie, widać było samotną grupkę świateł; jak dużo czasu minęło odkąd on i Kerbol spłynęli w dół, by zaatakować Ticka. Tick już nie żył, Kerbol też nie żył: tak bezowocnie, niesatysfakcjonująco, przerwane życia.

Kamieniołom zniknął za rufą niczym błyszcząca perła roztapiająca się we mgle. W dole Barch dostrzegł migotanie Morza Tchul, pełne refleksów dalekich pasm świateł, migoczących na powierzchni.

Barka nagle ześlizgnęła się w bok, ustabilizowała swój lot; Barch zdał sobie sprawę, że teraz porusza się w strumieniu gęstego ruchu. Inne barki przelatywały ze wszystkich stron, obok niego, nad nim. Niezainteresowane twarze pilotów migały niewyraźnie: twarze ludzi o martwych duszach.

Barka przelatywała nad oślepiającymi płaszczyznami światła, ogniskami świateł, wirującymi świetlnymi ramionami, jakimiś trudnymi do oceny kształtami Magarak.

Nagle przyszło mu do głowy, jak odnajdzie drogę do domu? Na tratwie nie było lokalizatora. Musiał pamiętać, żeby go odpiąć i zabrać ze sobą.

Na lokalizatorze oceniał postępy podróży. Jeszcze nie dotarli do połowy drogi, do Organów Centralnych. W dole budynki, kształty, poruszające się ramiona, fantastyczne ognie, przybierały o wiele większe rozmiary, niż do tej pory. Powietrze przesiąknięte było ostrymi zapachami; hałas i brzęk jakichś tajemniczych procesów, docierał do niego w górze, zdumiewając go. Jak ludzie mogli przetrwać w takim koszmarze?

A jednak ludzie przetrwali. Ludzie przetrwali już epoki lodowcowe, zarazy, wojny, a teraz przetrwali Magarak. Ludzka wola życia zbliżała się do poziomu nieskończoności.

Zatonął z powrotem w fotelu, czując dziwny spokój. Kości zostały rzucone; nie było już odwrotu. Jego problemy pozostały już za nim; koniec

z wysiłkiem i zmartwieniami. Albo wypełni swoją misję, wróci do jaskini i odleci z Magarak – albo zginie.

Przez kilka minut spoczywał sennie w fotelu, po czym otrząsnął się i sprawdził odległości w lokalizatorze. Dwie trzecie długości trasy. Spojrzał za siebie. Światła, kołyszące się czarne kształty, rozmywały się w oddali. To samo ze wszystkich stron, dookoła całego horyzontu. Bez lokalizatora zgubiłby się.

Mijały minuty; Barch zaczął odczuwać napięcie. Spokojnie, powiedział sobie. Albo się uda, albo nie.

Na samym krańcu lokalizatora pojawił się zielony kwadrat. Barch spojrzał przed siebie. To tam – ta wysoka, masywna wieża, ten nieregularny, niebieskawy kształt.

Barch wyłączył lokalizator, przesunął dźwignię prędkości, żeby zwolnić, i opadł niżej. Wieża wznosiła się nad nim i Barch zobaczył, że rzeczywiście świeciła delikatnym zielonym światłem.

Zaczął krążyć, ostrożnie szukając pionowych tras i pasów ruchu. Barki przecinały jego kurs; dostrzegł błyski zaskoczonych twarzy. Spokojnie, Barch, uważaj. Nie chcemy teraz spotkać żadnej policji drogowej.

U stóp wieży dostrzegł szeroki otwór – lądowisko na poziomie gruntu.

Obniżył lot barki. Obok przemknęła tratwa z kryształową kopułą, a Barch zauważył pilota zerkającego z ciekawością w jego stronę. Barch nie zwrócił na to uwagi. Tratwa niechętnie odpłynęła gdzieś dalej.

Powietrzem wstrząsnął głośny dźwięk przypominający syrenę. Alarm? Sygnał ostrzegawczy? Barch uniósł się w fotelu, rozejrzał się we wszystkie strony. Nie zanosiło się na nic niepokojącego.

Ziemia była już blisko; otwór, oświetlony zielonkawożółtym światłem, znajdował się dokładnie na jego poziomie. Wyłączywszy obwód antykolizyjny, skierował barkę w stronę otworu. Powoli, daj mu czas na pełne otwarcie. Obserwował przez chwilę. Był dokładnie pośrodku. Dobrze.

Otworzył drzwi, wycofał się do tratwy, wszedł na jej pokład. Zatrzymał się; Boże, lokalizator! Pobiegł z powrotem. Otwór był już bardzo blisko. Jedną ręką zaczął mocować się z zatrzaskami. Jeden z nich się otworzył, potem drugi. Złapał lokalizator pod pachę i pobiegł z powrotem. Otwór prawie go pochłonął. Na pokład tratwy, odcumować, odlecieć…

Powietrze smagało go po twarzy; skulił się, przez cały czas przyśpieszając lot tratwy do przodu. Szybciej, szybciej. Lepiej leżeć na płask. Upadł twarzą do przodu.

Światło rozbłysło na niebie, zabarwiając chmury oślepiającym fioletowo-białym kolorem. Ach, pomyślał Barch, wybuch. Sukces! Przywarł do tratwy. Szybciej, szybciej.

Dogonił go potężny podmuch, unosząc tratwę niczym listek na fali, ciskając nią wysoko w górę i na mile do przodu. Barch dostrzegł, jak wielka wieża wali się, przewraca i rozbija. Rozległa się druga eksplozja. Barch zobaczył błękitny wybuch, potężny wachlarzowaty blask, który błyskawicznie wystrzelił w górę, przebijając się przez chmury. W miejscu, gdzie stała wieża, kipiała teraz kałuża lawy. Masywne konstrukcje obok budowli były pogięte, roztrzaskane, a gdy potężny błękitny rozbłysk spokojnie zgasł, budynki rozbłysły czerwienią i zapadły się.

Barcha dosięgła teraz druga fala powietrza, łagodniejsza, lecz ostrzej uderzająca, którą niosła ze sobą dźwięk. Obejrzał się za siebie raz jeszcze i

zastanawiał się, ilu ludzi zginęło, ilu Klau, ilu niewolników. Klau – Barch wzruszył ramionami. Niewolnicy – dla niewolników śmierć była niewielką stratą.

Tratwa leciała na równym kilu, słuchała sterów. Barch spojrzał w lokalizator – wytrzeszczył oczy ze zdumienia. Wyświetlacz pokazywał ciemność, nicość. Barch potrząsał nim, stukał w niego bezskutecznie.

Z nagłym domysłem spojrzał za siebie. Czy lokalizatorem sterował Centralny Organ? Z obrzydzeniem i paniką cisnął mechanizm za siebie. Popatrzył do przodu. Jak tutaj doleciał? Czy to był właściwy kierunek? Wszystkie kierunki wyglądały tak samo. Nie było księżyca, nie było gwiazd.

Wyjrzał za burtę, szukając jakichś punktów orientacyjnych, które mógł wcześniej dostrzec.

Wszędzie wystrzelały w górę dziesiątki budynków, niezliczonych świateł i panował ogromny ruch; wszędzie wszystko wyglądało tak samo.

Obejrzał się za siebie. Wieża zniknęła. Ale… na podejściu do niej dostrzegł coś subtelnie innego. Barch zawrócił tratwą, zaczął zataczać krąg w lewo, patrząc w stronę dawnej wieży. Płaszczyzny budynków przesunęły się, światła i ognie przybrały inne wzorce. Teraz wyglądało to dobrze. To było ryzyko – ale cały ten lot był ryzykiem. Jak dotąd wygrywał.

Barch wykręcił tratwą od wieży i ruszył z pełną prędkością.

Teraz minuty wlekły się zamiast jak wcześniej pędzić. Z pewnością nie spędził tyle czasu nad tymi monstrualnymi kształtami, najeżonymi kratownicami podobnymi do czułek ćmy. Leciał dalej. Budynki zdawały się maleć. Powinien już zbliżać się do Morza Tchul, ale Morza Tchul nie było w zasięgu wzroku. Gdzieś popełnił błąd. Co teraz – skręcić w prawo czy w lewo? Nie. Prosto przed siebie. W tej udręce szalonego niepokoju, każda minuta zdawała się trwać dziesięć minut. We wszystkich kierunkach rozciągał się nienawidzący ludzi moloch Magarak.

Popełnił błąd. A jednak – jeszcze kilka mil. I czym była ta niewyraźna pustka widoczna przed nim? „Thalasse, thalasse!” krzyczały tysiące ludzi Ksenofonta.

— Morze — mruknął Barch. — Stare, dobre Morze Tchul!

W dole przesuwały się błotniste równiny, lśniące mętną fosforescencją niczym martwe ryby; przed nim wyrastała masa Palamkum. „Jesteś prawie jak w domu”, pomyślał Barch. „Teraz odpocznij.” Jego palce się rozluźniły. Jeśli mają spędzić pięć lat w kosmosie, on pierwszy rok prześpi. Odpocząć, spać. Koniec z popędzaniem, koniec z intrygami i planowaniem.

Pod nim migotały już samotne światła kamieniołomu; tam był grzbiet góry Kebali. Spłynął w dół długim zboczem, do Palkwarkz Ztvo, zauważając coraz jaśniejszą szarość na niebie. Czyżby noc minęła tak szybko?

Pojawiło się rozsadzone urwisko, tam wypalony równy teren, i wreszcie oto czarny otwór do Wielkiej Dziury.

Barch wylądował tratwą, zeskoczył z niej na ziemię i pobiegł w stronę wejścia do jaskini. Zagwizdał na wypadek, gdyby ktoś był na warcie, ale nikt mu nie odpowiedział.

Dotarł do szczeliny, zatrzymał się gwałtownie. Zmarszczył brwi. Gdzie się podziała cienka strużka światła, która zawsze sączyła się z tego otworu? Czy pozwolili wygasnąć ogniowi? Czy zgasili lampy?

Wszedł do sali. Palenisko żarzyło się matowym kolorem węgli.

— Hej! — krzyknął Barch. — Czy wszyscy tu pomarli?

Żadnej odpowiedzi, nawet szeptu czy burknięcia, żadnego najsłabszego nawet dźwięku. Barch pobiegł korytarzem do Wielkiej Dziury. Szare światło wlewało się przez otwór w ścianie. Podwójna barka zniknęła. Wielka Dziura była pusta.

Barch powoli podszedł do otworu w ścianie. Szerokiego. Spojrzał w niebo. Nad Górą Kebali szybko przemknęła chmura.

Wrócił do dużej sali, usiadł na ławce, przyłożył dłoń do głowy. Węgle żarzyły się, mrugały i jeden po drugim gasły. Barch siedział w chłodnej ciszy.

Przez szczelinę sączyło się szare światło. Barch wstał i powoli wyszedł na zewnątrz. Uderzył kikutem lewego ramienia o kamień i nawet nie poczuł bólu.

— No cóż — stwierdził Barch na głos, — i to by było na tyle.

Rozdział XII

Barch stał w wejściu do jaskini. Lekki deszcz zacinał z ukosa, niesiony na tak zimnym wietrze, że wydawało się prawie, jakby padał deszcz ze śniegiem; być może na Magarak zaczynała się zima. Fioletowo-szare chmury, ciężkie i poskręcane, drapały czarne grzbiety okolicznych gór. Szczelina u wylotu doliny była widoczna tylko jako niewyraźna plama; czarne liście lasu trzęsły się i trzepotały.

Wrócił do jaskini, dorzucił drewna na węgle, patrzył, jak tlący się słabo żar rozpala się małymi płomykami, rozrastającymi się do płomieni.

Odwrócił się i bez specjalnego powodu wspiął się do przejścia prowadzącego do Wielkiej Dziury. Mgliste, szare światło wpadało przez szczelinę w ścianie, wysoką na dwadzieścia i szeroką na pięćdziesiąt stóp; nie był w stanie samemu jej wypełnić. Wzruszył ramionami, odwrócił się i rozejrzał po jaskini.

Nadal był panem sporych dóbr – dużego ładunku sustenatorów, z wyjątkiem trzech znajdujących się na statku i jednego w holu. Stały tam skrzynie z taśmą spawalniczą, zapalnik, narzędzia tnące, całe szpule kabla i pokaźny stos płyt pokładowych. Materiały wybuchowe się skończyły, wszystkie zapasy zniknęły wraz z podwójną barką. Drobiazgi, złom, połamane skrzynie zaśmiecały połowę nierównej podłogi. Nic wartościowego ani obecnie przydatnego.

Barch ruszył z powrotem do dużej sali, ale się zatrzymał. Trzeba było coś zrobić z tą dziurą. Jedną ręką nie dało się ułożyć ściany z kamieni. Mógł jednak zbudować jakąś prowizoryczną osłonę, wiążąc blachy pokładowe kablem i ewentualnie rzucając od zewnątrz kilka gałęzi, dla kamuflażu.

Wrócił do holu, zjadł coś z sustenatora. Ogień był ciepły, na zewnątrz szumiał deszcz. Czuł się senny, otępiały. Zdrzemnął się na chwilę, a potem nagle się obudził. Głosy? Przyjemne kobiece głosy? Serce zaczęło walić mu jak młotem, zerwał się na równe nogi, rozejrzał po sali. Nic. Popatrzył w głąb tylnego korytarza, nasłuchiwał. Cisza. Podszedł do szczeliny, zlustrował niebo. Deszcz zmienił się w ulewę; czarne liście chyliły się, drżały; las wzdychał, w dolinie jęczał wiatr.

Barch wszedł z powrotem do Wielkiej Dziury, pracował gorączkowo, na wpół zalewany padającym deszczem, chwilami zupełnie na zewnątrz. Kiedy skończył nad dziurą wisiał, łopocząc i podskakując, podwójny rząd paneli. To było niezbyt dobre rozwiązanie, ale lepsze niż nic.

Wrócił do sali, usiadł wpatrując się w ogień i tak minął mu kolejny dzień.

Czwartego ranka, pędzony niepokojem, wsiadł na tratwę. Ostrożnie wylądował na szczycie góry Kebali i stał tam, spoglądając na dystrykt Quodaras. W powietrzu unosił się ciężki zapach dymu. Wzdłuż linii horyzontu Barch widział nie mniej niż dwadzieścia słupów ołowianej pary unoszących się z wilgotnym wiatrem. Kiedy tak się rozglądał, w oddali rozbłysnął czerwony, przypominający gwiazdę błysk ognia. Pół minuty później poczuł mocny podmuch na twarzy i usłyszał huk przypominający grom. Opierając się pokusie dalszego lotu nad miastem, Barch wrócił do jaskini.

Spędził pół dnia, układając gałęzie z okolicznych drzew na panelach Wielkiej Dziury. Cofając się, by sprawdzić swoje dzieło, zobaczył sunącą w głąb doliny barkę.

Barch podbiegł do wejścia jaskini, skrył się za działkiem. Wycelował przez celownik; jego dłoń powędrowała na spust... Zmarszczył brwi, zmrużył oczy. To nie byli Podruodowie; prawdę mówiąc przy relingu stała grupa ludzi złożona zarówno z kobiet, jak i mężczyzn. Pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu, wyglądających na obdartych, najwyraźniej wszyscy tej samej rasy, o skórze i rysach twarzy zbliżonych do jego własnych.

Barka usiadła na płaskim terenie. Zatrzeszczały schody; na ziemię zeskoczył chudy, łysy mężczyzna o przebiegłej, okrągłej twarzy, a za nim wysoki młodzieniec o ciemnych włosach. Barch słyszał ich głosy, ale nie rozróżniał wypowiadanych słów.

Po chwili po drabinie zeszła reszta pasażerów, i stała rozglądając się niepewnie po kawałku równego terenu. Chudy, łysy mężczyzna dostrzegł Barcha i działko. Przykucnął. Pozostali, podążając za jego wzrokiem, zamarli w konsternacji, ich głosy ucichły.

Barch zawołał w łamanym języku z Magarak:

— Podejdźcie tu, gdzie będę mógł z wami porozmawiać.

Chudy, łysy mężczyzna i ciemnowłosy młodzieniec podeszli ostrożnie.

— Co was tu sprowadza? — spytał szorstko Barch.

Chudy mężczyzna uważnie zajrzał za Barcha w szczelinę.

— Możecie nas nazywać zbiegami. A wy?

— To samo.

Ciemnowłosy młodzieniec powiedział cicho na boku, po angielsku:

— Te dzikusy są coraz bardziej zwariowane, wracajmy do Podinsiras, gdzie przynajmniej jest bezpiecznie.

— Może to on trochę zwariował. — Barch uśmiechnął się gorzko. — Mówię całkiem nieźle po angielsku.

Przybysze wpatrywali się w niego niepewnie.

— Zapomnijmy o tym — dodał Barch ze zmęczeniem. — Więc jestem dzikusem; do tego jestem stuknięty. — Skinął głową w stronę barki. — Wszyscy jesteście z Ziemi?

— Jesteśmy tym, co zostało z ludności Oakville w stanie Iowa.

— Nigdy o tym nie słyszałem.

— Klau zrzucili armię wokół miasta, zapędzili nas na swój statek. To było dwa, trzy miesiące temu. Co się działo od tamtej pory, nie wiemy; bunt niewolników dał nam szansę na wyrwanie się na wolność.

— Bunt niewolników?

— Tak, zaczął się jakieś cztery dni temu. Ktoś wysadził najważniejszą kwaterę główną, z większością szych Klau. Od tamtej pory Magarak zmienił się w dom wariatów.

— No, no — stwierdził Barch. — A teraz co zamierzacie zrobić?

— No cóż — odparł chudzielec — postanowiliśmy za wszelką cenę wrócić na Ziemię. Nazywam się Smith, a to mój syn Tim.

— Jestem Roy Barch.

Smith wskazał na barkę.

— Z tego co rozumiem, te rzeczy działają na tej samej zasadzie co statki kosmiczne – chwytają przestrzeń i ciągną się po niej. A więc, gdybyśmy mogli sprawić, żeby jedną z nich zamknąć hermetycznie…

Barch usiadł na kamieniu i przeczesał włosy dłonią.

— O co chodzi? — spytał chudzielec. — Czy powiedziałem coś nie tak?

— Nie — odparł Barch. — Po prostu trafiliście we właściwe miejsce. Ja organizuję takie imprezy. Jestem od nich specjalistą. — Westchnął głęboko. — Naprawdę chcecie odlecieć z Magarak?

— Naturalnie.

— Jesteście gotowi pracować, podjąć trochę ryzyka, może… — Barch uniósł kikut lewego ramienia.

— Tak!

— Dobra, macie partnera. Do dzieła. Wykręć swoją barką za róg. Opuszczę prześcieradła i wsuniemy ją do Wielkiej Dziury.

Barch zerwał się na równe nogi. Smith i jego syn Tim cofnęli się nieco.

— Jestem nieszkodliwy — zapewnił ich Barch. — Tylko trochę nerwowy. Tym razem zrobię to dobrze.

— Jasne, jasne — powiedział uspokajającym tonem Smith.

— Dziś wieczorem wyruszymy kraść. Wiem co trzeba zrobić. Najpierw zdobędziemy w kamieniołomie accr. Potem polecimy szukać Lenapów. Mamy już mnóstwo sustenatorów, ale potrzebujemy kilku Lenapów. Po drodze coś może pójść nie tak z mechanizmami wewnątrz statku i nikt z nas nie będzie w stanie tego naprawić.

Smith spytał z niepokojem.

— Dobrze się czujesz, synu?

— Czuję się wspaniale — odparł Barch. — Bierzmy się do roboty.

Podwójna Arka II wzbiła się w mrok. Barch spojrzał w dół, na Palkwarkz Ztvo, nienawidząc tego czarnego lasu, czarnych gór, niekończącej się mżawki. A jednak – powiódł wzrokiem wzdłuż doliny – wiele tu doświadczył; wiele osiągnął.

— Chciałbym mieć zdjęcie tego miejsca — powiedział przez ramię do Tima.

Tim chwycił go za ramię.

— Patrz.

Barch gwałtownie się odwrócił. Przez chmury przemknęło kilkanaście długich, ciemnych sylwetek. Chmura na chwilę się rozstąpiła; sylwetki przypominały długie torpedy. Chmura zamknęła się z powrotem; sylwetki zniknęły.

— To nie były statki Klau — powiedział zamyślony Barch.

— Nie, chyba nie.

— Wydawało mi się, że widziałem jakiś emblemat na pierwszym z nich.
Tim zawahał się.
— Ja też. Ale chyba się mylę. To nie mogło być to, co mi się wydawało.
— Emblemat Organizacji Narodów Zjednoczonych?
— Ale to niemożliwe.
— Nie. To niemożliwe. Oczywiście, budowaliśmy już pierwsze statki kosmiczne, ale… to niemożliwe.

Rozległo się pukanie do drzwi pokoju Barcha w hotelu St. Francis. Barch podniósł wzrok znad gazety.
— Kto tam?
— Tim Smith.
Barch wstał.
— Jeśli jesteś reporterem, to skręcę ci kark.
Otworzył drzwi. Wszedł Tim Smith.
— Nie, to tylko ja.
Barch rozejrzał się po korytarzu za Timem, zamknął drzwi na klucz.
— Od paru dni jestem wręcz oblegany. — Zastukał w gazetę grzbietem dłoni. — Chciałbym wiedzieć, jak to się stało.
Tim Smith wziął ją do rąk i przeczytał nagłówek: NISZCZENIE PRZEMYSŁU WOJENNEGO WROGA OSIĄGA PÓŁMETEK.
— To o tym mówisz?
— Nie — odparł Barch. — O tym artykule, napisanym przez Cyrila Heatsa. — Wziął gazetę. — Słuchaj:

„Rozpad Imperium Klau pod naporem wielkiej koalicji Lenap-Lekthwan-Ziemia-Bakaima jest już faktem, i Ziemianie zawsze będą się chlubić tym, że to ich raczkująca Flota Kosmiczna zadała pierwszy skuteczny cios niewolniczym światom Klau.
Jako istotny akcencik w tej niezwykłej epoce naszej historii jawi się wiadomość, że niejaki Roy Barch z San Francisco, pojmany przez Klau pięć lat temu, może poszczycić się zaszczytem przeprowadzenia jako pierwszy Ziemianin kontrataku przeciwko Klau.
Kilka dni temu na tych stronach opisano epicką, czteroletnią podróż Podwójnej-Arki II. Czytelnicy pamiętają zapewne, że bohaterska grupa Ziemian, schwytana w niewolę w czasie pierwszych najazdów Klau, powróciła na Ziemię w prowizorycznie zbudowanym statku kosmicznym. Obecnie ujawniono również, że wielki bunt niewolników na Magarak, który tak znacząco przyczynił się do sukcesu pierwotnej Ekspedycji Karnej, był wynikiem jednoosobowego ataku Barcha na Klau…”

Barch rzucił gazetę na stół.
— Od tego to się zaczęło. Barch to, Barch tamto! — Przeczesał dłonią włosy. — Nie wiem, jak to wyszło na jaw?
— Ktoś musiał puścić farbę — stwierdził beznamiętnie Tim.
Barch rzucił mu przenikliwe spojrzenie.
— Mam już pewne pojęcie, komu mogę za to dziękować.

— Chciałem się tylko upewnić, że nie minie cię to, na co sobie zasłużyłeś — powiedział Tim. — Klucze do miasta, pozłacany hak na twoją obciętą rękę, pomnik Roya Barcha...

Barch spiorunował go wzrokiem.

— Daj spokój — powiedział Tim. — Wiesz, że uwielbiasz takie rzeczy.

Barch roześmiał się.

— Może dzięki temu dostanę pracę. Musiałem pożyczyć pięćset dolców od wujka. Powiedział, że to moja wina, że w ogóle nie powinienem był zadawać się z Lekthwanami.

— Skoro już mowa o Lekthwanach — wtrącił Smith, — spójrz na to. — Wskazał na artykuł na dole strony.

— Widziałem to już — odparł Barch.

Śmigłowiec wylądował na tarasie z ciemnoniebieskiego szkła.

Barch wyskoczył z niego na zewnątrz.

— Nie będę tu długo — powiedział do pilota.

Pilot zapalił papierosa.

— Proszę się nie śpieszyć; płaci pan za to.

Barch powoli krążył po tarasie. Po jego prawej stronie znajdowała się rokokowa balustrada z niebiesko-białego szkła, w paski; po lewej wznosiły się kryształowe ściany, tak przezroczyste z wyglądu, tak mylące dla oka. Wszystko to było tak bardzo znajome; ale wyglądało na dziwnie małe, jak jakaś scena zapamiętana z dzieciństwa, i w dodatku nieco ponuro.

Minął wnękę, w której kiedyś mieścił się poduszkowiec Markela. Obecnie również stał tam poduszkowiec, lśniący i błyszczący, jakby Barch i Claude Darran dopiero co skończyli go polerować.

Poszedł dalej. Znalazł dokładnie miejsce, w którym leżało ciało Claude'a Darrana. A potem – uniósł głowę. Zbliżał się młody Lekthwanin, o złocistej skórze lśniącej w słońcu. Miał na sobie czarne spodnie, miękki czarny płaszcz i czapkę. Barch wiele razy widział Markela w takim samym stroju; napełniło go to dziwnym uczuciem ponadczasowości.

Lekthwanin zatrzymał się przed Barchem.

— Dlaczego pan tu przyleciał? — spytał uprzejmie.

Barch odparł:

— Mógłbym o to samo zapytać pana. — Ta sama nieznośna wyższość Lekthwanów, pomyślał. Jakoś straciła moc, by powodować u niego coś więcej niż tylko lekką irytację.

Lekthwanin lekko się skłonił.

— Pełnię obowiązki Komisarza ds. Handlu.

— Kto jest Komisarzem?

— Od czasów Tkz Maerkl-Elaksda nie ma pełnoprawnego Komisarza.

Barch powoli oznajmił:

— Przybyłem tu z dwóch powodów. Zostawiłem tutaj trochę rzeczy, pięć lat temu.

Lekthwanin zmarszczył brwi.

— Niezrozumiałe. Pięć lat temu mieszkał tu Tkz Maerkl-Elaksd.

— Zgadza się, ale to nie ma znaczenia. Drugi powód właśnie się pojawił.

Lekthwanin odwrócił się.

— Statek z domu — mruknął. — Proszę wybaczyć; czy mógłby pan przylecieć innego dnia?

— Nie — odparł Barch.

Podszedł, by oprzeć się o balustradę… Pięć lat temu stał tu, obserwując wielką, żywo ubarwioną kulę pędzącą w stronę tarasu. I dokładnie tak samo, kula została przymocowana do pomostu lądowiska, i podobnie jak wtedy wyszła z niej na ciemnoniebieskie szkło Komeitk Lelianr.

Zaszły jednak pewne zmiany. Komeitk Lelianr była bardziej cicha, zamyślona, wyglądała na nieco starszą. A serce Barcha nie waliło wtedy tak mocno jak teraz.

Natychmiast dostrzegła Barcha; jej wzrok omiótł taras, jakby go szukała. Zatrzymała się w pół kroku.

Zacisnęła usta; Barch zobaczył, jak jej brwi i rzęsy poruszają się szybkim ruchem.

Zawahała się tylko przez chwilę, po czym podeszła do balustrady.

— Nie spodziewałam się cię tu zobaczyć, Roy.

— Pewnie nie.

— Wyglądasz bardzo dobrze. Jak długo jesteś w domu?

— Jakieś dwa tygodnie. A ty?

Odparła ostrożnie.

— Odbyliśmy szybką podróż; osiem miesięcy. Lenapowie potrafili przebudować napęd kosmiczny.

— Nie mieliśmy Lenapów. Wszyscy byliśmy Ziemianami.

— Tak? To jak znaleźliście drogę do domu?

— Bardzo prostymi środkami. Może tobie wydadzą się prymitywne. Po odlocie z Magarak przeszukaliśmy niebo. Mogliśmy się spodziewać, że znajdziemy znane nam konstelacje w jednym kierunku, tylko w jednym: w kierunku przeciwnym, od Słońca do Magarak. Odnaleźliśmy Oriona, bardzo małego, bardzo bladego. Ruszyliśmy w jego kierunku i kontynuowaliśmy lot.

— To było bardzo pomysłowe. Byłam pewna, że wrócisz do domu.

Barch uśmiechnął się ponuro.

— Ja nigdy nie byłem tego taki pewien.

Popatrzyła w ciepłe powietrze, zasnute mgiełką popołudnia.

— Czuję, że muszę ci wyjaśnić…

— Daj spokój — przerwał jej Barch. — Wiem o tym wszystko. To nie był twój pomysł. Lenapowie powiedzieli: „Szaleniec poleciał; teraz jest dobry moment, uciekniemy od niego i jego szalonych pomysłów, tak samo jak od Klau” – i wszyscy uznali to za dobry pomysł.

— Nie — obruszyła się. — Ja nie.

— Nie. Ty po prostu trzymałaś buzię na kłódkę. To nie twoja sprawa, powtarzałaś sobie. Miałaś opory. Wahałaś się. Lecz oni powiedzieli: „Pospiesz się, lecisz czy nie?” I poleciałaś.

Jej wzrok wciąż błądził po zamglonej dali.

— Jesteś bardzo blisko. Zdawałam sobie sprawę z tego, że zawdzięczam ci życie, ale na Magarak moje życie nie było dla mnie nic warte i nic ci nie byłam winna. Teraz rozumiem, że zawdzięczam ci wolność, a teraz moje życie i wolność są bardzo cenne.

Odwróciła się i spojrzała mu w oczy.

Zafascynowany Barch obserwował ruch jej brwi.

— I zapłacę, jak tylko będę mogła.
Barch uśmiechnął się.
— Jak się nazywa ta charakteryzacja?
Zacisnęła usta ze złością.
— Mówię poważnie.
Barch pokręcił przecząco głową.
— Nic mi nie jesteś winna. Moje motywy, żeby cię chronić w czasie próby ucieczki z Magarak, były całkowicie egoistyczne.
— Mimo to – ja zyskałam, a ty straciłeś. Muszę ci to jakoś wyrównać.
— Wyrównać? — Przyjrzał jej się badawczo. — Tak dokładniej, co masz na myśli, mówiąc o wyrównywaniu?
— Mogłabym dać ci pieniądze.
Barch skinął głową.
— Chyba mogłabyś.
Popatrzyła w stronę, gdzie młody p.o. komisarza rozmawiał z wysokim, majestatycznym Lekthwanem w bordowo-czerwonym płaszczu.
— Gdybyś zechciał polecieć na Lekthwę – studiować albo z ciekawości – byłbyś gościem moim i mojego ludu tak długo, jak tylko byś zechciał.
— Nie, dziękuję. Mam już dosyć podróży kosmicznych. Cieszę się, że jestem w domu.
Jej skóra pokryła się miedzianą krwią.
— Ten obowiązek mnie przytłacza; muszę go jakoś wykonać!
— No to, co tam dalej masz na liście?
Popatrzyła mu prosto w oczy.
— Jeśli mnie zechcesz, zostanę twoją partnerką, twoją żoną. — Słowa zdawały się same płynąć jej z ust.
Barch burknął.
— Nie, dziękuję. Pięć lat temu na własnej skórze przekonałem się jak by to wyglądało. I to bardzo dokładnie.
— To było na Magarak, kiedy nie miałam wyboru.
— A co za różnica? Gdybym chciał się ożenić, chciałbym mieć żonę, a nie wieżę z kości słoniowej. Nigdy nie bylibyśmy szczęśliwi razem. Nie myślimy podobnie. Pogardzacie moją rasą. Tu na Ziemi uczymy się przezwyciężać nasze uprzedzenia; to jeszcze przed wami. Jak czułbym się w związku małżeńskim z kobietą, która wstydziłaby się przedstawić mnie swoim znajomym?
Komeitk Lelianr popatrzyła na niego uważnie.
— Bardzo się zmieniłeś, Roy.
— Przypuszczam, że tak.
— Ale pod pewnymi względami pozostajesz ciągle taki sam.
— Pod jakimi?
— Kiedy się poznaliśmy, nie lubiłeś Lekthwanów.
— Nie. — Barch popatrzył wstecz na odległe ścieżki przeszłości. — Miałem skryte przeczucie, że możecie mieć rację, twierdząc, że jesteście lepsi, i to raniło moją próżność. Teraz wiem więcej. Nie mam żadnych osobistych uczuć ani za, ani przeciwko Lekthwanom. Wszyscy jesteśmy ludźmi… Och, rzeczywiście chyba się zmieniłem.
— Może ja też się zmieniłam.
— Ale nadal ty jesteś Lekthwanką, a ja Ziemianinem.
— Wydajesz się być tego o wiele bardziej świadomy niż ja.

Barch zaczął protestować, ale w końcu się opamiętał. Być może przez te pięć lat nie zmienił się aż tak bardzo, jak mu się wydawało.

— Ludzkie umysły są po prostu za bardzo skomplikowane — stwierdził beznamiętnie.

Komeitk Lelianr wzruszyła ramionami; zdawała się tracić zainteresowanie rozmową.

Barch spytał sztywno:

— Jak długo zostajesz na Ziemi?

— Tylko dzień, może dwa. Przyleciałam po rzeczy mojego ojca.

— A potem?

— A potem wracam na Lekthwę. — Mówiła apatycznie. — To nie jest dom, który pamiętałam. Gdzieś w głębi serca czułam dziwny niepokój. Tylko myśl o rozmowie z tobą, budziła we mnie jakieś emocje.

Spojrzała mu zamyślona w twarz.

Odwrócił się.

— Wezmę swoje rzeczy i odlecę.

Nie odpowiedziała mu. Odsunął się o krok.

— Do widzenia.

— Do widzenia, Roy.

Szybko poszedł do małego pokoju, który dzielił z Claude'em Darranem. Był zupełnie pusty. I tak, niczego nie chciałem, pomyślał Barch.

Wrócił na taras. Komeitk Lelianr wciąż stała, opierając się łokciami o balustradę. Patrzyła na niego; emanowała z niej jakaś energia, fizyczna siła, która go do niej przyciągała. Zrobił mały krok w jej kierunku i zatrzymał się. Popatrzyła na niego z zaciekawionym wyrazem twarzy, ani zachęcającym, ani odstraszającym. Barch wziął głęboki oddech.

— Do widzenia, Ellen.

— Do widzenia, Roy.

Pobiegł do helikoptera i wskoczył do środka. Pilot czytał jakiś magazyn.

— Lećmy — powiedział Barch.

Pilot przeciągnął się leniwie.

— Skończył pan tak szybko?

— Skończyłem? — mruknął Barch. — Co ma pan na myśli mówiąc o końcu? Nic w życiu nie ma końca.

— Pana słowa są trochę poza moimi zasięgiem, proszę pana.

— Lećmy — powtórzył Barch.

Pilot spojrzał wzdłuż tarasu.

— Ta młoda dama idzie w naszym kierunku, proszę pana.

Barch powoli wysiadł z pojazdu. Zauważył, że dziewczyna bardzo ciężko oddycha. Jej usta były pewne, blade, zaciśnięte.

— Tak?

— Nie chcę, żebyś odleciał.

— Ale…

— Roy… jestem gotowa podjąć to ryzyko. Chciałabym, żebyś ty też był.

Nie udawał, że nie rozumie.

— To duże ryzyko. Będziesz odcięta od swoich rodaków.

— Może tak, może nie… Boisz się?

Barch patrzył na nią przez długie sekundy. Pękło w nim coś ciepłego.

— Nie. Nie boję się.

KONIEC